

# KOSMICZNY kalejdoskop



BOB SHAW



**Bob Shaw**

# **Kosmiczny kalejdoskop**

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Potyczka w letni poranek](#)

[Niedorzeczne facsimile](#)

[Członek rzeczywisty](#)

[Cisi współnicy](#)

[Element ryzyka](#)

[Frywolna Mona Lisa](#)

[Niekomiksowa opowieść grozy](#)

[Deflacja 2001](#)

[Porywacze ciała](#)

[Ostatni lot](#)

# Potyczka w letni poranek

Błysk srebra na drodze w odległości mniej więcej mili wyrwał Gregga z marzeń. Ściągnął lejce zatrzymując bryczkę i wyjął z kieszeni marynarki, która leżała obok niego na drewnianej ławeczce, mały oprawny w skórę teleskop. Rozsunął go przy akompaniamencie szczęknięć, podniósł do oka i skrzywił się nieznacznie czując ostry, dojmujący ból w łokciach. Był wczesny ranek i mimo upału Gregg miał jeszcze kości zeszywniałe po nocy.

Słońce zaczynało już prażyć ziemię wprawiając dolne warstwy powietrza w niespokojne drganie, teleskop przekazywał obraz płynny, odbarwiony. Widać było młodą kobietę w srebrnej sukni, prawdopodobnie Meksykankę; Gregg opuścił przyrząd, otarł pot z czoła i usiłował zrozumieć coś z tego, co właśnie zobaczył. Kobieta ubrana na srebrno stanowiłaby rzadki widok wszędzie, nawet w najbardziej zbytkownych salonach Sacramento, ale ukazanie się kogoś takiego na drodze, samotnie, trzy mile na północ od Copper Cross stanowiło wydarzenie, na które Gregg zupełnie nie był przygotowany. Zwłaszcza że pięć minut temu przekroczył niskie pasmo wzgórz, z którego roztaczał się rozległy widok, i mógłby przysiąc, że droga była pusta.

Raz jeszcze spojrzął przez teleskop. Kobieta stała w miejscu i rozglądała się dokoła jak ktoś, kto zabłądził, co też zdziwiło Gregga. Oczywiście, że obcy przybysz z łatwością mógłby się zgubić w tej części południowej Arizony, ale przecież powinna się była zorientować, że zgubiła drogę, na długo nim się dostała do Copper Cross. Nie rozglądałaby się po monotonnym krajobrazie, jakby to było dla niej coś zupełnie nowego.

Gregg zlustrował teren w poszukiwaniu powozu, zbiegłego czy okulawionego konia, słowem czegoś, co by tłumaczyło obecność kobiety. Jego uwagę przyciągnęła smuga kurzu towarzysząca dwóm odległym punktom – jeźdźcom widocznym na wschodnim odgałęzieniu drogi wiodącym ku ranczu Portfielda – i przez chwilę myślał, że znalazł rozwiązanie zagadki. Zdarzało się, że Josh Portfield przywoził sobie ze swoich zagranicznych wypadów dziewczyny, i porzucenie zdobyczy gdzieś w szczerym polu, jeśli się okazała nie dość dobra, byłoby w jego stylu. Ale po dokładniejszym przyjrzeniu się jeźdźcom Gregg stwierdził, że zbliżają się do głównego szlaku i że najprawdopodobniej nie zdają sobie sprawy z obecności kobiety. Pojawienie się mężczyzn dało mu dodatkowo do myślenia; ich drogi muszą się nieuchronnie skrzyżować.

Gregg nie był człowiekiem ostrożnym z natury i przez pierwsze czterdzieści osiem lat życia niemal rozmyślnie pchał się na oślep w każdą niebezpieczną sytuację, ufny we własny instynkt samozachowawczy i szybki refleks, które go zawsze ratowały z opresji (jeśli w nią przypadkiem popadł). Ta właśnie filozofia kazała mu przyjąć na siebie rolę nieoficjalnego stróża porządku i postawiła go w pewne upalne popołudnie tamtego niemiłosiernie gorącego lata wobec zadania ponad siły: należało uspokoić Josha Portfielda i jego czterech awanturujących się pijanych kompanów. Gregg wyszedł z tego z kontuzją rąk i nowym zwyczajem planowania każdego posunięcia z namysłem godnym mistrza szachowego.

Obecna sytuacja wydawała się niegroźna, ale jak na jego gust zawierała zbyt wiele nieznanych elementów. Wziął dubeltówkę z dna bryczki, załadował w nią dwa grzechoczące głucho naboje i odwiódł kurki. Przeklinając sztywność własnych rąk wsunął broń w pętlę z surowej skóry przybitą pod siedzeniem. Była to praktyka niezbyt godna pochwały i urządzenie niebezpieczne, szczególnie dla kogoś, kto by zechciał jechać obok, ale przecież gdyby okazał przyjazne czy przynajmniej nie nadmiernie wrogie zamiary, można go było ostrzec.

Szarpnął lejcami i koń wyrwał do przodu, a lśniące plamy na jego bokach zamigotały. Gregg wbił wzrok przed siebie i zobaczył, jak dwaj jeźdźcy przecinają odgałęzienie drogi i zatrzymują się

przy błysku srebrzystego ognia, jakim wydała się teraz oglądana gołym okiem kobieta. Miał w jej imieniu nadzieję, że ci dwaj to jedni

z przyzwoitszych pracowników Josha, dzięki którym jego ranczo jakoś funkcjonowało, a nie uczestnicy jego nocnych wypadów. Obserwując dalej tę scenę zauważył, że jeźdźcy ani nie zsiadają z koni, ani ich nie zatrzymują, lecz siedząc w siodłach wolno zataczają wokół kobiety coraz mniejsze kręgi. Z tego faktu wywnioskował, że jego nadzieje były płonne, i poczuł w żołądku przykry niepokój. Dawniej, przed kontuzją rąk, zaciąłby pewnie konia i zmusił go do galopu; dziś w pierwszym odruchu miał ochotę zawrócić. W rezultacie wybrał kompromis: pozwolił bryczce toczyć się niespiesznie, w nadziei, że nie zostanie zamieszany w sprawę.

Kiedy się zbliżył do kobiety, stwierdził, że nie ma na sobie – jak pierwotnie sądził – mentyli, tylko dziwną szatę z kapturem naciągniętym na głowę. Okrażona przez jeźdźców, miotła się to w jedną, to w drugą stronę. Gregg przeniósł uwagę na mężczyzn i ze zgrozą rozpoznał w nich Wolfa Caley i Siggy'ego Sorensena. Siwe włosy i biała broda Caley nie licowały z apetytami i instynktami młodego barbarzyńcy, jakimi się odznaczał; jak zwykle miał zatkniętego za pas starego Trantora kaliber 54. Szwed Sorensen, potężnie zbudowany trzydziestoletni eks-górnik, nie miał przy sobie strzelby, ale było to bez znaczenia – w jego potężnym ciele czaiła się śmiertcionośna siła broni palnej. Obaj należeli do tej grupy ludzi, którzy przed dwoma laty dali Greggowi nauczkę za to, że miesza się w sprawy Portfielda. Udawali, że nie widzą nadjeżdżającego, i dalej krążyli wokół kobiety, od czasu do czasu wychylając się z siodła i usiłując zerwać jej z głowy kaptur. Gregg zatrzymał bryczkę o kilka kroków od nich.

– Widzę, że się dobrze bawicie, chłopcy – zagadnął ich od niechcienia.

W tej samej chwili kobieta obróciła się ku niemu i Gregg dostrzegł jej pociągłą, bladą, przestraszoną twarz. Pod wpływem nagłego ruchu niezwykła srebrna szata przylgnęła do jej ciała i Gregg z przerażeniem stwierdził, że jest w zaawansowanej ciąży.

– Spływaj, Billy – powiedział obojętnie Caley nie odwracając nawet głowy.

– Wydaje mi się, że powinniście zostawić panią w spokoju.

– A mnie się wydaje, że musisz lubić odgłos łamania własnych kości – odparł Caley. Znow sięgnął do kaptura kobiety, która uchyliła się przed jego ręką.

– Dość tego, Wolf. – Gregg spojrział na ofiarę. – Ogromnie mi przykro. Jeśli się pani wybiera do miasta, mogę panią podwieźć.

– Do miasta? Podwieźć? – Miała niski głos i bardzo dziwny akcent. – Czy pan jest Anglikiem?

Zanim Caley wmieszał się do rozmowy, Gregg zdążył się jeszcze zdziwić, że biorą go za Anglika, a nie za Amerykanina tylko na tej podstawie, że mówi po angielsku.

– Ty się nie wtrącaj, Billy – powiedział Caley. – Już my wiemy, jak się obchodzić z Meksykanami, którzy się przekradają przez granicę.

– Ona nie jest Meksykanką.

– A kto cię pyta? – ze złością powiedział Caley, sięgając do kolby Trantora.

Sorensen zawrócił konia, podjechał do bryczki i zajrzał do jej tylnej części. Oczy mu się rozszerzyły, kiedy zobaczył zakopane w słomę ogromne gąsiory.

– Hej, popatrz no, Wolf! – zawołał. – Pan Gregg wiezie do miasta całą partię swojej najlepszej pulgue. Urządzimy sobie tu zaraz wszyscy wspaniałą bibę.

Caley natychmiast obrócił się ku niemu; na jego brodatej twarzy malował się niemal błogi wyraz.

– Dawaj tu jedną z tych skorup.

Gregg wsunął prawą rękę pod siedzenie bryczki.

– Będzie cię to kosztowało osiem pięćdziesiąt.

– Nie mam zamiaru płacić osiem pięćdziesiąt za byle sok z kaktusa. – Caley potrząsnął głową, popędził konia i znalazł się koło bryczki, dokładnie na wysokości poprzecznej ławeczki.

– Tyle płaci mi Whaley, ale powiem wam, co zrobimy – rzekł spokojnie Gregg. – Dam każdemu po gąsiorku na kredyt i wy tu sobie popijecie, a ja zabiorę panią do miasta. Musiała zabłądzić i... – przerwał widząc, że zupełnie niewłaściwie ocenił nastrój Caley.

– A ty sobie wyobrażasz, że kim jesteś? – warknął tamten. – Jakim prawem gadasz do mnie jak do dzieciaka! Gdyby to ode mnie zależało, wykończyłbym cię już wtedy dwa lata temu, Gregg. A właściwie... – Caley ściągnął usta, tak że tworzyły jedynie żółty punkt na tle białej brody, a jego porcelanowo-błękitne oczy zaśniły pod wpływem nagłej myśli. Otwarcie trzymał teraz rękę na kolbie Trantora i chociaż go nie wyciągnął, to jednak kciukiem zdołał odwieść kurek.

Gregg rozejrzył się po wibrującym, cichym krajobrazie, popatrzył na bezosobową dekorację Sierra Madre; wiedział, że pozostała mu być może już tylko jedna sekunda na podjęcie decyzji i działanie. Caley nie znajdował się dokładnie na linii strzału ukrytej dubeltówki i siedząc na koniu był znacznie ponad poziomem lufy, ale Gregg nie miał wyboru. Z trudem zgiąwszy zeszywniały staw łokcia zdołał sięgnąć do spustu i mocno go nacisnąć. W ostatnim momencie Caley pojął, co się święci, i próbował uskoknąć w bok. Huknął strzał i zwarta wiązka śrutu rozdarła mu but tuż powyżej kostki, a następnie wyrzyła krwawy ślad w końskim zadzie. Przerażone zwierzę wytrzeszczając ślepią stanęło dęba w obłoku czarnego dymu i runęło na bok z Caleyem w siodle. Gregg usłyszał koszmarny trzask łamanej grubej kości, a zaraz potem krzyk.

– Nie! – wrzasnął Sorensen z grzbietu swojej klaczy, która poniosła. – Nie strzelaj! – Spiał konia ostrogami, ujechał z pięćdziesiąt jardów i zatrzymał się z rękami w górze.

Gregg patrzył na niego przez chwilę ogłupiały, zanim zdał sobie sprawę, że – na skutek hałasu, dymu i ogólnego zamieszania – Szwed nie ma pojęcia ani co się stało, ani że jego przeciwnik jest w tej chwili bezbronny. Nieustanne ryki Caley za każdym razem, gdy jego powalony koń usiłował się go pozbyć, utrudniały Greggowi myślenie. Zagadkowa kobieta stał z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Nie ruszaj się! – Gregg krzyknął do Sorensona, a następnie zwrócił się do kobiety. – Proszę, niech pani wsiada, najlepiej będzie, jak się stąd oddalimy.

Zaczęła gwałtownie dygotać, ale nie ruszyła się z miejsca. Gregg zeskoczył na ziemię, wyjął podwieszoną dubeltówkę, podszedł do kobiety i pociągnął ją w stronę bryczki. Szła ulegle i pozwoliła podsadzić się na ławeczkę. Gregg usłyszał tuż za sobą tętent kopyt, a kiedy się odwrócił, zobaczył, że koń Caley uwolnił się i rwie galopem na wschód, w kierunku rancza Porfielda. Caley leżał trzymając się za złamane udo. Przestał krzyczeć i jak gdyby odzyskał panowanie nad sobą. Gregg podszedł do niego, ukląkł i na wszelki wypadek wyjął mu zza pasa ciężki pięciostrzałowy pistolet z odwiedzionym kurkiem.

– Masz szczęście, że nie wypalił – powiedział zwalniając ostrożnie kurek i wsuwając broń za własny pasek. – Postrzelona noga to jeszcze nie jest najgorsze, co może się przytrafić mężczyźnie.

– Ty już jesteś trup, Gregg – powiedział Caley słabym głosem, spokojnie, z zamkniętymi oczyma. – Josh jest teraz daleko... ale niedługo wróci i... przyprowadzi mi cię... żywego... i ja...

– Oszczędzaj tchu – poradził mu Gregg nie zdradzając się z wątpliwościami co do własnej przyszłości. – Josh z pewnością uważa, że jego ludzie sami powinni sobie radzić. – Wrócił do bryczki, wdrapał się na siedzenie i usiadł obok pochylonej, odzianej na srebrno postaci.

– Zawiozę teraz panią do miasta – powiedział. – Ale to wszystko, co mogę dla pani zrobić. Dokąd się pani wybiera?

– Wybiera? – Słowo było jej wyraźnie obce i Gregg nie miał wątpliwości co do tego, że

angielski nie jest jej rodzimym językiem, chociaż nie wydała mu się ani Hiszpanką, ani Meksykanką.

– Tak. Dąkał pani jedzie?

– Ja nie mogę jechać do miasta,

– Dlaczego?

– Książę by mnie tam znalazł. Nie mogę jechać do miasta.

– He? – Gregg szarpnął lejcami i bryczka ruszyła. – Czy chce pani powiedzieć, że z jakiegoś powodu jest pani ścigana? Zawahała się.

– Tak:

– To przecież nie może być nic poważnego, a poza tym ten ktoś musi mieć wzgląd na pani...

Kiedy Gregg męczył się nad doborem słów, kobieta zsunęła z głowy kaptur ręką, która drżała w dalszym ciągu w sposób dostrzegalny. Miała dwadzieścia kilka lat, złociste włosy i białą cerę wskazującą na miejskie pochodzenie. Był pewien, że w normalnych warunkach jest śliczna, ale pod wpływem strachu, szoku, a może i wyczerpania jej twarz wydawała się martwa, a szare oczy miały wyraz zaszczucia.

– Pan musi być dobrym człowiekiem – rzekła wolno. – Gdzie pan mieszka?

– Jakieś trzy mile stąd w tamtej stronie.

– Czy pan mieszka sam?

– Tak, ale... – bezpośredniość jej indagacji speszyła Gregga, który zapomniał języka w gębie. –

A gdzie jest pani mąż?

– Ja nie mam męża. Odwrócił od niej wzrok.

– Myślę, że jednak będzie lepiej, jeśli pojedziemy do miasta.

– Nie! – Kobieta uniosła się, jakby zamierzała wyskoczyć z bryczki w biegu, a następnie złapała się za wzdęty brzuch i z powrotem opadła na siedzenie. Gregg poczuł, że opiera się o niego całym ciężarem. Przerażony rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegokolwiek pomocy, ale zobaczył jedynie Sorensona, który klęczał przy Caleyu. Caley siedział prosto i obaj mężczyźni śledzili bryczkę i jej pasażerów jadowitym wzrokiem węży.

Zatrwożony nagłością, z jaką przestał decydować o własnym losie, Gregg zaklął pod nosem, zatoczył bryczką półkole i zawrócił w stronę domu.

Domek był mały – powstał mniej więcej przed dziesięciu laty jako jedna z szeregu chat używanych przez pastuchów z dużego, ale podupadłego rancza. Gregg skupił go razem z kawałkiem ziemi w czasach, kiedy zanosilo się na to, że sam zostanie farmerem, i dobudował jeszcze dwie izby, co z zewnątrz nadało chałupinie dość obskurny wygląd. Po niefortunnym starciu z ludźmi Portfielda, po którym nie mogło być mowy o niczym więcej, jak uprawa zagonka warzyw, sprzedał większość ziemi zostawiając sobie dom. Nie była to najlepsza transakcja z punktu widzenia nowego nabywcy, ale stanowiła dowód, że niektórzy ludzie w okolicy cenili sobie wysiłki Gregga w kierunku egzekwowania prawa.

– No, to jesteśmy na miejscu – powiedział. Pomógł wsiąść z bryczki kobiecie, która wsparła się na nim całym ciężarem. Gregg poczuł się speszony tak bliskim fizycznym kontaktem. Stanowiła dla niego całkowitą zagadkę, ale zdawał sobie sprawę, że nie nawykła do brutalności. Wprowadził ją do środka i wskazał naj-wygodniejsze krzesło w głównej izbie. Usiadła z zamkniętymi oczyma, przyciskając brzuch rękami.

– Proszę pani... – powiedział zaniepokojony. – Czy to już czas... na... to znaczy pani pewnie potrzebuje lekarza? Otworzyła szeroko oczy.

– Nie! Nie! Lekarza nie!

– Ależ jeżeli pani będzie...

– Jeszcze czas – powiedziała już nieco pewniejszym głosem.

– Wszystko jedno, najbliższy lekarz mieszka około pięćdziesięciu mil stąd. Prawie tak daleko jak najbliższy szeryf.

Gregg spojrział na nią i ze zdziwieniem stwierdził, że spowijająca ją szata z jednego kawałka, która w słońcu świeciła jak srebrna do-larówka prosto z mennicy, teraz jest szaroniebieska. Przyglądając się sukni stwierdził, że nie widzi w niej żadnych szwów ani nawet fastrygi. Jego zdumienie wzrosło.

– Chce mi się pić – powiedziała kobieta. – Czy ma pan coś do picia?

– Było za gorąco, żeby rozpałać ogień, więc nie ma kawy, ale jest woda źródłana.

– Poproszę wody.

– Poza tym jest dużo whisky i *pulque*. Ja sam pędzę ją tu na miejscu. To pani nie zaszkodzi.

– Poproszę wody.

– Dobrze. – Gregg podszedł do dębowego szaflika, podniósł przykrywkę i zaczerpnął wielką łyżką chłodnej wody.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że kobieta rozgląda się po nagich sosnowych ścianach i prymitywnych sprzętach z mieszaniną odraży i rozpachy. Zrobiło mu się jej żal.

– Izba jest bardzo skromna – powiedział – ale mieszkam tu sam, a mnie niewiele potrzeba.

– Nie ma pan kobiety?

I znów uderzył Gregga kontrast pomiędzy jej nobliwym wyglądem a obcesowością pytań. Pomyślał o Ruth Jefferson pracującej w sklepie w Copper Cross, która mogłaby mieszkać w tym domu, gdyby sprawy przybrały inny obrót, i potrząsnął głową. Kobieta wzięła od niego emaliowaną chochlę i upiła trochę wody.

– Chłababym tu u pana zostać – powiedziała.

– Proszę bardzo, może się tu pani zatrzymać na jakiś czas – rzekł niepewnie, zaniepokojony taką perspektywą.

– Chciałabym zostać na sześć dni. – Spojrzała mu spokojnie prosto w oczy. – Aż do urodzenia mojego syna. Gregg parsknął z niedowierzaniem.

– To nie szpital, a ja nie jestem akuszerką.

– Dobrze zapłacę. – Sięgnęła pod szatę i wyjęła kawałek żółtego metalu, który połyskiwał tłusto jak złoto wysokiej próby. Sztabka, z zaokrąglonymi krawędziami i rogami, miała wymiary jakieś osiem cali na cal. – Za każdy dzień jedną taką. Razem będzie sześć.

– Ale przecież to nie ma najmniejszego sensu – wyjąkał Gregg. – Nie wie pani nawet, czy sześć dni wystarczy.

– Mój syn przyjdzie na świat pojutrze.

– Ale przecież pani nie może mieć pewności.

– Owszem, mogę.

– Pani... ja... – Gregg wziął do ręki ciężką sztabkę. – To można by wymienić na masę pieniędzy w banku.

– Nie jest kradziona, jeśli o to panu chodzi.

Gregg odchrząknął i nie chcąc sprzeciwiać się ani wypytywać gościa, zaczął oglądać złotą sztabkę w poszukiwaniu jakiejś próby. Ale nie było żadnych tłoczeń i kruszec miał niemal oleistą powierzchnię, jak czyste dwudziestoczworokaratowe złoto.

– Ja przecież nie powiedziałem, że to jest kradzione, ale nieczęsto się zdarza, żeby majątne damy przychodziły tu do mnie rodzić dzieci. – Uśmiechnął się krzywo. – Prawdę powiedziawszy,



pani jest pierwsza.

– Delikatnie pan to ujął. – Odwzajemniła mu się uśmiechem. – Rozumiem, jak dziwne musi się to panu wydawać, ale nie wolno mi nic wyjaśniać. Jedyne, co mogę powiedzieć, to że nie popełniłam żadnego wykroczenia przeciw prawu.

– Po prostu na jakiś czas poszukuje pani ukrycia?

– Niechże pan zrozumie, że istnieją inne społeczeństwa, w których panują inne prawa niż w Meksyku.

– Pani wybaczy – rzekł Gregg ze zdziwieniem – ale te tereny należą do Stanów od roku 1848.

– To mnie proszę wybaczyć – powiedziała ze skrucą. – Geografia nigdy nie była moją mocną stroną, a poza tym jestem bardzo daleko od domu.

Gregg zaczął podejrzewać, że usiłują go w coś wrobić, i postanowił się nie dać.

– A co z tym księciem?

Promień słońca, odbity w chochli, którą trzymała, rozszczepił się na koncentryczne kręgi.

– To nieładnie z mojej strony, że chciałam pana tym wszystkim obarczyć – powiedziała. – Pójdę sobie, jak tylko odpocznę.

– Pójdzie pani, dokąd? – Gregg roześmiał się pogardliwie czując, że się angażuje w tę historię, niezależnie od jej czy nawet od swojej własnej woli. – Pani sobie chyba nie zdaje sprawy z tego, w jakiej zapadłej dziurze się pani znajduje. Jak pani się tu dostała?

– To ja już sobie pójdę. – Wstała z pewną trudnością, a jej mała twarz zrobiła się jeszcze bledsza niż zwykle. – Dziękuję za tę pomoc, jaką mi pan okazał. Mam nadzieję, że przyjmie pan tę sztabkę złota...

– Proszę siadać – powiedział Gregg zrezygnowany. – Jeśli pani jest na tyle szalona, żeby chcieć tu zostać i rodzić dziecko, ja jestem na tyle szalony, żeby na to przystać.

– Dziękuję. – Usiadła ciężko i Gregg zobaczył, że jest bliska omdlenia.

– Nie ma powodu bez przerwy mi dziękować – burknął chcąc zatuszować fakt, że w jakiś niejasny sposób sprawia mu przyjemność, że młoda, piękna kobieta po tak krótkiej znajomości jest gotowa powierzyć się jego opiece. „Pan musi być dobrym człowiekiem” – tak brzmiały niemal pierwsze słowa, które do niego powiedziała, i w tym momencie Gregg uświadomił sobie, jak uciążliwe było jego życie w ciągu ostatnich dwóch lat. Na pół kaleki, wyjałowiony uczuciowo przez pięćdziesiąt lat ciężkiego życia, powinien być całkowicie uodporniony na wszelkiego rodzaju romantyczne porywy, zwłaszcza że kobieta mogła się z powodzeniem okazać jakąś cudzoziemską arystokratką, która w normalnych okolicznościach nawet by na niego nie spojrzała. Faktem jednak było, że wystąpił w jej obronie i z jej powodu znów znalazł się w opałach. No i teraz była całkowicie od niego zależna i gotowa zamieszkać w jego domu. A przy tym młoda, piękna i tajemnicza – połączenie cech, którym się nie mógł oprzeć teraz, jak i nie oparłby się ćwierć wieku temu.

– Bądźmy przede wszystkim praktyczni – zaproponował, reagując w ten sposób na wybryki własnej wyobraźni. – Może pani na ten tydzień zająć moje łóżko. Jest czyste, ale będzie nam potrzebna świeża bielizna. Pojadę do miasta i zrobię jakieś zakupy.

Wydawała się przestraszona.

– Czy to jest konieczne?

– Oczywiście. Niech się pani nie martwi, nie powiem nikomu, że pani tu jest.

– Dziękuję – odrzekła. – A co z tamtymi dwoma mężczyznami?

– A co może z nimi być?

– Muszą wiedzieć, że ja tu z panem przyjechałam. Czy oni tego nie rozpowiedzą?

– Jeśli nawet, to nigdzie tam, gdzie by to miało znaczenie. Ludzie Portfielda nie utrzymują stosunków z mieszkańcami miasta ani z nikim w okolicy. – Gregg wyjął zza pasa pistolet Caley, żeby go odłożyć do szafki, ale kobieta wyciągnęła rękę i poprosiła, żeby jej pokazał broń. Nieco zdziwiony, podał jej pistolet i zauważył, że pod wpływem ciężaru opadła jej ręka.

– To nie jest damska broń – powiedział.

– Rzeczywiście – spojrzała na niego. – Jaka jest jego prędkość początkowa? Gregg znowu parsknął okazując rozbawienie.

– Przecież kobiet nie interesują takie rzeczy.

– To dziwna uwaga – odparła, a w jej głosie zabrzmiała znów nuta stanowczości – zważywszy, że przed chwilą wyraziłam właśnie zainteresowanie.

– Przepraszam, ale po prostu... – Gregg zdecydował się nie przypominać jej strachu, jaki okazała wcześniej, kiedy wypalił z dubeltówki. – Nie znam dokładnie prędkości początkowej tej broni, ale nie sądzę, żeby była specjalnie duża. To jest stary pięciostrzałowy kapiszonowy Trantor. Nieczęsto się dzisiaj takie spotyka. Nie mam pojęcia, dlaczego Caley się z nim obnosił.

– Aha. – Zawiedziona oddała mu pistolet. – On się nie nadaje. Gregg zważył pistolet w rękę.

– Nie chciałbym, żeby mnie pani źle zrozumiała. Ta broń jest kłopotliwa w nabijaniu, ale kula ma kaliber 54 i to wystarczy, żeby dać radę każdemu żywemu stworzeniu. – Mówiąc to cały czas patrzył na kobietę i wydało mu się przy ostatnich słowach, że na jej twarzy pojawił się jakiś dziwny wyraz. – Myślała pani o grubszym zwierzu? Niedźwiedziu na przykład?

Puściła mimo uszu jego pytania.

– A ma pan może jakiś własny pistolet?

– Mam, ale nie noszę go przy sobie. W ten sposób unikam kłopotów. – Greggowi przypomniały się wypadki minionej godziny. – To znaczy najczęściej unikam.

– A jaka jest prędkość początkowa pańskiego pistoletu?

– Skąd mogę wiedzieć? – Coraz trudniej było Greggowi skojarzyć ogólne zachowanie kobiety z jej dziwnym zainteresowaniem dla szczegółów technicznych broni palnej.

– My tutaj nie zajmujemy się takimi rzeczami. Ja mam na przykład Remingtona kaliber 44, który zawsze robił to, co chciałem, i nic więcej nie potrzebowałem o nim wiedzieć.

Nie speszona jego poirytowanym tonem, przez chwilę rozglądała się po pokoju, a następnie wskazała masywną żelazną płytę kuchenną.

– A co by się stało, gdyby tak z tego pistoletu wypalić w to?

– Mielibyśmy w całej izbie odłamki ołowiu.

– Kula nie przebiłaby płyty? Gregg zachichotał.

– Nie ma jeszcze takiej broni, która by to potrafiła. Czy mogłaby mi pani jednak powiedzieć, dlaczego to panią tak interesuje?

Odpowiedziała mu w sposób, którego się spodziewał znając ją już trochę – zmieniła temat.

– Czy mogę pana nazywać Billy Gregg?

– Billy wystarczy, jeśli mamy używać imion, które nam nadano.

– Ja mam na imię Morna, oczywiście że będziemy używali naszych chrzestnych imion. – Posłała mu migotliwe spojrzenie. – W tej sytuacji... nie ma powodu, żebyśmy się zachowywali tak oficjalnie.

– Chyba, że nie. – Gregg poczuł, że dostaje kolorów; odwrócił się.

– Czy kiedykolwiek w życiu odbierałeś dziecko?

– To nie jest mój zawód.

– Nie przejmuj się tym zbyt – odparła. – Ja ci powiem, co masz robić.

– Dzięki – burknął Gregg, zastanawiając się, czy mógł się aż tak strasznie pomylić biorąc swojego gościa za damę wysokiego rodu. Było w jej wyglądzie – a teraz, kiedy już pozbyła się strachu, i w zachowaniu – coś królewskiego, ale przy tym wszystkim zdawała się nie wiedzieć, że istnieją sprawy, o których kobieta powinna rozmawiać jedynie z najbliższymi.

Po południu pojechał do miasta, drogą okrężną, ale za to przebiegającą z dala od rancza Portfielda, i dostarczył swoje osiem galonów *pulque* do baru Whalleya. Upał był okrutny i Gregg spocił się tak, że koszula przylgnęła mu do pleców, ale pozwolił sobie tylko na jedną szklanekę piwa i zaraz pojechał zobaczyć się z Ruth Jefferson do sklepu jej kuzyna. Zastał ją samą na zapleczu. Usiłowała właśnie dźwignąć worek z grochem na niską półkę. Była krzepką, przystojną kobietą, niewiele po czterdziestce, zachowała prostą sylwetkę i szczupłą talię, choć dziesięć lat wdowieństwa i ciężkiej pracy na chleb wyżłobiło wokół jej ust głębokie bruzdy.

– Dobry, Billy – powiedziała słysząc jego kroki, a dopiero potem przyjrzała mu się uważniej. – O co chodzi, Billy Gregg?

Gregg poczuł, jak mu serce odmawia posłuszeństwa – właśnie tego bał się najgorzej, jeśli chodziło o kobiety.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli, że coś się musiało stać, skoro w taki dzień jak dzisiejszy masz na sobie krawat. I ten dobry kapelusz. I, jeśli się nie mylę, te lepsze buty?

– Poczekaj, to ci pomogę z tym workiem – powiedział podchodząc do niej.

– To za ciężkie jak na te twoje ręce.

– Dam sobie radę. – Gregg oparł się klatką piersiową o worek i ujął go między przedramiona. Wyprostował się, dźwignął worek niezdarnie, ale pewnie, i postawił na półce. – Widzisz? A nie mówiłem?

– Cały jesteś zakurzony – powiedziała surowo i otrzepała mu ubranie chusteczką,

– Nic nie szkodzi. Nie przejmuj się. – Protestował, ale stał posłusznie, pozwalając się otrzepywać, zadowolony, że stanowi przedmiot czyjejś troski. – Potrzebna mi jest twoja pomoc, Ruth – powiedział podjąwszy decyzję.

Skinęła głową.

– Od lat ci to mówię.

– Chodzi o konkretną sprawę i nawet nie mogę ci powiedzieć, co to takiego, dopóki mi nie przysięgniesz, że zachowasz ją w sekrecie.

– Wiedziała! Wiedziała, że coś się święci, jak tylko wszedłeś. Gregg uzyskał żadaną obietnicę, a następnie przeszedł do opisu

porannych wydarzeń. W miarę jak mówił, bruzdy na twarzy Ruth stawały się coraz wyraźniejsze, a w oczach pojawił się twardy, bezkompromisowy błysk. Był zadowolony, kiedy pod koniec jego opowieści weszły do sklepu dwie kobiety, żeby kupić jakiś materiał. Kiedy Ruth kończyła je obsługiwać, wyraz zaciętości zniknął z jej twarzy, ale w dalszym ciągu widać było, że jest na niego zła.

– Nie rozumiem cię, Billy – szepnęła. – Wydawało mi się, że dostałeś już wystarczającą naukę w czasie tamtego spotkania z ludźmi Portfielda.

– Nic innego nie mogłem zrobić – odrzekł. – Musiałem jej pomóc.

– Właśnie tego się obawiam.

– Co to znaczy?

– Billy Gregg, gdybym się kiedykolwiek dowiedziała, że napytałeś biedy jakiejś dziewczynie z baru, a teraz masz czelność prosić mnie, żebym pomogła przy porodzie...

– Ruth! – Gregg był autentycznie oburzony tym pomysłem.

-- To znacznie bardziej prawdopodobna historia niż ta, którą mi przedstawiłeś.

Gregg westchnął i wyjął z kieszeni wąską sztabkę złota.

– Czy dziewczyna z baru by mi płaciła? I to czymś takim?

– No, chyba nie – przyznała Ruth. – Ale to wszystko jest takie... A co to za imię Morna?

– Nie pytaj mnie.

– Ale skąd ona pochodzi?

– Nie pytaj mnie.

– Widzę, że się nawet ogoliłeś. – Przez moment przyglądała mu się z niepokojem. – Myślę, że jednak powinnam iść i zobaczyć, jak wygląda kobieta, dla której Billy Gregg zaczyna o siebie dbać. Chcę zobaczyć, co ona ma takiego, czego ja nie mam.

– Dzięki ci, Ruth, zrobiło mi się od razu lżej na duszy. – Gregg rozejrzał się po przestronnym, mrocznym pomieszczeniu z półkami zawalonymi towarami i belkami sufitowymi obwieszonymi dobrem wszelakiego rodzaju. – Co powinienem wziąć?

– Przygotuję tobołek z niezbędnymi rzeczami i zjawię się przed kolacją. Pożyczę od Sama dwukólkę.

– Cudownie. – Gregg uśmiechnął się z wdzięcznością. – Pamiętaj, żebyś jechała tą zachodnią drogą.

– Wynoś się stąd i nie przeszkadzaj mi w pracy – warknęła Ruth. – Mam w nosie włóczęgów Portfielda.

– Dobra. Do zobaczenia. – Gregg właśnie zbierał się do odejścia, kiedy jego wzrok przyciągnęło kilka sztuk materiału leżących na ladzie. Wziął do ręki kawałek jedwabistej tkaniny i zmarszczył się. – Ruth, czy słyszałaś kiedy o takim materiale, który na dworze jest srebrny, a w pomieszczeniu niebieski?

– Nie, nigdy nie słyszałam.

– Tak myślałem. – Gregg podszedł do drzwi, zawahał się, a następnie wyszedł w upał i migotliwą jasność głównej ulicy Copper Cross. Wsiadł do bryczki, szarpnął za lejce i wolno podjechał do koryta z wodą znajdującego się w małej uliczce przy stajniach przedsiębiorstwa wynajmu koni. Poił tam już konia młody kowboj z jasnym sumiastym wąsem. Gregg rozpoznał w nim Cala Masha-ma, stosunkowo przyzwoitego jak na człowieka Josha Portfielda, i skinął mu głową na powitanie.

– Billy. – Masham skinął w odpowiedzi i wyjął fajkę z ust. – Słyszałem o twoim spotkaniu z Wolfem Caleyem dziś przed południem.

– Szybko się rozchodzą nowiny.

Masham spojrział w obie strony uliczki.

– Myślę, że powinieneś o tym wiedzieć, Billy: Wolf jest naprawdę paskudnie uszkodzony.

– Owszem, słyszałem, jak mu się łamała noga, kiedy go koń przywalił. Byłem mu winien połamanie kości. – Gregg z uznaniem wciągnął dym. – Masz dobry tytoń.

– Ale to nie było zwykłe złamanie, Billy. Z tego, co ostatnio słyszałem, ta noga cała mu spuchła i zrobiła się czarna. I wdała się gorączka.

Mimo popołudniowego upału Greggowi nagle zrobiło się zimno.

– I może umrzeć?

– Tak to wygląda, Billy. – Masham znów się rozejrzał dokoła. – Nie mów nikomu, że ci powiedziałem, ale Josh wraca za jakieś dwa, trzy dni. Ja bym się na twoim miejscu tu nie pokazywał i nie czekał, aż on się zjawi.

– Dzięki za wiadomość, synu. – Gregg z niewzruszonym spokojem doczekał, aż koń się napije, i dopiero potem popędził zwierzę. Koń spuścił łeb i poczłapał z cienia stajni w spiekotę ulicy.

Gregg zostawił kobietę, Mornę, śpiącą na jego łóżku i w dalszym ciągu spowitą w zwiewną szatę, której właściwości były dla niego takie tajemnicze. Wszedł do domu cicho nie chcąc zakłócać jej odpoczynku, ale zastał ją siedzącą przy stole nad rozłożoną książką. Zdjęła suknię, pod którą miała jak gdyby luźną koszulę z rękawami trzy czwarte. Książka, jedna z kilkunastu, jakie posiadał w majątku, była porządnie zniszczonym szkolnym atlasem otwartym na rozkładówce przedstawiającej Amerykę Północną.

Morna związała sobie włosy w luźny ogonek i wyglądała jeszcze piękniej, niż to Gregg zapamiętał, ale jego uwagę przyciągnęła dziwna ozdoba na przegubie jej ręki. Przypominała krążek ciemnoczerwonego szkła wielkości monety dolarowej, w złotej oprawce i na cienkiej złotej bransoletce. Sam kształt był już dostatecznie niezwykły, ale wzrok Gregga przykuła jakby drzazga rubinowego światła, podobna z wielkości i położenia do wskazówki zegara i pulsująca w odstępach około dwóch sekund.

Morna spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe – wskazała atlas.

– Niech się pani nie krępuje.

– Jestem Morna.

– Nie krępuj się... Morna. – Poufałość z trudem przychodziła Greggowi. – Czy czujesz się trochę silniejsza?

– Tak, czuję się znacznie lepiej, dziękuję ci bardzo. Nie spałam od... od bardzo dawna.

– Aha. – Gregg usiadł przy drugim końcu stołu i pozwolił sobie na dokładniejsze oględziny intrygującej ozdoby. Na obrzeżu znajdowały się delikatne znaki jak w kompasie, a mdły promyczek światła w dalszym ciągu pulsował wolno pod szklaną tarczą. – Nie chciałbym być wścibski, proszę pani... Morna.t. – powiedział – ale w życiu nie widziałem czegoś takiego, co masz na ręce.

– A, to nic specjalnego. – Przykryła przedmiot dłonią. – To po prostu błyskotka.

– Ale jak ona może tak mrugać?

– Och, ja się na tym nie znam – odparła beztrąsko. – To chyba działa na zasadzie elektronicznej.

– Czy to ma coś wspólnego z elektrycznością?

– Ja właśnie chciałam powiedzieć elektronicznej, tylko że moja angielszczyzna jest kiepska.

– Ale do czego to służy? Morna roześmiała się.

– A czy wasze kobiety noszą tylko to, co jest użyteczne?

– Chyba nie – powiedział Gregg niepewnie, świadom tego, że jeszcze raz został zbyty. Po przełamaniu trudności Morna poczuła się w angielskim na tyle mocna, że Gregg zaczął podejrzewać, że dziwne słowa „elektroniczny” użyła wcale nie przez pomyłkę. Postanowił poszukać go przy okazji w słowniku Ruth, jak będzie miał kiedyś okazję.

Morna spojrzała na atlas, na którym położyła źdźbło słomy w kierunku ze wschodu na zachód, tak że jednym końcem wskazywało w przybliżeniu położenie Copper Cross.

– Według tej mapy znajdujemy się jakieś tysiąc dwieście mil od Nowego Orleanu.

Gregg potrząsnął głową.

– Do Nowego Orleanu jest dalej.

– Właśnie zmierzyłam odległość.

– Może w prostej linii – wyjaśnił cierpliwie. – Ale to nie ma żadnego znaczenia, chyba żebyś umiała latać jak ptak. ,

– Ale zgadzasz się, że jest tysiąc dwieście mil?

– Mniej więcej – dla ptaka. – Gregg zirytowany zapomniał się i wstając od stołu odruchowo usiłował odepchnąć się rękami. Trzasnęło mu głośno w lewym łokciu, który się ugiął, i Gregg uderzył się w ramię. Speszony, wstał od stołu ostrożniej, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo go boli, i podszedł do kuchni. – Trzeba będzie pomyśleć o czymś odpowiednim do jedzenia dla ciebie.

– Co z twoją ręką? – zapytała Morna łagodnie, stając tuż za nim.

– Nie masz się czym przejmować – odparł zdziwiony tym przejawem troski.

– Pokaż mi, Billy, może będę mogła ci pomóc.

– Przecież chyba nie jesteś lekarzem, prawda? – Tak jak się spodziewał, nie odpowiedziała mu na pytanie, ale pomyślał, że Morna może mieć trochę lekarskiej praktyki, więc podwinął rękawy i pozwolił jej obejrzeć kalekie łokcie. Skoro już posunął się tak daleko, zaczął jej opowiadać, jak to – wobec braku jakichkolwiek

przedstawicieli prawa w tej okolicy – był na tyle głupi, że wziął na siebie funkcję miejscowego stróża porządku, i jak – co *było* jeszcze głupsze z jego strony – przerwał kiedyś Joshowi Portfieldowi i jego czterem ludziom pijacką bibkę. Pobieźnie jednak potraktował epizod, w którym dwaj mężczyźni trzymając go za ręce przez ponad piętnaście minut szarpali nim w przód i w tył, tak że łokcie nie wytrzymały i wyłamały mu się w stawach.

– Dlaczego tak jest zawsze? – szepnęła.

– Słucham?

Morna podniosła na niego wzrok.

– Nie mogę nic dla ciebie zrobić, Billy. Stawy zostały wyłamane, a potem powstała osteopatia.

– Osteopatia? – Gregg zanotował w pamięci następne słowo do sprawdzenia.

– Czy to cię bardzo boli? – Spojrzała na jego minę. – Głupie pytanie, co?

– Całe szczęście, że nie stronie od whisky – wyznał Gregg. – Inaczej kiepsko byłoby nieraz 'z moim spaniem. Uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Myślę, że przynajmniej w sprawie bólu będę ci mogła pomóc W moim własnym interesie leży, żebyś był możliwie sprawny do... zaraz, jaki dziś mamy dzień?

– Piątek.

– Do niedzieli.

– Nie przejmuj się niedzielą – rzekł Gregg. – Poprosiłem przyjazną duszę, żeby przysłała pomoc. Kobieta – dodał widząc, że Morna odstępkuje od niego, a w jej oczach pojawia się znów wyraz przerażenia.

– Obiecałeś nie mówić nikomu, że tu jestem.

– Wiem, ale to wyłącznie dla twojego dobra. Ruth Jefferson jest bardzo przyzwoitym człowiekiem i znam ją tak dobrze jak siebie samego. Pary z ust nie puści.

Twarz Morny odprężyla się nieco.

– Czy ona jest kimś ważnym dla ciebie?

– Mieliśmy się pobrać.

– Wobec tego zgadzam się. – Szare oczy Morny były nieprzeniknione. – Ale pamiętaj, że to była twoja własna decyzja, żeby jej powiedzieć o mnie.

Ruth Jefferson przyjechała dwukółką swojego kuzyna mniej więcej na godzinę przed zachodem słońca.

Gregg, który jej cały czas wypatrywał, wszedł do domu i zastukał w otwarte drzwi sypialni, gdzie Morna położyła się w ubraniu, żeby się zdrzemnąć. Obudziła się natychmiast i spłoszona spojrzała na złotą bransoletkę na ręce. Stojący przy drzwiach Gregg zauważył, że uwięzione pod

szkłem pasemko światła wskazuje zawsze na wschód, i doszedł do wniosku, że to jakiś dziwny rodzaj kompasu. Może to było złudzenie, w każdym razie wydało mu się, że tempo

pulsowanie światełka wzrosło nieznacznie od rana, kiedy pierwszy

raz zwrócił na nie uwagę. Daleko bardziej wspaniały i dziwny był dla niego jednak widok brzemiennej nowym życiem złotowłosej młodej kobiety, która przysłała do niego znikąd i której sama obecność przydawała blasku prymitywnym sprzętom jego sypialni. Złapał się na tym, że znów rozpamiętuje okoliczności, które zapędziły to stworzenie w taki odludny zakątek świata.

– Za chwilę będzie tu Ruth – powiedział. – Może wyjdiesz, żeby ją przywitać?

– Bardzo chętnie. – Morna wstała z uśmiechem i podeszła z mm do drzwi wejściowych. Gregg był trochę zdziwiony, że nic nie zrobiła z włosami ani nie zatroszczyła się o suknię – wiedział z doświadczenia, że pierwsze spotkanie kobiet to sprawa delikatnej natury. I wtedy zauważył, że jej proste uczesanie nie ucierpiało w najmniejszym nawet stopniu, a i błękitna szata jest tak gładka i lśniąca, jakby dopiero co zdjęta z wieszaka. Dowiedział się jeszcze jednej dziwnej rzeczy o swoim gościu.

– Witaj, Ruth, cieszę się, żeś przyjechała. – Gregg podszedł do dwukółki, zatrzymał ją i pomógł Ruth wysiąść.

– Nie wątpię, że się cieszysz – odparła. – Słyszałeś o Wolfie Caley? Gregg ściszył głos.

– Słyszałem, że jest umierający...

– Właśnie. I co zamierzasz w tej sytuacji zrobić?

– A co ja mogę zrobić?

– Możesz wyruszyć na północ, jak tylko się ściemni, nie zatrzymując się po drodze ani na chwilę. To szaleństwo coś takiego ci proponować, ale ja bym została i zajęła się twoją przyjaciółką.

– To nie byłoby w porządku. – Gregg wolno potrząsnął głową. – Nie, zostanę tu, gdzie jestem potrzebny.

– Ciekawe, co zrobisz, jak przyjdzie po ciebie Josh Portfield ze swoją bandą.

– Ruth – szepnął Gregg zmieszany – wolałbym, żebyś mówiła o czymś innym, to zdenerwuje Mornę. Chodź lepiej, poznasz ją.

Ruth spojrzała na niego z niepokojem, ale bez protestów weszła do domu, gdzie Gregg dokonał prezentacji. Kobiety w milczeniu uściśniły sobie ręce, a następnie – zupełnie spontanicznie – zaczęły się do siebie uśmiechać, bez zbędnych słów przyjmując role odpowiednio matki i córki. Gregg pojął, że doszło między nimi do porozumienia na płaszczyźnie, która nigdy nie będzie mu dostępna, i jego wrodzony lęk przed naturą kobietą jeszcze wzrósł.

Z przyjemnością zauważył, że Morna spodobała się Ruth, która :

najwyraźniej oczekiwała potwierdzenia swoich najgorszych podejrzeń. To mu oczywiście ułatwi sytuację. Gdy kobiety weszły do domu, Gregg zajął się rozpakowywaniem przywiezionych przez Ruth rzeczy – wiklinowy koszyk chwycił między przedramiona, tak żeby nie forsować łokci. Kiedy wszedł z koszykiem do izby, zastał kobiety

pogrążone w rozmowie; Ruth przerwała sobie tylko po to, żeby mu wskazać drzwi, w milczeniu nakazując wyjście.

Zadowolony wziął z półki paczkę papierosów domowej roboty i wyszedł do szopy, gdzie dojrzewiała jego *pulque*. Wolał skręty, ale teraz, kiedy palce miał niezupełnie sprawne – a skręcanie papierosów wymagało precyzji ruchów – nauczył się obywać bez nich. Zasiadłszy wygodnie na stołku w kącie i zapaliwszy papierosa z zadowoleniem spoglądał na królestwo miedzianych rurek, retort i probówek do fermentacji pulpy kaktusowej. Świadomość, że w jego domu są dwie kobiety, z czego jedna ma wkrótce urodzić dziecko, napełniała go ciepłym poczuciem przydatności, którego

nigdy do tej pory nie zaznał. Przez czas jakiś w obłokach aromatycznego dymu oddawał się marzeniom, w których Ruth była jego żoną, Morna cór-

ką, on sam zaś, znów w pełni sprawny i zdolny do pracy, głową rodziny, odpowiedzialną za jej utrzymanie. – Nie rozumiem, jak ty możesz tu siedzieć. – W drzwiach sta-

ła Ruth w szalu narzuconym na ramiona. – Przecież ten smród nie może być zdrowy.

– Jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodził – odparł Gregg -wstając. – Fermentacja jest częścią natury.

– Tak jak i krowie łajno. – Ruth wycofała się z szopy czekając na niego na zewnątrz. W poziomych promieniach czerwono zachodzącego słońca wyglądała zdrowo i apetycznie, dojrzała i odpowiedzialna. – Teraz już muszę wracać – powiedziała. – Ale przyjadę znów jutro rano i zostanę tak długo, aż to maleństwo przyjdzie bezpiecznie na świat.

– Myślałem, że w soboty pracujesz w sklepie.

– Pracuję, ale Sam będzie musiał sobie jakoś poradzić beze mnie. Nie mogę tak zostawić tej małej, żeby sama rodziła. A ty byłbyś dla niej mniej niż bezużyteczny.

– Ale co sobie Sam pomyśli?

– Nieważne, co pomyśli Sam, powiem mu, że kwękasz. – Ruth przerwała na moment. – Jak myślisz, Billy, skąd ona może być?

– Nie umiem ci powiedzieć. Mówiła coś o Nowym Orleanie. Ruth zmarszczyła czoło na znak dezaprobaty. – Nie mówi tak, jak mówią ludzie z Luizjany, a poza tym ma jakiś obcy sposób myślenia.

– Zauważyłem – powiedział Gregg z naciskiem.

– Na przykład mówi tylko o urodzeniu syna, co? Zupełnie nie przyjmuje do wiadomości, że to by równie dobrze mogła być córka.

– Mhm. – Gregg pomyślał o szybkościach początkowych rewolwerów. – Ciekaw jestem bardzo, przed czym ona ucieka. Twarz Ruth złagodniała nieoczekiwanie.

– Czytałam dużo o kobietach ze szlacheckich rodów... dziedziczkach i różnych takich... którym zabraniają uznania własnych dzieci, dlatego że ojcowie są z gminu.

– Ruth Jefferson – powiedział wesoło Gregg – nie wiedziałem, że się krzątasz po tym skromnym, starym sklepie z głową pełną takich romantycznych historii.

– Nic podobnego. – Ruth poczerwieniała. – Ale to jasne jak słońce, że Morna musi pochodzić z bogatej rodziny i że najprawdopodobniej ma z nią jakieś kłopoty.

– Możliwe. – Greggowi przypomniało się potworne przerażenie, jakie dostrzegł w jej oczach. Instynktownie wyczuł, że to musiało być coś więcej niż lęk przed rozgniewanymi rodzicami, ale postanowił nie sprzeczać się z Ruth. Stał i słuchał cierpliwie jej opowie-

ści o tym, jak to położyła Mornę spać, jak przygotowała jemu łóżko w drugim pokoju i co Gregg ma zrobić rano na śniadanie.

– A whisky dziś zostaw w spokoju – zakończyła. – Nie chciałabym, żebyś gdzieś leżał w pijanym widzie, kiedy ta mała dostanie w nocy bólów. Słyszysz mnie?

– Słyszę cię, a poza tym i lak nie miałem zamiaru pić. Czy myślisz, że dziecko rzeczywiście urodzi się w niedzielę, tak jak Morna mówi?

Ruth usadowiła się w dwukółce i zebrała lejce.

– Wiesz co, sama nie wiem dlaczego, ale wierzę, że lak będzie. Do zobaczenia, Billy.



– Dzięki, Ruth. – Stał i patrzył, dopóki dwukółka nie znikła mu z oczu za skalną ostrogą wzgórza, na którym stał jego dom, a następnie odwrócił się i wszedł do środka. Drzwi sypialni były zamknięte. Zrobił sobie na podłodze poślanie z koców, które mu zostawiła Ruth, ale nie był usposobiony do spania. Chichocząc cicho z poczucia winy nalał sobie szczerą ręką kukurydzianej whisky z kamiennego dzbana, który trzymał w kredensie, i usadowił się na jednym ze swoich najwygodniejszych krzesel. Żar zachodzącego słońca wypełnił pokój łagodnym światłem i Gregg sącząc whisky--towarzyszkę doznał w swojej roli psa łańcuchowego dziwnego uczucia satysfakcji.

Dopuścił nawet promyk nadziei, że Morna zostanie u niego dłużej niż przez owe sześć dni, które sobie zaplanowała.

O świcie obudził się wystraszony – siedział na krześle, z pustym kubkiem zaciśniętym w ręce. Odstawiając kubek jęknął głośno; przy próbie zgięcia ręki w łokciu poczuł się tak, jakby odpryski szkła wbijały mu się w nagie nerwy. Musiało być w nocy zimno i odkryte ramiona zeszywniały mu jeszcze bardziej niż zwykle. Wstał z trudem i z przerażeniem stwierdził, że zarówno koszulę, jak i spodnie ma całe wymięte. Przyszło mu do głowy, że mężczyzna żyjący samotnie powinien mieć ubranie nie gniotące się, takie jak...

Morna!

W głowie zaczęły mu się kłębić wspomnienia poprzedniego dnia i Gregg pospieszył do kuchni, żeby ją uprzątnąć i przygotować do rozpalenia ognia. Według poleceń Ruth miał zagrzać mleko i owsian

kę dla Morny na śniadanie i zanieść jej do pokoju miskę ciepłej wody. Częściowo z pośpiechu, a częściowo z powodu niepełnej sprawności palców upuścił kilka razy pogrzebacz i dlatego nie zdziwił się specjalnie, kiedy wkrótce potem otworzyły się drzwi od sypialni. W drzwiach ukazała się Morna w kwiecistym szlafrocuku, który musiała jej przywieźć Ruth. Swojski kobiecy strój uczynił ją piękniejszą w oczach Gregga, a zarazem przystępniejszą.

– Dzień dobry – powiedział. – Przepraszam za te hałasy. Mam nadzieję, że nie...

– Ja już i tak bym nie spała. – Morna weszła do pokoju, usiadła przy stole i położyła na nim drugą wąską sztabkę złota. – To dla ciebie, Billy.

Odsunął sztabkę w jej stronę.

– Ja tego nie chcę. Ta jedna, którą mi dałaś, jest warta znacznie więcej niż wszystko, co mogę dla ciebie zrobić.

Morna obdarzyła go spokojnym, smutnym uśmiechem, który uświadomił mu nagle, że nie ma do czynienia ze zwykłą dziewczyną i że nie rozmawiają o cenie jakiejś normalnej usługi.

– Narząłeś dla mnie życie i myślę, że zrobiłbyś to jeszcze raz. Prawda?

Gregg odwrócił wzrok.

– Niewiele **zrobiłem**.

– Owszem, wiele! Obserwowałam cię, Billy, i zauważyłam, że się bałeś, ale jednocześnie widziałam, że potrafisz nad tym strachem zapanować. Umocniło cię to tylko, zamiast osłabić, a to jest coś, do czego nie są zdolni nawet najlepsi z naszych ludzi... – Morna przerwała i przysłoniła usta wierzchem dłoni, jakby była o krok od zdradzenia jakiegoś sekretu.

– Zaraz będzie coś do jedzenia. – Gregg odwrócił się do kuchni. – Jak tylko rozpalę ogień.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Przesząpił z nogi na nogę.

– Na jakie pytanie?

– Gdyby przyszedł tu ktoś zabić mnie... i mojego syna... czy broniłbyś nas z narażeniem własnego życia?

– To szaleństwo – zachnął się Gregg. – Dlaczego ktoś miałby chcieć was zabić?

Morna wbiła w niego uporczywy wzrok.

– Odpowiedz na pytanie, Billy.

– Ja... – słowa przychodziły mu tak trudno jak wyznanie miłości. – Czy muszę ci na to odpowiedzieć? Czy naprawdę myślisz, żebym uciekł?

– Nie – odparła łagodnie. – Nie potrzebuję innej odpowiedzi.

– To i dobrze. – Zabrzmiało to opryskliwie j, niżby sobie życzył, ponieważ Morna, od której był dwa razy starszy, oscylowała w jego myślach między przybraną córką a .!oną-kochanką, mimo że ledwie ją znał i że nosiła w łonie cudze dziecko. Zadręczał się z powodu swoich grzesznych myśli i przeżywał męki strachu przed ośmieszeniem się, a jednocześnie był głęboko szczęśliwy z powodu zaufania, jakim go obdarzyła. Żaden człowiek, zdecydował, żaden książę, nawet sam Książę Ciemności, nie skrzywdzi jej ani nie zasmuci, jak długo on będzie miał na to wpływ. Rozpalając ogień postanowił sprawdzić, w jakim stanie jest jego Remington, oczywiście w taki sposób, żeby me widziała tego ani Morna, ani Ruth. Na – mało w końcu prawdopodobny – wypadek, gdyby potrzebował broni, sprawdzi też spłonki i ładunek prochowy starego Trantora, którego zabrał Wolfowi Caleyowi.

Jak gdyby zgadując jego myśli, Morna spytała:

– Billy, czy ty masz długą broń, strzelbę? Gregg wydał policzki.

– Nigdy nie miałem.

– Dlaczego? Przecież dłuższa lufa zapewnia większą energię pociskowi, a tym samym taka broń jest bardziej skuteczna.

Pochylił głowę i postanowił się nie odwracać. Poczul się dotknięty słysząc terminy rusznikarskie wypowiedziane jasnym, czystym głosem Morny.

– Nigdy nie chciałem mieć.

– Ale dlaczego?

– Nigdy nie strzelałem dobrze ze strzelby, nawet kiedy miałem jeszcze ręce w porządku, więc bezpieczniej dla mnie nie nosić takiej broni. Widzisz, tutaj, w tych stronach, właściwie nie ma żadnego prawa. Jeżeli człowiek posłuży się rewolwerem do zabicia drugiego człowieka, zwykle mu to uchodzi, pod warunkiem jednak, że i ten drugi miał broń bębinkową. Nawet jeśli jej nie zdążył wyciągnąć, walka uważana jest za uczciwą. Tak samo gdyby obaj mieli strzelby, ale w mojej sytuacji wolę nie ryzykować, że ktoś, komu

wszedłem w drogę, kropnie mnie z odległości dwustu jardów i powie, że to w obronie własnej.

– Była to najdłuższa mowa, jaką Gregg wygłosił od wielu miesięcy, a swoje niezadowolenie, że został do niej zmuszony, wyraził nadmiernie energicznym rozgrzebywa-niem popiołu w popielniku.

– Rozumiem – powiedziała Morna w zadumie, stając za nim. –

Obowiązują u was zasady pojedynku. A w strzelaniu z rewolweru jesteś dobry?

Zamiast odpowiedzi Gregg zaczął nasuwać fajerki. W głosie Morny pojawił się władczy ton, który zauważył już

wcześniej.

– Billy,,a czy w strzelaniu z rewolweru jesteś dobry? Odwrócił się do niej z ramionami wyciągniętymi w taki sposób, żeby było widać okaleczone, zeszywniałe łokcie.

– Owszem, mogę się zmierzyć z sześciostrzałowca tak jak dawniej, ale uniesienie go zajmuje mi tyle czasu, że nie dorównałbym nawet dziesięcioletniemu chłopcu. To chciałaś wiedzieć?

– Nie ma miejsca na gniew między nami. – Morna wstała i ujęła w dłonie jego wyciągnięte

ręce. Popatrzyła mu w twarz swoimi ciekawymi szarymi oczami. – Ty mnie przecież kochasz, Billy, prawda?

– Tak – Gregg usłyszał to słowo jakby z odległości, wiedząc, że nie mógłby go powiedzieć do kogoś obcego.

– Jestem z tego dumna, a teraz poczekaj. – Weszła do sypialni i z wewnętrznej części swojego płaszcza wyjęła coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się małym kwadracikiem 'zielonego szkła. Gregg ze zdumieniem zauważył, że jest on elastyczny jak skóra kozłowa, i zaskoczony obserwował, jak Morna przytyka mu go do lewego łokcia. Przedmiot był dziwnie ciepły i w stawie łokciowym Gregg poczuł mrowienie.

– Zegnij rękę – poleciła mu już teraz bezosobowa jak chirurg wojskowy.

Zrobił, jak mu kazano, i wstrząśnięty stwierdził, że nie czuje ani bólu, ani chrzęstu artretycznych igiełek. Zginał i prostował lewą rękę, podczas gdy Morna powtarzała zabieg z prawą z tym samym cudownym skutkiem. Po raz pierwszy od dwóch lat mógł swobodnie zginać ręce bez najmniejszego cierpienia.

Morna uśmiechnęła się do niego.

– No, jak twoje ręce?

– Jak nowe, zupełnie jak nowe.

– Już nigdy nie odzyskasz w nich dawnej sprawności i siły – wyjaśniła – ale mogę ci obiecać, że nie będą cię więcej bolały. – Znow poszła do sypialni i wróciła w chwilę później już bez zielonego przezroczystego szkiełka. – Wspominałeś, zdaje się, o jedzeniu.

Gregg potrząsnął głową.

– Coś tu jest nie w porządku. Ty nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Nikt nie może robić czegoś...

– Ja się za nikogo nie podawałam – odparła dość ostro, popadając w jedna ze swych szybkich zmian nastroju.

– Może powinienem był powiedzieć „za co się podajesz”.

– Nie psuj wszystkiego, Billy... nie mam nikogo poza tobą. – Usiadła przy stole i ukryła twarz w dłoniach.

– Przepraszam cię. – Gregg już sięgnął ręką, żeby jej dotknąć, kiedy po raz pierwszy tego ranka zwróciła jego uwagę jej dziwna złota ozdoba. Strzałka światła wskazywała na wschód jak zawsze, ale była jaśniejsza niż poprzedniego dnia i pulsowała w zdecydowanie szybszym tempie. Gregg, przyzwyczajony już po trosze do dziwnych zjawisk, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że sygnalizuje ona jakieś niebezpieczeństwo.

Zgodnie z obietnicą Ruth przyjechała nazajutrz wczesnym rankiem.

Przywiozła jeszcze prowiant, łącznie ze słoikiem rosołu, zawiniętym w podróży koc, żeby nie wystygł. Gregg rad ją widział i był jej wdzięczny za kobiecą sprawność, z jaką zajęła się domem, ale jednocześnie wstydził się swojej nieprzydatności. Coraz więcej czasu spędzał w szopie pilnując kolumny destylacyjnej i radosny moment rozmowy o miłości między nim a Morna zaczął mu się wydawać wytworem wyobraźni. Nie łudził się oczywiście, że miała na myśli miłość jak między mężem a żoną ani nawet między ojcem a córką, ale samo użycie przez nią tego słowa uczyniło na moment jego życie mniej jałowym i dlatego tak bardzo sobie to cenił.

Ruth – dla odmiany – mówiła o cenach i niedostatku towarów, o szyciu i sprawacn lokalnych i ta atmosfera normalności, jaka ją

otaczała, sprawiła, że postanowił nie wspominać o fantastycznej kuracji, którą Morna

zaaplikowała mu na łokcie. Czuł, że by nie uwierzyła i że odarłaby jego samego z wiary odbierając siłę magii i niwecząc cud. Ruth przyszła po południu do szopy odwiedzić go i zatykając sobie nos chusteczką powiedziała mu poufnie, że Wolfowi Caleyowi nie dają nawet dnia życia i że Josh Portfield ze swoimi ludźmi opuścił już Sonorę i jedzie na północ.

Gregg podziękował jej za tę informację i chociaż nie dał po sobie poznać, że go to obeszło, przy najbliższej okazji przemycił z domu do szopy swojego Remingtona i Trantora Caley'a i poświęcił sporo czasu na ich przegląd.

Portfield był zawsze dla Gregga postacią enigmatyczną. Odziedziczył po ojcu szmat ziemi, która przynosiła mu dochód, nie potrzebował więc angażować się w żadne podejrzaną afery. Podczas wojny zasmakował jednak w aktach gwałtu i nieszczęsne tereny Meksyku, położone w nieznaczącej odległości południe przyciągały go jak magnes. Od czasu do czasu brał ze sobą całą bandę mężczyzn i urządzał nieoficjalny i niczym nie uzasadniony „wypad” za granicę. Portfielda w żadnym razie nie można by nazwać okrutnikiem. Miesiącami nieraz prowadził zupełnie normalne życie, wydawało się jednak, że pojęcie zła i dobra było mu zupełnie obce.

Szczerze wierzył na przykład, że okazał Greggowi wielką wspaniałomyślność okaleczając mu rękę, zamiast go zabić za przeszkadzanie w pijatyce. Od tamtej pory spotykając Gregga czy to na drodze, czy w Copper Cross pozdrawiał go najserdeczniej, jak fevlko umiał, wyraźnie przeświadczony, że zyskał sobie jego wdzięczność i szacunek. Każdy człowiek, pomyślał Gregg, ma swój własny świat.

Istniało więc prawdopodobieństwo, że Portfield na wiadomość o nieszczęściu Caley'a wzruszy ramionami i orzeknie, że każdy, kto dla niego pracuje, powinien sobie poradzić z podstarzałym kaleką. Gregg znał takie nieoczekiwane reakcje Josha, podejrzewał jednak, że tym razem brzemię gniewu Portfielda zwali się na niego. W niezrozumiały sposób jego strach był spotęgowany i podsycany przez tajemnicze lęki samej Morny.

Kiedy podczas posiłków zasiadali we trójkę przy prymitywnym drewnianym stole, był zadowolony, że to Ruth bierze na siebie ciężar rozmowy z Morna. Pogawędka obracała się głównie wokół spraw domowych i stwarzała niejedną okazję do wyciągnięcia od Morny

jakichś szczegółów dotyczących jej osoby, ale ona omijała pułapki Ruth ze zręczną dyplomacją.

Późnym wieczorem chwyciły ją pierwsze bóle partę i od tego momentu Ruth zaczęła traktować Gregga jak niewygodny mebel. Przyjął to bez urazy, od dawna przyzwyczajony do ukrytej wrogości, jaką kobiety w połogu czują do mężczyzn, i chętnie spełniał wszystkie polecenia. Od czasu do czasu jedynie pełne zadumy spojrzenie Morny przypominało mu o istnieniu między nimi porozumienia, z którego Ruth, mimo całej swojej macierzyńskiej troski, nie zdawała sobie sprawy.

Dziecko urodziło się w niedzielę w południe i – tak jak przepowiedziała Morna – był to chłopiec.

– Nie pozwalaj jej wysilać się nadto – powiedziała Ruth w poniedziałek rano wsiadając do dwukółki. – Bezpośrednio po porodzie nie powinna się krzątać.

Gregg skinął głową.

– Bądź spokojna, sam się wszystkim zajmę.

– Zajmij się. – Ruth spojrzała na niego z nagłym zainteresowaniem. – A jak tam ostatnio twoje ręce?

– Lepiej. Jak gdyby mniej mi dolegały.

– To dobrze. – Ujęła lejce, ale wyraźnie ociągała się z odjazdem. Jej wzrok pobiegł ku domowi, gdzie stała Morna z maleństwem na ręku. – Już się chyba nie możesz doczekać, kiedy cię wreszcie

zostawię samego z tą twoją gotową rodziną, co?

– To niesprawiedliwe, Ruth. Wiesz przecież, jak bardzo sobie cenię to wszystko, co tu zrobiłaś. Chyba nie jesteś zazdrosna?

– Zazdrosna? – Potrząsnęła głową, a następnie posłała mu znaczące spojrzenie. – Morna to dziwna dziewczyna. Nie jest ani taka jak ty, ani jak ja, ale... wydaje mi się, że coś jest między wami.

Gregg znów poczuł lęk przed intuicją Ruth.

– Wiesz co, Ruth, zaczynasz mi przypominać jeden z tych nowych gramofonów.

– Nie mam na myśli żadnego kręactwa, ale jak cię znam, coś tam knujesz.

– Ureguluję rachunki za dzień albo dwa – odpowiedział wymijająco. – Jak tylko zmienię jedną z tych sztabek złota.

– Pospiesz się, zanim wróci Josh Portfield. – Szarpnęła lejce i dwukółka potoczyła się z boczem w dół.

Gregg zaczerpnął tchu i zanim wszedł do domu, ogarnął wzrokiem odległe błękitne szczyty sierry. Morna w dalszym ciągu miała na sobie kwiecisty szlafroczek i z owiniętym w szal maleństwem na rękach wyglądała zupełnie jak pierwsza lepsza młoda matka. Jedyne niecodzienny element jej wyglądu stanowiła złota ozdoba na ręku. Nawet w jasnym porannym słońcu igielka purpurowego światła błyszczała ostro i pulsowała w szybkim tempie kilku drgnień na sekundę. Gregg wiele myślał o tej ozdobie podczas swoich samotnych posiedzeń w ciągu dwóch ubiegłych dni i doszedł do wniosku, że rozumie jej funkcję, jeśli nie naturę. Uznał, że nadszedł czas, żeby wyjaśnić pewne sprawy.

Morna weszła za nim do domu. Poród był łatwy i bez problemów, ale twarz miała bladą i ściągniętą, a w uśmiechu, jakim go obdarzyła, kiedy zamykał drzwi, było coś niepewnego.

– Dziwne, że znów jesteśmy sami – powiedziała spokojnie.

– Bardzo dziwne – Gregg wskazał na migoczącą bransoletkę. – Ale wygląda na to, że niedługo będziemy sami.

Usiadła nagle, a noworodek podniósł miniaturową różową rączkę na znak protestu przeciwko takim gwałtownym ruchom. Morna przytuliła go do piersi. Pochyliła głowę dotykając czołem do czoła maleństwa; jej włosy opadły na twarzyczkę dziecka przysłaniając ją pasmami złota.

– Przepraszam cię bardzo – powiedział Gregg – ale ja muszę wiedzieć, kogo się spodziewasz ze wschodu. Muszę wiedzieć, komu mam stawić czoło.

– Nie mogę ci tego powiedzieć, Billy.

– Aha, rozumiem. Mam prawo, być może, zginąć, ale nie mam prawa wiedzieć, z czyjej ręki ani dlaczego.

– Proszę cię, przestań – głos jej był stłumiony. – Zrozum, że nie mogę ci nic powiedzieć.

Gregg poczuł się winny. Podeszedł do Morny i przykląkł koło niej.

– Dlaczego oboje, to znaczy wszyscy troje, nie wyjedziemy stąd natychmiast? Moglibyśmy załadować moją bryczkę i w dziesięć minut już by nas nie było.

Morna potrząsnęła głową nie patrząc w jego stronę.

– To by nic nie zmieniło.

– Dla mnie by zmieniło.

Na te słowa uniosła głowę i spojrzała na niego pełnymi niepokoju i łez oczami.

– Ten człowiek, Portfield, będzie próbował cię zabić?

– Ruth ci o nim powiedziała? – Gregg z niepokojem klasnął językiem. – Nie powinna była tego robić. I tak masz dosyć...

– Czy on będzie próbował cię zabić?^

Gregg był zmuszony powiedzieć niczym nie upiększoną prawdę.

– Nie chodzi o to, że on mnie będzie próbował zabić, Morno. On się tu kręci po okolicy z siedmioma czy ośmioma typami spod ciemnej gwiazdy i jeżeli postanowią kogoś zabić, to się nie krępują, tylko go po prostu zabijają.

– Och! – Morna jak gdyby odzyskała dawną stanowczość. – Mój syn jeszcze nie może podróżować, ale przygotowuje go, jak tylko będę mogła. Postaram się, Billy.

– W porządku – rzekł Gregg niepewnie. Miał niejasne uczucie, że przestał panować nad rozmową, ale stracił wszelką inicjatywę, a poza tym był zupełnie bezradny wobec kobiecych łez. – No, to dobrze. – Wstał i spojrzał na absurdalnie drobną buźkę niemowlęcia. – Czy pomyślałaś już o imieniu dla malca?

Morna odprężyła się natychmiast, pytanie sprawiło jej przyjemność.

– **Za** wcześniej. Nie dorósł jeszcze do tego, żeby dostać imię. Nadawanie imienia jest jeszcze ponad nim.

– Po angielsku – poprawił ją grzecznie Gregg – mówimy, że przyszłość jest przed nami, nie ponad nami.

– Ale to sugeruje linear... – Morna ugryzła się w język. – Masz rację. ^Powinnam była powiedzieć „przed nim”.

– Moja matka była nauczycielką – rzekł Gregg bez związku, znów z dziwnym uczuciem, że nie mogą się porozumieć. – Ja mam coś do zrobienia na dworze, ale będę blisko, gdybyś mnie potrzebowała.

Ruszył do drzwi, a kiedy je zamykał, odwrócił się jeszcze i spojrzał **za** siebie. Zobaczył, jak Morna znów siedzi z czołem przyciśniętym do czoła swojego synka – GOŚ, czego nigdy nie widział u innych kobiet. Ale przeszedł nad tym do porządku dziennego jako nad jednym z jej najmniej niecodziennych obyczajów. Prawdę powiedziawszy, nie miał poza domem nic specjalnego do zrobienia, ale

uznał, że powinien obserwować, czy ktoś się nie zbliża. Poszedł wolno na szczyt siodłowego wzgórza, stąpając pomiędzy głazami przypominającymi pasące się owce, i usiadł na jego wschodnim wierzchołku. Staranne zlustrowanie okolicy przez teleskop nie ujawniło żadnego ruchu w pobliżu rancza Portfielda ani na drodze biegnącej na południe do Copper Cross. Następnie Gregg wycelował swój niewielki przyrząd prosto na wschód, tam gdzie niewidoczna Rio Grandę przemyka się między północnymi pasmami Sierra Madre a górami Sacramento. Widoczność była dobra i Gregga olśniły zwarte szeregi szczytów i grani o niewyobrażalnym ogromie.

Poddajesz się jakimś czarom – pomyślał zirytowany – nic nie jest w stanie przeciąć kraju w prostej linii jak ptak – chyba tylko ptak.

Prawie cały dzień wytrwał na swoim punkcie obserwacyjnym, często jednak zaglądając do domu, żeby się przekonać, jak się miewa Morna, przygotować prosty posiłek na dwoje i zagrzać wodę do prania pieluszek. Z przyjemnością stwierdził, że dziecko przesypia całe przerwy między karmieniami dając Mornie okazję do odpoczynku. Od czasu do czasu przypominał sobie określenie Ruth „gotowa rodzina”, uderzony jego trafnością. Nawet w tak niecodziennych okolicznościach dobrze było mieć pod swoim dachem kobietę z dzieckiem, która tylko od niego – od żadnego innego mężczyzny – oczekiwała opieki i bezpieczeństwa. Ten układ uczynił go czymś więcej, niż był dotychczas. Mimo że próbował oddalić tę myśl, powracała natrętnie: jeśli uciekną razem na północ, to dziewczyna już nigdy nie wróci do swojego poprzedniego życia. W tej sytuacji rzeczywiście przypadłaby mu w udziale gotowa rodzina.

Gregg próbował jednak powściągać swoją wyobraźnię w tej sprawie.

Późnym wieczorem, kiedy słońce chyliło się ku niższym pasmom gór za dalekim Mexicali, dostrzegł samotnego jeźdźca zbliżającego się od strony rancza Portfielda. Mężczyzna nadjeżdżał powoli i fakt, że jest sam, przemawiał za tym, że nie ma się czego obawiać, ale Gregg postanowił nie ryzykować w najmniejszym stopniu. Zszedł ze wzgórza, minął dom, z kryjówki w szopie wziął Remingtona i zajął pozycję na skalnej ostrodze, gdzie droga skręcała ostro. Wyłaniający się zza zakrętu jeździec siedział w siodle niedbale pochylony, najwyraźniej drzemiąc, z kapeluszem naciśniętym na oczy dla

ochrony przed ukośnie padającymi promieniami słońca. Gregg rozpoznał w nim Cala Mashama, młodego kowboja, z którym rozmawiał w piątek w mieście.

– Co tu robisz w tej okolicy, Cal?! – zawołał do niego. Masham drgnął w siodle; szczęka mu opadła z wrażenia.

– Billy. Jeszcze tu jesteś?

– A niby gdzie miałbym być?

– Myślałem, że cię już nie ma.

– I chciałeś zobaczyć, co zostawiłem, tak? Masham uśmiechnął się spod sumiastego wąsa.

– Pomyślałem sobie, że może zostawiłeś te wielkie garnce *pul-que*, i pomyślałem też, że równie dobrze mógłbym je wziąć ja, jak i kto inny. Ostatecznie...

– Zawsze cię chętnie poczęstuję, ale akurat nie dzisiaj. Jedź w swoją stronę, Cal.

Masham był zawiedziony.

– Wydaje mi się, że wymachujesz tą bronią w złym kierunku, Billy. Czy wiesz, że Wolf Caley nie żyje?

– Nie wiedziałem.

– No to ci mówię. A wielki Josh wraca jutro. Dziś po południu przyjechał przed nim Max Tibbett i jak tylko usłyszał o Wolfie, wziął świeżego konia i zawrócił, żeby zawiadomić Josha. Nie powinno cię tu być, Billy. – Masham mówił z wyrzutem, na wysokiej nucie; wydawał się szczerze zdenerwowany głupim uporem Gregga.

Gregg zastanowił się.

– Chodź, weź sobie garniec *pulque*, tylko nie hałasuj, mam w domu gościa z nowo narodzonego dzieckiem, nie należy im przeszkadzać.

– Dzięki, Billy. – Masham zsiadł z konia i ruszył wraz z Greg-giem pod górę. Wziął ciężkie kamienne naczynie spoglądając ciekawie w stronę domu i odjechał przytulając dar do piersi.

Gregg obserwował go, póki nie znikł mu z oczu. Odłożył Remingtona i zdecydował, że i on ma prawo pociągnąć samogonu dla złagodzenia efektów zasłyszanych nowin. Przekroczył koleiny pozostawione przez własną bryczkę, która w tym miejscu zwykle zataczała koło, i zajrzał przez frontowe okno do domu, żeby sprawdzić, czy Morna jest w głównym pokoju. Miał zamiar jedynie rzucić okiem, ale dziwna scena wewnątrz zatrzymała go w pół kroku.

Morna miała na sobie swoją błękitną ciężową suknię, która jak gdyby została dopasowana na jej szczuplejszą teraz figurę, chociaż Gregg nie widział, żeby ona czy Ruth cokolwiek szyły. Rozpostarła na stole białe prześcieradło, pośrodku którego leżało dziecko, nagie poza przepaską na brzuszku przewiązującą pępek, sama zaś stała obejmując rękami główkę noworodka. Oczy miała zamknięte i bezgłośnie poruszała ustami — jej twarz, spokojna, podobna do maski, przywodziła na myśl kapłankę w czasie odprawiania prastarego obrządku.

Gregg z całych sił pragnął się odwrócić, przekonany, że wtargnął w sferę intymności, ale w wyglądzie Morny zaczęła się dokonywać zmiana, której powolny proces poraził go jakimś hipnotycznym paralizem. Jej złociste włosy jęły się poruszać, jak gdyby były jakąś złożoną istotą

rzządzającą się własnymi prawami. Głowę trzymała całkowicie bez ruchu, ale stopniowo, w ciągu mniej więcej dziesięciu sekund, włosy stanęły jej dęba – każde pasmo prosto, sztywno – tworząc przerażającą świetlistą aureolę. Na widok straszliwej przemiany Morny – z normalnej młodej matki w coś na kształt czarownicy – Greggowi zrobiło „się sucho w ustach. Zgięła się w pół, aż czołem dotknęła czoła dziecka. Na chwilę wszystko zamarło w zupełnym bezruchu – po czym jej ciało stało się przezroczyste.

Gregg poczuł na karku lodowate mrowienie sięgające jego własnych włosów, kiedy stwierdził, że widzi przez Mornę na wylot. Była niezaprzeczalnie obecna w pokoju, a mimo to ściany i kontury mebli przeszły przez jej ciało, jakby była jedynie obrazem rzuconym na nie przez latarnię magiczną.

Dziecko machało rączkami i nóżkami, ale poza tym wydawało się nie zwracać uwagi na to, co się dzieje. Morna pozostawała w tym stanie pomiędzy materią a mirażem przez kilka sekund, a potem, zupełnie nagle, powróciła do stanu normalnej cielesności. Wyprostowała się i Gregg zobaczył, że jej włosy zaczynają opadać w naturalnych falach. Przyglądała je rękami i odwróciła się do okna.

Gregg, przerażony, uchylił się jak przed ogniem karabinowym i umknął za bryczkę, którą zostawił na tyłach domu. Siedział tam skulony dysząc głośno, dopóki nie nabrał pewności, że Morna go nie widziała, a następnie udał się na swój zwykły punkt obserwacyjny na szczycie wzgórza, gdzie przykucnął i zapalił papierosa. Nawet z pomocą czegoś tak konkretnego i normalnego jak papieros je-

go serce dopiero po dłuższym czasie odzyskało normalny równomierny rytm. Gregg nie był człowiekiem przesadnym, ale ze swoich skromnych lektur wiedział, że istnieje szczególny rodzaj kobiet – znanych od czasów biblijnego En-dor do późniejszego Salem – które znają magiczne leki i często muszą uciekać przed prześladowaniami. Część jego umysłu wzdragła się przed zaliczeniem takiego dziecka jak Morna do tej kategorii, ale z drugiej strony nie sposób zaprzeczyć temu, co właśnie zobaczył, ani pominąć różne inne dziwne rzeczy.

Wypalił jeszcze cztery papierosy, co zajęło mu około godziny, po czym wrócił do domu. Morna, która wyglądała normalnie, zdrowo i świeżo jak rozwinięty pączek, zapaliła lampę naftową i gotowała właśnie kawę. Dziecko spało spokojnie w koszyku, który zostawiła dla niego Ruth. Morna zdjęła nawet swoją złotą bransoletkę, jak gdyby chciała ułatwić mu zapomnienie o tym, że jest w niej coś niezwykłego. Kiedy zajrzał jednak do ciemnej sypialni, zobaczył, że rubin świeci i pulsuje szybkim nieustannym sygnałem ostrzegawczym.

Była późna noc, kiedy wreszcie Greggowi udało się zasnąć.

Obudził go rano cienki, żaloszny pisk płaczącego dziecka. Nasłuchiwał przez dłuższy czas, oczekując reakcji Morny, ale zza zamkniętych drzwi sypialni nie doszedł go żaden inny dźwięk. Niezależnie od tego, kim mogła być Morna, wydała mu się sumienną matką, więc opieszałość z jej strony początkowo go zdziwiła, a następnie zaniepokoiła. Wstał z posłania, naciągnął spodnie i zapukał do drzwi. Nie było żadnej odpowiedzi, poza krzykami dziecka, regularnymi jak oddychanie. Zastukał jeszcze raz, głośniejszym, a potem pchnął drzwi.

Niemowlę leżało w koszyku koło łóżka – Gregg widział poruszające się małe piąstki – ale Morny nie było.

Nie wierząc własnym oczom obszedł dokoła cały pokój i nawet zajrzał pod łóżko. Zniknęły również jej ubrania, łącznie z płaszczem, co doprowadziło Gregga do wniosku, że wstała po ciemku, ubrała się i wyszła z domu. Żeby to jednak zrobić, musiałyby nie budząc go przejść w odległości



kilku stóp od miejsca, w którym spał na podłodze, a był przekonany, że nikt, nawet najzręczniejszy złodziej ani najsprytniejszy indiański tropiciel, nie zdołałby tego

dokonać. Z wolna jednak puste miejsca w jego umyśle zaczęły się wypełniać – traktował ją przecież w kategoriach normalnych istot ludzkich, a Morna, miał na to dowód, daleka była od normalności.

Dziecko nie przestawało płakać zaciskając oczki; w ten jedyny dostępny mu sposób protestowało przeciwko brakowi jedzenia i matczynego ciepła. Gregg patrzył bezradnie na maleństwo i przyszło mu w tym momencie do głowy, że Morna mogła pójść sobie na dobre, powierzając synka na zawsze jego opiece.

– Cicho, malutki – powiedział uświadamiając sobie, że nie sprawdził, czy jej nie ma przed domem. Wszedł i zaczął ją wołać po imieniu. Jego głos rozplątał się w powietrzu wchłonięty przez pustkę porannego krajobrazu i tylko koń skubiący trawę przy pompie uniósł łeb w chwilowym zdumieniu. Gregg pospiesznie przeszukał pozostałe zabudowania – szopę, w której pędził *pulque*, i nędzną walącą się budkę strażnika, która mu służyła za klozet, i zdecydował, że zawiezie niemowlę do miasta i odda je Ruth pod opiekę. Nie miał pojęcia, jak długo noworodek może wytrzymać bez jedzenia, i nie chciał niepotrzebnie ryzykować. Klnąc pod nosem zawracał już do domu, kiedy nagle zamarł dostrzegłszy na drodze, u stóp wzgórza, błysk srebra.

Zza występu skalnego wyłoniła się Morna. Była ubrana w swoją nieodłączną szatę, znów w oryginalnym kolorze, i niosła w ręce niewielki błękitny woreczek. Uczucie ulgi, jakie Gregg odczuł na jej widok, odsunęło w cień wszelkie obawy i zastrzeżenia z poprzedniego wieczoru i Gregg zbiegł z boczem w dół na jej spotkanie.

– Gdzie byłaś? – zawołał z daleka. – Co ci przyszło do głowy, żeby uciekać?

– Wcale nie uciekałam, Billy. – Posiała mu znużony uśmiech. – Miałam pewne sprawy do załatwienia.

– Co za sprawy? Dziecko płacze z głodu.

Doskonale piękna, młoda twarz Morny była dziwnie zimna.

– Cóż to takiego trochę głodu?

– Mówisz dziwne rzeczy – powiedział zaskoczony Gregg.

– Przyszłość dla ciebie właściwie nie istnieje, prawda? – Popatrzyła na niego z mieszaniną współczucia i gniewu. – Czy ty nigdy nie myślisz naprzód? Czy już zapomniałeś, że mamy... wrogów?

– Przyjmuję to, co mi przynosi los. Nic więcej człowiek nie może zrobić.

Morna rzuciła w niego swoim błękitnym sączkiem.

– Więc przyjmij to, co ci przynosi los.

– Co to takiego? – Gregg wziął woreczek i natychmiast ude<sup>7</sup>rzył go fakt, że nie jest on zrobiony z niebieskiego papieru, jak sądził. Materiał był cienki, mocny, gładki w dotyku, bardziej elastyczny niż cerata i bez warstwy płótna pod spodem.

– Z czego to zrobione?

– To nowy nieprzemakalny materiał – odparła Morna zniecierpliwionym tonem. – Ważniejsza jest zawartość.

Gregg otworzył woreczek i wyjął z niego duży czarny rewolwer;

Był znacznie lżejszy, niż należało się spodziewać po jego rozmiarach, i miał w sobie coś ze znajomej sylwetki colta, a na rękojeści wyżłobienia na palce. Na czubku, nad dużym palcem, widać było migotliwy błysk. Nigdy jeszcze nie spotkał się z bronią, która by mu tak pasowała do ręki. Puzyjrzał się rewolwerowi dokładniej i stwierdził, że ma bębenek na sześć naboí, odchylany na zawiasach dla łatwiejszego ładowania – coś, czego nie widział w żadnej innej broni. Rewolwer był

bez ozdób, ale lepiej skonstruowany i wykończony niż jakikolwiek ze znanych mu dotychczas. Przeczytał wolno napis wygrawerowany na długiej lufie:

– „Colt .44 Magnum”. Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Skąd go masz, Morno? Zawahała się.

•"•

– Wstałam kilka godzin temu. Zostawiłam go przy drodze tam, gdzie się spotkaliśmy pierwszy raz, i teraz po niego poszłam.

Ta historia nie wydała się Greggowi wiarygodna, ale jego uwagę. absorbowwała całkowicie sama broń.

– To znaczy skąd go wzięłaś przedtem? Gdzie można kupić taki rewolwer?

– To nie ma znaczenia. – Morna ruszyła w stronę domu. – Najważniejsze jest to, czy mógłbyś się nim posłużyć.

– Przypuszczam, że tak – odparł- Gregg zaglądając do błękitnego woreczka, gdzie znalazł jeszcze tekturowe pudełko mosiężnych naboju. Przykrywkę pudełka nie było i wiele naboju leżało luzem. – To pierwszorzędna broń, ale wątpię, czy można w nią załadować więcej naboju niż w mojego Remingtona.

– Chciałabym, żebyś ją wypróbował. – Morna szła tak szybko,

że Gregg ledwie za nią nadążał. – Proszę cię, spróbuj, czy umiesz ją nabić.

– Teraz, w tej chwili? A nie chcesz najpierw zobaczyć dziecka? – doszli właśnie do płaskiego terenu rozciągającego się przed domem, skąd było już słychać krzyki malca.

Morna spojrzała na rękę i Gregg zobaczył, że złota ozdoba płonie stałym purpurowym światłem.

– Mój syn może jeszcze chwilę zaczekać – powiedziała głosem stanowczym, ale jednocześnie nabrzmiałym paniką. – Proszę cię, nabij rewolwer.

– Jak sobie życzysz. – Gregg podszedł do bryczki, która posłużyła mu jako stół. Rozgarnął słomę, położył rewolwer i pod czujnym okiem Morny ostrożnie wysypał naboje z niebieskiego woreczka. Były dłuższe niż zwykle w broni ręcznej i podobnie, jak sam rewolwer – wykonane z precyzją, z jaką się nigdy dotychczas nie spotkał. Ich czubki lśniły jak polerowana stal. – Im coś bardziej pomysłowe, tym wyższa cena -- mruknął pod nosem. Manipulował przez chwilę przy broni, aż wreszcie otworzył bęben, wysypał naboje i zamknął. W pewnym momencie wzrok jego padł na pudełko po naboju wystające z woreczka do góry dnem; napisane na nim było jasnoniebieskim atramentem: „Paźdz. 1978”. Gregg wyciągnął pudełko w stronę Morny. – Ciekawe, co to znaczy.

Jej oczy rozszerzyły się nieznacznie; odwróciła się nie okazując zainteresowania.

– Po prostu napis firmowy. Numer serii.

– To wygląda na datę – skomentował Gregg – tylko że przez pomyłkę... – urwał zaskoczony, ponieważ Morna wytrąciła mu pudełko z ręki.

– No, dalej, głupcze! – krzyknęła depcząc je nogami. Jej bladą twarz wykrzywił grymas gniewu, oczy patrzące na niego rzucały białe błyski. Przez chwilę patrzyli tak na siebie, a potem jej wargi zaczęły drżeć. – Przepraszam cię, Billy. Bardzo cię przepraszam... ale to dlatego, że już prawie nie mamy czasu i... ja się boję.

– Nic nie szkodzi – powiedział zmieszany. – Wiem, że potrafię być denerwujący... Ruth mi to zawsze mówi, a poza tym żyję już od tak dawna samotnie...

Morna przerwała Greggowi kładąc mu dłoń na przegubie ręki.

– Daj spokój, Billy. Jesteś dobrym i życzliwym człowiekiem, ale

chcę, żebyś... teraz, proszę cię... nauczył się obchodzić z tą bronią. – Jej cichy, opanowany głos wywarł na Greggu większe wrażenie niż to wszystko, co mówiła do tej pory.

– Dobrze. – Odwrócił się, rozejrzał za właściwym celem i zaczął kciukiem odwodzić kurek.

– To zbyt cenne – powiedziała Morna. – Jeśli chodzi o szybki ogień, wystarczy nacisnąć spust.

– Wiem, automat – Gregg odbezpieczył broń, niebaczny na słowa Morny, dla podkreślenia, że lepiej zna się na broni, i za cel wybrał sobie polano wsparte o ciężkie kamienne koryto w odległości jakichś dwudziestu kroków. Kiedy mierzył z broni, Morna znów zwróciła mu uwagę.

– Powinieneś go trzymać oburącz. Gregg uśmiechnął się szeroko.

– Morno, jesteś bardzo wykształconą młodą damą i nie wątpię, że znasz się na przeróżnych rzeczach, o których ja nigdy nawet nie słyszałem, ale nie próbuj uczyć takiego starego wygi jak ja strzelania z sześciostrzałowca. – Ustawił broń nieruchomo, wstrzymał oddech i oddał pierwszy strzał. Rozległa się eksplozja przypominająca huk pioruna i potężny cios w czoło oślepił go bólem. W pierwszej chwili pomyślał niejasno, że rewolwer miał jakąś wadę, rozerwał się podczas strzelania i ranił go odłamkiem w twarz. Wkrótce jednak stwierdził, że broń jest nie uszkodzona, i zrozumiał, że było to potężne kopnięcie, które zgięło jego kontuzjowane ramię jak źdźbło słomy, tak że dostał kolbą w czoło. Wymarł zalewający mu oczy ciepły strumyczek krwi i spojrzał na rewolwer z nabożną czcią.

– Nie ma żadnego dymu – powiedział. – Nie ma nawet... Słowa zamarły mu na ustach, kiedy oderwał wzrok od rewolweru i stwierdził, że kamienne koryto, o które wspierał się jego cel, jest całkowicie zniszczone. Odłamki grubej na trzy cale kamionki . zaścielały trójkątną przestrzeń długości około trzydziestu jardów. Gregg mógłby przysiąc, że koryto zostało rozbite kulą armatnią. Morna odjęła rękę od uszu.

– Zraniłeś się, a mówiłam ci, żebyś trzymał ten rewolwer oburącz.

– Nic mi nie jest. – Odsunął jej rękę, którą usiłowała dotknąć jego czoła. – Morno, skąd ty masz... skąd ty masz tę maszynę?

– Sądzisz, że ja ci odpowiem na to pytanie?

– No nie, ale oczywiście chciałbym wiedzieć. Bo to jest coś, co mógłbym zrozumieć.

– Spróbuj tym razem z większej odległości i trzymaj broń oburącz. – Morna rozejrzała się dokoła, spokojniejsza już teraz, kiedy Gregg robił to, czego po nim oczekiwała. Wskazała białawą skałę w odległości około trzystu jardów na stoku wzgórza. – O, ta skała.

– Ale to już jest poza zasięgiem strzału – wyjaśnił. – Broń ręczna nie...

– Spróbuj, Billy.

– Dobrze, wyceluję powyżej.

– Celuj w samą skałę, w pobliżu czubka.

Gregg wzruszył ramionami i zrobił, jak mu polecono. Nagle poczuł bolesne pulsowanie w dużym palcu, kopniętym przez potężny rewolwer. Oddał drugi strzał i na widok fontanny kurzu o krok w prawo od skały doznał uczucia głębokiej satysfakcji, jaką mógłby pojąć tylko myśliwy. Mimo że tym razem trzymał broń oburącz, siła odrzutu była tak wielka, że rewolwer znalazł się w pozycji niemal pionowej, mierząc w niebo. Tym razem już bez zachęty wypalił po raz trzeci i zobaczył, jak od jego celu odrywają się odpryski skały.

Morna skinęła głową na znak aprobaty.

– Wygląda na to, że masz talent.

– To jest najlepsza broń, jaką kiedykolwiek widziałem – powiedział szczerze – ale ja jej nie mogę utrzymać. Te moje nieszczęsne ręce nie wytrzymują kopnięcia.

– To zbandażujemy ci łokcie.

– Za późno – powiedział z żalem wskazując w dół zbocza. Właśnie ukazało się tam kilku jeźdźców, których widok w bezludnej dotychczas okolicy był dla Gregga bardziej szokujący niż odkrycie skorpiona w koszyku piknikowym.

Zaczął przeklinać własną lekkomyślność, która pozwoliła mu opuścić punkt obserwacyjny, kiedy zza skalnej ostrogi wychynęło jeszcze kilku jeźdźców, aż wreszcie, rozsypawszy się w półkole, wszystkich ośmiu ukazało się u podnóża pagórka. Było to towarzystwo różnorodne – jedni siedzieli w siodle przygarbieni, inni wyprostowani, zależnie od indywidualnych obyczajów, na wierzchowcach też przeróżnych – od małych koników do wysokich, rosnących rumaków. Ubrani też byli każdy inaczej: i w wytłuszczone spodnie z kozł-

•we j skóry, i w szulerskie czarne garnitury. Gregg wiedział jednak, że stanowią miniaturową armię, zdyscyplinowaną i dowodzoną przez jednego człowieka. Przymrużył oczy przed porannym blaskiem i rozróżnił charakterystyczną sylwetkę Josha Portfielda na kasztanie. Josh miał na sobie jak zwykle białą koszulę i sukienny garnitur marengo, co nadawałoby mu wygląd duchownego, gdyby nie para niklowanych Smith and Wessonów u pasa.

– Miałem mimo wszystko nadzieję, że Duży Josh da spokój – powiedział Gregg. – Musiał go najść jeden z jego humorków. Morna instynktownie zrobiła krok do tyłu.

– Czy zdołasz obronić się przed tyłoma?

Będę próbował. – Zaczął garściami pakować do kieszeni naboje. – A ty lepiej idź do domu i zabarykaduj drzwi.

Morna popatrzyła na niego; w jej oczach pojawił się znów wyraz zaszczucia. Schyliła się, podniosła coś z ziemi i pobiegła do domu. Rozglądający się czujnie na boki Gregg nie zastanowił się, dlaczego kobieta traci czas na podnoszenie zgniecionego pudełka po nabojach, miał ważniejsze sprawy na głowie. Otworzył bęben, wyrzucił trzy puste łuski i zastąpił je pełnymi. Ze smutkiem raczej niż ze strachem podszedł parę kroków w kierunku zbliżających się jeźdźców. Dzieliła ich teraz odległość jakichś dwustu jardów.

– Trzymaj się z daleka od mojego obejścia, Josh! – krzyknął. – Prawo zabrania przekraczania granic cudzej posiadłości.

Portfield stanął w strzemionach, a jego potężny głos dotarł wyraźnie do Gregga mimo oddalenia.

– Jesteś bezczelny, Billy. I niewdzięczny. I straciłem przez ciebie dobrego człowieka. Mam zamiar cię za to ukarać, ale przede wszystkim zamierzam ukarać cię za bezczelność i brak szacunku. – Opadł na siodło i powiedział jeszcze coś, czego Gregg już nie dosłyszał. W sekundę później Siggy Sorensen wysunął się na czoło grupy i z pistoletem w ręku ruszył po zboczu w górę.

– Tym razem i ja mam broń! – krzyknął. – Tym razem walka będzie fair, co?

– Jeżeli podjedziesz bliżej, położę cię trupem – zagroził mu \ Gregg. Sorensen zaczął się śmiać.

– Jestem poza zasięgiem strzału, ty stary głupcze. Czy już zupełnie oślepieś? – Spiał konia ostrogą i puścił się pełnym galopem.

W tym samym czasie dwaj inni mężczyźni usiłowali zająć Gregga od lewej strony.

Gregg uniósł do góry wielki rewolwer i zaczął obliczać przeniesienie pocisku, ale w tej samej chwili uświadomił sobie, że z tą niesamowitą bronią, którą los włożył mu w ręce, problem taki praktycznie nie istnieje. Tym razem w sposób zupełnie naturalny przyjął właściwą pozycję – ugiął kolana i ujął rewolwer oburącz. Wycelował w Sorensena, pozwolił mu jeszcze trochę się zbliżyć i dopiero wtedy nacisnął spust. Masywne ciało Szweda, wysadzone strzałem z siodła, obróciło się w powietrzu i wylądowało twarzą w dół na kamienistym gruncie. Koń zawrócił w miejscu i uciekł. Zdając sobie sprawę, że wkrótce straci przewagę wynikającą z momentu zaskoczenia, Gregg skierował się teraz ku dwu jeźdźcom zachodzącym go od lewej. Drugim strzałem strącił tego, który był bliżej, na ziemię, a następnym – oddanym nieco za szybko – położył trupem konia pod tym, który znajdował się dalej. Zwierzę padło natychmiast, nie wydawszy głosu, a jeździec rzucił się ku niemu szukając osłony za jego ciałem i wlokąc za sobą połyskującą czerwienią nogę.

Gregg spojrzął na drogę i w tym momencie ocenił własną sytuację. Widział przed sobą stadko spłoszonych koni, ale poza tym żywego ducha. W ciągu krótkiej chwili wytchnienia, jaka była im dana, jeźdźcy pochowali się za skały znikając mu z oczu, bez wątpienia ze strzelbami wyjętymi z olster przy siodłach. Zdając sobie nagle sprawę z własnej niebezpiecznej" pozycji na szczycie wzniesienia, Gregg pochylił się nisko i ruszył biegiem w stronę szopy. Przycupnięty pod jej osłoną, wyrzucił trzy puste łuski i włożył pełne naboje doceniając szybkość ładowania wielkiego rewolweru.

Ku jego zaskoczeniu rozległ się odgłos strzału pistoletowego i obłok czarnego dymu wznosił się w odległości zaledwie dwudziestu jardów. Coś otarło mu się o dolne zebra. Gregg schował się z powrotem za szopę, gapiąc się z niedowierzaniem na poszarpaną krwawą dziurę w koszuli. Był o włos od śmierci.

– Jesteś za powolny, panie Gregg – odezwał się głos przerażająco blisko. – Ta stara strzelba na bawoły, w którą się zaopatrzyłeś, na nic się nie zda, skoro jesteś taki ślamazarny.

Gregg poznał we właścicielu głosu Frenchy'ego Martine'a, młodego dzikusa z kanadyjskich lasów, którego przyniosło do Copper Cross w ubiegłym roku. Ów śmiertelny niemal strzał padł od strony

budki strażnika, która służyła Greggowi za prymitywną ubikację. Nie miał pojęcia, jak w tym czasie Martine mógł podejść tak blisko, ale dotarło do niego jedno: że człowiek pięćdziesięcioletni nie ma szans wobec młokosa w kwiecie wieku.

– I jeszcze ci coś powiem, panie Gregg – zachichotał Martine. – Jesteś za stary na tę lalunię, którą chowasz w tej swojej...

Gregg zrobił krok w jego stronę i wypalił do wąskiej budki przebijając calowej grubości deski, jakby to był papier. Za ubikacją rozległ się odgłos padającego ciała i pistolet potoczył się po ziemi. Gregg cofnął się pod szopę w tym momencie, kiedy w oddali rozległ się huk strzału i zaraz potem usłyszał odgłos kuli wchodzącej w drewno. Jedyną pociechą było, że jego wrogowie są uzbrojeni w najzwyklejszą broń, ponieważ prawdziwa bitwa miała się dopiero rozpocząć.

Martine łudził się, że będzie bezpieczny za dwiema warstwami drewna, ale było jeszcze co najmniej ze czterech mężczyzn, którzy z pewnością nie powtórzą jego błędu. Najprawdopodobniej osaczą go nie wychodząc zza skały, a następnie przygwoźdzą ogniem ze strzelb dalekiego zasięgu. Gregg nie wyobrażał sobie, jak nawet z, czarną maszyną śmierci, którą trzymał w rękach, zdoła przeżyć najbliższą godzinę, zwłaszcza że stracił dużo krwi.

Ukląkł, zrobił z chustki kwadratowy tampon i wetknął go w ranę. Ponieważ przez minutę nikt do niego nie strzelał, wykorzystał chwilę spokoju na to, żeby pustą łuskę zastąpić pełnym nabojem i w ten sposób uzupełnić ładunek. Nad całym terenem zaległa zdradliwa cisza.

Rozejrzał się po oblanych blaskiem słońca szczytach, z głazami przypominającymi pasące się owce: zastanawiał się, skąd padnie strzał. Dokoła wszystko jak gdyby zaszło mgłą i Gregg w odrętwieniu zdał sobie sprawę, że może nic nie wiedzieć o następnym strzale, dopóki nie poczuje, jak pocisk żłobi sobie drogę w jego ciele. Uszy wypełniło mu pulsujące brzęczenie – dobrze znany symptom zbliżającej się utraty przytomności – i Gregg spojrzął poprzez groźną otwartą przestrzeń dzielącą go od domu niepewny, czy zdoła ją przebyć, nim oberwie po raz drugi. Szansa była niewielka, ale gdyby dotarł do domu, mógłby przynajmniej przyzwoicie opatrzyć sobie ranę.

Podniósł się i uświadomił sobie dziwny fakt, że chociaż brzęcze nie w uszach przybrało na sile, umysł ma stosunkowo jasny. W momencie gdy dotarło do niego, że potężny dźwięk przypominający brzęczenie roju szerszeni istnieje obiektywnie, usłyszał ryk strachu wydobywający się z ludzkich gardzieli, a zaraz po nim kanonadę. Instynktownie uchylił się,

ale w pobliżu nie było słyhać świstu kul. Zaryzykował wyrzucenie na opadającą zboczem drogę i to, co zobaczył, sprawiło, że zimny pot pokrył mu czoło. Szczupła, wąska w ramionach, czarno odziana postać z twarzą przysłoniętą czarnym kapturem... wstępowała pod górę. Otaczała ją dziwna chmura ciemności, jak gdyby była obdarzona zdolnością odbijania światła, stanowiąc jednocześnie źródło pulsującego brzęczenia, od którego drżała ziemia. Za tą budzącą *zgrozą* postacią leżały, najwyraźniej martwe, konie ludzi Portfielda. Gregg zobaczył też, że sam Portfield z jeszcze jednym mężczyzną, ukryci za skałami, grzeją do niej z bliska.

Ale jedynym efektem ich strzałów były małe purpurowe błyski na tle otaczającej zjawę umbrę. Po dwunastu mniej więcej strzałach, które nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia, przybysz wykonał lewym ramieniem koszący ruch. Portfield i jego towarzysze padli jak kukły. Odległość była zbyt duża, żeby stwierdzić cokolwiek na pewno, ale Gregg odniósł koszmarne wrażenie, że ciało z ich twarzy odpadło jak strzępy szmat. Koń Gregga zarżał z przerażenia i rzucił się w prawo.

Kolejny z ludzi Portfielda, Max Tibbett, w porywie rozpaczliwej odwagi wychynął z ukrycia po drugiej stronie drogi i strzelił do tajemniczej postaci z tyłu. Na krawędzi ciemnego obłoku pojawiło się jeszcze kilka purpurowych błysków. Nie oglądając się nawet zjawa wykonała lewą ręką ten sam niedbały gest, unosząc przy tym skraj czarnej szaty jak skrzydło nietoperza, i Tibbett runął kurcząc się i rozpadając. Jeżeli ktokolwiek z jego towarzyszy pozostał jeszcze przy życiu, to w każdym razie nie wychodził z ukrycia.

Postać podeszła pod sam szczyt wzgórza powiewając szatą i posuwając się z nadludzką wprost szybkością na stopach, które wydawały się zniekształcone i nieproporcjonalnie małe. Nie spoglądając ani w lewo, ani w prawo, sunęła prosto do drzwi domostwa i Gregg wiedział, że jest to prześladowca, przed którym uciekała Morna. Przenikliwe brzęczenie osiągnęło oszałamiającą intensywność.

Poprzedni strach Gregga przed śmiercią był niczym w porównaniu z mrocznym przerażeniem, jakie obecnie narastało mu w duszy.

Przepelniał go odwieczny zwierzęcy lęk, który odebrał mu zdrowy rozsądek i całą odwagę, każąc zasłonić oczy i skulić się w ukryciu, dopóki cień złego nie przeszedł. Spojrzał na czarną połyskliwą broń w swoich rękach i potrzęsął głową, ponieważ głos, którego wolałby nie słyszeć, przypomniał mu o układzie przypieczętowanym złotem, o obietnicy uczynionej przez człowieka, za jakiego się uważał. Nic nie mogę poradzić – pomyślał. – Nie jestem w stanie ci pomóc, Morno.

W tym samym momencie z przerażeniem stwierdził, że wychodzi z ukrycia za szopą. Ręce uspokoiły mu się i wycelowały broń bez świadomego udziału mózgu. Nacisnął spust. Ukazał się jaskrawy purpurowy błysk, który rozdarł aureę otaczającą zjawę jak błyskawica. Postać zatoczyła się w bok z ochrypłym wrzaskiem, który zmroził Greggowi krew w żyłach, i zwróciła się ku niemu, z lewym ramieniem uniesionym jak skrzydło koszmarnego ptaka.

Gregg dostrzegł ten ruch w trójkacie własnych wyciągniętych ramion, poderwanych w górę przez kopnięcie rewolweru. Broń była wymierzona bezsensownie pionowo w niebo. Minęła wieczność, nim Gregg zdołał ponownie wziąć na cel przeciwnika obdarzonego 'demoniczną siłą i szybkością. Nacisnął spust. Znów błysnęło i postać padła na ziemię zawodząc przenikliwie i krzycząc. Gregg zbliżał się do niej na miękkich nogach, rażąc raz po raz ogniem swojej potężnej broni.

Niewiarygodna czarna zjawa przeżyła ten zmasowany ogień. Podniosła się z ziemi, w aureoli dziwnie zniekształconej, jak obraz widziany w uszkodzonej soczewce, i zaczęły się wycofywać. Oszołomionemu Greggowi wydało się, że przybysz za każdym krokiem pokonuje niebywale dużą przestrzeń, jak gdyby stapał po niewidzialnej płaszczyźnie, która sama oddalała się w ogromnym

tempie. Pulsujące brzęczenie pola mocy przycichło do szeptu i zanikło. Gregg był sam w jasnym, czystym, łagodnie wznoszącym się świetle.

Padł na kolana, wdzięczny za ciepło słoneczne. Spojrzał na swoją pierś, zdumiony widokiem krwi, która przesiąkała mu przez ubranie: zaraz potem padł na twarz bez czucia.

Nie wolno mi powiedzieć ci czegokolwiek... mój biedny, dzielny Billy... choć tyle dla mnie wycierpiałeś. Słowa prawdo

podobnie i tak nie będą miały dla ciebie żadnego znaczenia – o ile je w ogóle kiedykolwiek usłyszysz.

Użyłam podstęp, a ty się na nim nie poznałeś i dałeś się wciągnąć w wojnę... w wojnę, która się toczy od dwudziestu tysięcy lat i może trwać wiecznie...

Były długie okresy, kiedy Gregg leżał i patrzył w sękatę, nierówną drewno sufitu usiłując ustalić, czy to jest rzeczywiście sufit, czy leży w jakiś sposób zawieszony wysoko nad podłogą. Jedyne, co wiedział na pewno, to tylko to, że pielęgnuje go młoda kobieta, która przychodzi i odchodzi bezszelestnie i mówi do niego głosem o rytmie tak regularnym i kojącym jak przybój oceanu.

Jesteśmy równi – moi ludzie i Inni – ale nasze siły są różne, jak różne są nasze natury. Oni niepodzielnie władają przestrzenią – naszą domeną jest czas...

W czasie są stojące fale... nie wszystkie terażniejszości są jednakowe... „teraz”, którego doświadczasz, jest znane jako Najwyższe Teraz, bo ma większy potencjał niż jakiegokolwiek inne. Jesteś z nim związany, tak jak związani są z nim Inni... ale psychiczne zdolności mojego ludu pozwalają nam uwolnić się i przenieść na grzbiet innej fali w dalekiej przeszłości... w miejsce bezpieczne...

Od czasu do czasu docierało do Gregga, że zmieniają mu opatrunki na piersi i że ktoś zwilża mu zimną wodą wargi i czoło. Piękna, młoda twarz z szarymi czujnymi i pełnymi troski oczyma unosiła się nad jego twarzą, a on usiłował sobie przypomnieć imię, które mu się z tą istotą kojarzyło. Marta? Mary?

Dla kobiety z mojego ludu najbardziej niebezpiecznym okresem w życiu jest ostatni tydzień ciąży... zwłaszcza jeśli potomek jest płci męskiej i ma być obdarzony pewnymi szczególnymi cechami umysłu... W tej sytuacji dziecko może być wciągnięte do twojego „teraz”, rodzimego czasu całej ludzkości, i matka razem z nim... Zwykle opanowuje ona sytuację wkrótce po rozwiązaniu i wraca z dzieckiem do czasu schronienia... ale zdarzają się rzadkie przypadki, że męski potomek opiera

się wszelkim próbom wywarcia wpływu na jego psychikę i przeżywa swoje życie w Najwyższym Teraz...

Szczęśliwie dla mnie mój syn jest prawie gotów do podróży... bo księżę zmańczał i wkrótce powróci...

Rozkosz wywołana smakiem zupy przekonała Gregga po raz pierwszy, że nadrabia straty wynikłe z upływu krwi, że siły mu powracają, że nie umrze. Podczas gdy wlewano mu do ust odżywczy płyn, napawał się świeżością i urodą swojej córki-żony i był jej wdzięczny za dobroć i wdzięk. Wszystkie myśli o straszliwym ciemnym tropicielu, który jej zagrażał, wtłoczył w najciemniejsze zakamarki swej pamięci.

Przepraszam cię... mój biedny, dzielny Billy... mój syn i ja musimy już wyruszać w podróż. Im dłużej tu będziemy przebywali, tym mocniej zostanie on związany z Najwyższym Te-\* raz... a moi ludzie będą niespokojni, dopóki się nie przekonają, że jesteśmy bezpieczni...

Ja byłem szkolona do życia w twoim „teraz”, choć w mniej niebezpiecznych jego rejonach... i dlatego mogę rozmawiać z tobą po angielsku... ale mój statek wylądował w niewłaściwej części świata, tysiące lat temu, i będą się bali, że zginęłam..

Moment jasności, Gregg obrócił głowę i przez szparę w drzwiach sypialni zajrzał do głównego pokoju. Morna stała koło stołu z wibrującą złotą aureolą włosów wokół głowy. Pochylona, dotykała czołem czoła dziecka.

Nagle zasnuli się mgłą, stali się przezroczyści, **aż** wreszcie zni-knęli.

Gregg dźwignął się do pozycji siedzącej, potrząsając głową i wyciągając w tamtą stronę wolną rękę. Pierś przeszył mu ból otwartej na nowo rany, padł więc zamoczony na poduszki z trudem łapiąc oddech. Po upływie nieokreślonego czasu znów poczuł na czole wilgotne płótno i niepokój wywołany stratą ustąpił.

Uśmiechnął się i powiedział.

– Buleni się, że odeszłaś.

– Jakbym mogła cię tak zostawić? – odparła Ruth Jefferson. – Co tu się wyprawiało, na miły Bóg? Zastaję cię w łóżku z raną od kuli w piersiach, a otoczenie domu wygląda jak pobojuwisko. Sam i paru jego przyjaciół uprzatdją tu, co zostawiły mysz.oiuwy, i powiadają, że od czasów wojny nie widzieli podobnej jatki.

Gi < gg otworzył oczy i odpowiedział jej w sposób, którego mogła się spodziewać:

– Ominęła cię piękna walka, Ruth.

– Piękna walka! – Ruth aż zatkało ze złości. – Jesteś gorszym durniem, niż myślałam, Billy Gregg. Co tu się stało? Czy to ludzie Portfielda pobili się między sobą?

– Coś w tym rodzaju.

– Masz szczęście – burknęła. – A gdzie była Morna z dzieckiem, kiedy się to wszystko działo? Gdzie jest teraz?

Gregg zaczął szperać w pamięci usiłując oddzielić sen od rzeczywistości.

– Nie wiem, Ruth. Oni... odeszli.

– Jak tu?

– Odeszli z przyjaciółmi.

Ruth popatrzyła na niego podejrzliwie i westchnęła głęboko.

– W dalszym ciągu mi się wydaje, że szykowałeś jr-.hiś numer, ale prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, jaki.

Gregg, pielęgnowany przez Ruth, pozostał jeszcze trzy dni w łóżku i wydawało mu się rzeczą zupełnie naturalną, że powinni powrócić do planów małżeńskich. W tym czasie nie zamykały się drzwi od gości, radych, że Gregg żyje, a Josh Portfield zginął. Wszyscy byli ciekawi szczegółów strzelaniny, która wkrótce przeszła do legendy, ale Gregg nie powiedział nic, co by przeczyło wersji, że po prostu Portfield i jego ludzie pozabijali się nawzajem w nagłej kłótni.

Kiedy tylko został sam, przeszukał dokładnie dom i znalazł wciśnięte za baryłkę samogonu i owinięte schludnie w płócienną szmatkę sześć wąskich sztabek złota. Zgodnie jednak z jego przewidywaniami wielki rewolwer – czarna maszyna śmierci – zniknął. Morna widocznie zdecydowała, że nie powinien go mieć, i Gregg po chwili



uznał, że właściwie ją rozumie. Plątały mu się po głowie jakieś słowa z okresu gorączkowych majaków, które, jak się wydawało, mogły wyjaśnić wszystko, co się zdarzyło. Wystarczyło je sobie tylko dokładnie przypomnieć, żeby ułożyły się w klarowny obraz. Początkowo sprawa wydawała mu się dosyć prosta – potrzebna mu jest tylko chwila wytchnienia, żeby mógł pomyśleć.

Nastąpiła i dla Gregga chwila wytchnienia, ale wiele czasu minęło, zanim pogodził się z myślą, że marzenia – jak letni upał – mogą kiedyś jedynie zelżeć.

# Niedorzeczne facsimile

Coburn patrzył na swoją dziewczynę ze wzrastającym przerażeniem. Słyszał, że coś takiego nachodzi czasem zupełnie normalne młode kobiety, ale zawsze sądził, że Eryce to nie zagraża.

– Nigdy dotychczas nie wspominałaś o małżeństwie – rzekł drętwo – a poza tym jesteś zoologiem.

– Chcesz przez to powiedzieć, że mam pchły? Czy może brucelozę? – Eryka podniosła się, tak że jej zielone oczy znalazły się o pół cala nad jego oczyma. Ten ruch uczynił wysportowane ciało Szwedki jeszcze bardziej atrakcyjnym, ale jednocześnie przywiódł Coburnowi na myśl kobrę groźnie unoszącą łeb.

– Nie, nie – powiedział szybko. – Miałem tylko na myśli, że ktoś pracujący w tej dziedzinie co ty, musi sobie zdawać sprawę, jak nienaturalnym stanem jest monogamia wśród...

– Zwierząt. Bo tak mnie traktujesz, prawda?

– No, przecież nie jesteś ani warzywem, ani minerałem. – Coburn uśmiechnął się bezradnie. – Wiesz, że żartowałem, kochanie.

– Wiem, skarbie. – Eryka nieoczekiwanie zmiękła i pochyliła się ku niemu, obezwładniając go siłą swego ciepła, złocistych włosów, zapachu perfum i mącących umysł krągłości. – Chyba nie powinieneś mieć nic przeciwko małżeństwu z takim zdrowym zwierzakiem jak ja, prawda?

– Oczywiście, ja... – Urwał uświadamiając sobie, co się dzieje. – Problem polega na tym, że ja się nie mogę z tobą ożenić.

– Dlaczego nie?

– No bo rozumiesz... – Myśli Coburna odbywały dziką gonitwę w poszukiwaniu wyjaśnienia. – Jeśli mam być szczerzy... hmmm... wstąpiłem do Kosmicznej Marynarki Handlowej. Eryka zachnęła się.

– Zęby uciec ode mnie.

– Nie. – Coburn powiódł dokoła błędnym wzrokiem w nadziei, że zrobi wrażenie człowieka, który połknął bakcyli kosmicznego. – Ciągnie mnie w kosmos, kochanie. Nic na to nie poradzę. To zew niezbadanych czarnych przestrzeni. Stopy mnie świerzbią, żeby deptać powierzchnię nieznaną gwiazd.

– Planet – sprostowała Eryka z całym okrucieństwem.

– Właśn-t' l<sup>^</sup>; miałem na myśli.

– W tej sytuacji ja też wyjadę. – Jej oczy wydawały się powiększone p.-7cz łyzy. – Żeby zapomnieć o tobie.

Coburn był młodym człowiekiem o miękkim w zasadzie sercu i przykro mu było zadawać ból dziewczynie, ale pocieszał się myślą, że jednak udało mu się uniknąć małżeństwa, które, jak wiedział każdy obywatel dwudziestego pierwszego wieku, było straszliwym anachronizmem.

Z tym większym więc zdziwieniem odkrył – w trzy dni po tym, jak Eryka wyruszyła na wyprawę do jakiegoś zapadłego zakątka świata – że życie jest nic niewarte. Wszystkie przyjemności, które wydawały się tak ponętne wtedy, kiedy groziło małżeństwo, teraz straciły urok.

Wreszcie – uznawszy, że znalazł się na dnie – zrobił rzecz w tej sytuacji jeaynie logiczną.

Wstąpił do Kosmicznej Marynarki Handlowej.

Później Coburn przekonał się, że z tym dnem to była nieprawda. Dokonał tego odkrycia nagle, po trzech miesiącach służby.

Bez żadnego doświadczenia w prowadzeniu statków kosmicznych i właściwie bez żadnych

predyspozycji do tej pracy zdołał jednak w dwa tygodnie skończyć kurs podstawowy dzięki Kabinie Uniwersalnej mającej zastosowanie we wszystkich praktycznie środkach transportu, od samochodów poczynając poprzez samoloty i łodzie podwodne, a na statkach kosmicznych kończąc. Kabina ta pozwalała pilotowi skoncentrować się na samym celu podróży zamiast na tym, jak go osiągnąć.

I właśnie tym był pochłonięty Coburn – transportem ładunku świetlistych futer z jednego systemu gwiazdowego na drugi, gdzieś daleko na Obrzeżu – kiedy poczuł na karku ucisk zimnego meta-lu. Okrzyk zdziwienia, jaki wydał, był wywołany głównie odkryciem, że na jego statku o załodze jednoosobowej znajduje się pasażer na gapę; okrzyk wzbogacił się o tony paniki, kiedy Coburn ustalił wstępnie, że jedynym, co ów pasażer na gapę mógł mu przyłożyć do karku, była broń.

– To jest broń – potwierdził szorstki głos. – Rób, co ci mówię, jeśli nie chcesz mieć kłopotów.

--- Jedyne, co bym chciał, to wrócić do domu, o ile ci to nie przeszkadza.

– Owszem, przeszkadza mi. – Intruz wysunął się zza fotela Co-burna i znalazł się w jego polu widzenia. Był to potężnie zbudowany ryżawy mężczyzna około czterdziestki z wygoloną głową. Twarz i czaszkę miał pokryte taką samą rudą szczecina.

Coburn skinął głową.

– Gdybyś chciał lecieć tam, gdzie ja, żebyś się nie ujawnił do końca podróży, tak?

– Słusznie.

– Z tego wnoszę, że sobie życzysz, żebym wylądował gdzieś indziej?

– I znów masz rację, synu. Kieruj się na drugi świat Tонера, o tam. – Rudzielec wskazał jaskrawo błyskający punkt po jednej stronie przedniego ekranu.

– Chyba nie zamierzasz tam lecieć, ten świat jest nie zami"-szkany!

– Właśnie dlatego chcę tam lecieć, synu. Jestem Patsy Eckert. Na dźwięk tego nazwiska Coburn natychmiast dostał skurczu żołądka. Trudno było nazwać Eckerta asem przestępczości – na to zbyt wiele razy wpadał – ale poszukiwano go na jakichś stu światach jako człowieka wyraźnie niezdolnego do popełnienia jednego zgodnego z prawem czynu. Kradzież, szantaż, gwałt i morderstwo były dla niego czymś tak naturalnym jak dla innych praca i zabawa.

– Myślałem – wyszeptał Coburn – że zostałeś...

– Stracony? Nie tym razem. Udało mi się uciec, ale odnoszę wrażenie, że na kilka lat powinienem się ukryć. Gdzieś, gdzie nie przyjdzie im do głowy mnie szukać.

Coburn nie był głupi, próbował więc powstrzymać bieg myśli, który musiał go nieuchronnie doprowadzić do określonych wniosków dotyczących jego własnego losu.

– Ale przecież możesz sobie znaleźć jakieś lepsze ukrycie. – Wskazał na otaczające ich ekrany. – Popatrz, ile miejsca jest w galaktyce. Każdy z tysięcy tych punktów świetlnych to jakaś planeta...

– Gwiazda – przerwał mu Eckert, przyglądając się Coburnowi ciekawie.

– Właśnie to chciałem powiedzieć. 'Z pewnością gdzieś w tych pustych przestrzeniach... Eckert uniósł broń.

– Wiesz co, bracie, zanim trochę tej pustej przestrzeni znajdzie się u ciebie w głowie, wyląduj dokładnie tam, gdzie ci powiedziałem.

Coburn skinął głową ponuro i zaczął naciskać odpowiednie klawisze, by zaprogramować zmianę kursu statku w kierunku najbliższego słońca i lądowanie automatyczne na jego drugiej planecie. Było oczywiste, że po wylądowaniu Eckert nie pozwoli statkowi kontynuować lotu, a w tej sytuacji najlepsze, czego mógł się Coburn spodziewać, to że zostanie uwięziony na nieznaną planetę. Alternatywą była szybka śmierć wkrótce po wylądowaniu. Zachowywał ponure milczenie,

statek dokonywał poślizgów przestrzennych, system docelowy zaś tracił na ostrości, powiększając się skokami na przednim ekranie, aż wreszcie druga planeta przybrała rozmiary krążka wielkości talerza wprost przed nimi. Było to białe, zwiewne ciało niebieskie, całkowicie przysłonięte przez chmury.

– Nie ma tu żadnych urządzeń naprowadzających – powiedział Coburn – nie możemy się wśliznąć, musimy dokonać lądowania linearnego w normalnej przestrzeni.

– Nie przejmuj się, ja już od dawna myślę o tej planecie. Pod tą chmurą kryje się jedna wielka równina.

Podczas kiedy Coburn sprawdzał tę informację na radarze dalekiego zasięgu, Eckert znów przesunął się za niego i wsadził mu lufę broni w zagłębienie u podstawy czaszki. Coburn z rozrzewnieniem, acz na próżno, pomyślał o błogich rozkoszach małżeństwa, w których mógłby się pławić z Eryką, gdyby nie był na tyle głupi, żeby porzucić i ją, i ciepłą przytulność Ziemi. O, to jest właśnie – po

myślał, kiedy statek zagłębił się w mętną, mglistą atmosferę – dno mojego życia, już gorzej być nie może.

Ale znów się pomylił.

Kiedy statek długim, ukośnym lotem przebił się przez dolną warstwę chmur, zobaczył dokładnie na wprost siebie – tam gdzie powinna znajdować się jedynie gładka równina – masywny i dziwnie znajomy kształt przykrytej śnieżną czapą góry.

Miał zaledwie czas krzyknąć, nim wyrzwał prosto w skalną ścianę.

Gdy Coburn odzyskał przytomność, stwierdził, że leży na przechylonej, ale nie uszkodzonej podłodze swojej kabiny. Eckert, którego rzuciło na tablicę rozdzielczą, robił wrażenie zszokowanego i zaskoczzonego. Różne urządzenia elektroniczne wydawały natarczywe odgłosy, ale sam fakt, że pozostało z nich tyle, żeby mogły wydawać jakiegokolwiek odgłosy, wydawał się Coburnowi cudem. Słabo potrząsnął głową rozważając koszmarną sytuację, w której Eckert odzyska splot i ponownie w niego wyceluje.

– Jak tyś to zrobił? – warknął rudzielec.

– Jak co zrobiłem?

– Jak mogłeś tak manipulować poślizgami przestrzennymi, że wylądowaliśmy na Ziemi?

– Jak ci mogło przyjść do głowy coś równie idiotycznego?

– Nie zalewaj, bracie. Ta góra, w którą o mało cośmy nie wyrznęli, to Mount Everest.

Coburn czuł się chory, wstrząśnięty i wściekły; stwierdził, że ma w nosie broń tamtego.

– Wbij sobie do tego swojego pustego łba, że gdybym to ja wynalazł technikę poślizgów przestrzennych, która by mi umożliwiła dokonanie takiego manewru, byłbym dziś milionerem, a nie... – głos zamarł mu pod wpływem nagłej niesamowitej myśli. Potworny kolos skalny, który zobaczył na przednim ekranie, rzeczywiście wyglądał jak Mount Everest. Podniósł się i spojrzał na ekran, ale ani na tym, ani na żadnym innym nie było nic widać na skutek zderzenia. Przyszła mu do głowy pewna myśl: – Powiem ci więcej, mój panie – rzekł. – Myśmy nie prawie wyrznęli w górę; myśmy się dokładnie wylądowali w jej zbocze! Powinniśmy byli wyparować.

Eckert zaczerpnął tchu i groźnie łypnął okiem na Coburna.

– Tak się akurat złożyło, że wiem, że na Tonerze II nie ma żadnych gór, więc...

Rozległ się dzwonek alarmowy sygnalizujący przedostawanie się do kabiny statku niebezpiecznych substancji radioaktywnych z podziurawionych pojemników.

– Później do tego wrócimy – rzekł Coburn. – Na razie musimy się stąd wynosić.

Otworzył wyjście awaryjne odsłaniając widok na strome białe zbocze i zeskoczył w zasne śnieżną. Eckert w sekundę później idąc w jego ślady, mało mu nie wylądował na głowie. Usiedli wdychając chłodne, żywiczne powietrze i rozglądając się dokoła. Statek spoczywał na końcu długiej, płytkej koleiny, wśród śnieżnych moren, które usypał po drodze, w otoczeniu surowych skalnych szanów wznoszących się ku ołowianemu niebu. I znów Coburn pomyślał o Everescie, prawie tak dziwnym jak fakt, że żył.

– To jest ciepłe! – wykrzyknął Eckert podnosząc garść białych płatków. – To nie jest zwykły śnieg.

Coburn przyjrzał się z bliska tej dziwnej substancji i stwierdził, że ulotne drobiny przypominają raczej strzępki gumy piankowej. Intensywnie żywiczny zapach, jakim przesycona była atmosfera Toner II, wypełniał mu nozdrza przyprawiając o zawrót głowy.

– Oddalmy się od statku – powiedział niepewnie – może być jakiś wybuch.

Odchodząc od nieznacznie uszkodzonego pojazdu instynktownie kierowali się w dół zbocza. Widok przysłaniały im gnane wiatrem pasma śniegu i mgły, ale od czasu do czasu ukazywała się przed nimi położona daleko w dole jak gdyby szarozielona równina.

– To chyba rzeczywiście nie może być Ziemia – zgodził się Eckert. – Ale coś się tu dzieje dziwnego.

W ciągu godziny tylko nieznacznie zbliżyli się do podnóża góry, ponieważ biała substancja, w której brnęli, chociaż pod wieloma względami nie przypominała ziemskiego śniegu, to jednak była równie śliska i miała tendencję do zbijania się w szkliste grudki na butach. Coburn zapadł w pełne przygnębienie milczenie przerywane tylko od czasu do czasu przez westchnienia! jęki, kiedy tracił równowagę i padał. Myślał właśnie tęsknie o pozostałej na Ziemi Eryce, oddalonej od niego o setki lat świetlnych, i zastanawiał się, czy kie

dykolwiek wiadomość o jego tajemniczym zniknięciu dotrwa do niej, kiedy nagle pochwycił uchem daleki okrzyk. Wiatr uniósł gdzieś słaby strzęp dźwięku, ale 7 miny Eckerta wynikało jasno, że i on musiał go słyszeć.-

– O, tam – powiedział wskazując na lewo. – Tam kto i musi być.

Zmienili kierunek idąc teraz w poprzek zbocza i po upływie kilku minut Coburn dostrzegł obszar cytrynowozielonej jasności rozświetlającej mgły przed nimi. Źródło światła było niewątpliwie sztuczne. W pierwszym odruchu Coburn chciał podbiec w tamtą stronę, ale Eckert powstrzymał go wyciągniętą splotką.

– Nie tak szybko, bracie – powiedział. – Nie mam najmniejszego zamiaru nadstawiać głowy pod stryczek.

Doszli do niskiego pagórka, za którym jasność była bardzo intensywna. Z inicjatywy Eckerta podpełzli na czworakach do szczytu i ostrożnie wyrzeli na drugą stronę. W odległość zaledwie stu kroków tkwiły pionowo w śniegu dwa czarne pale oddalono od siebie o jakieś cztery stopy. U podstawy każdego z nich znajdowało się kłębowisko kabli i metalowych skrzynek, zaś prostokątne pole pomiędzy słupami wyglądało jak arkusz migotliwej, trzeszczącej światłości, która zasłaniała obszar wzgórza tuż za nimi. Śnieg dokoła był ubity, poznaczony śladami stóp. Z jakiegoś powodu przypominało to Coburnowi portal, pozostawione otworem drzwi.

Najbliższe kilka sekund utwierdziło go w tym odczuciu: ze świetlistego prostokąta wyszły nagle dwa brunatne, kudłate goryle i zaczęły dreptać dokoła otrząsając z futra kryształki lodu. Z nimi sypało śniegiem w gwałtownych porywach, chociaż – jak zauważył Coburn – na Tonerze II było stosunkowo spokojnie i nie padało. Tknęło go nieprzyjemne przecucie co do prawdziwej natury portalu.

– Co za paskudne zwierzaki! – Eckert mówił szeptem. – Czy masz choćby zielone pojęcie, co to może być?

– Na mapie Marynarki Handlowej ich nie ma, ale przecież Federacja Ziemska to tylko drobna część Komuny Galaktycznej, która składa się z tysięcy nie znanych nam kultur,

– Im mniej wiemy o takich jak te tutaj bydlakach, tym lepiej – odparł Eckert prezentując szowinizm, który przy jego niechęci do wszelkich ludzkich norm nie zdziwił Coburna specjalnie. – Ale ich jest więcej. Czy to urządzenie może być przenośnikiem materii?

Zjawily się jeszcze cztery kudłate goryle; dwa z nich dźwigały trójnogi, które mgliście przypominały teodolity, jakimi posługują się geodeci. Jeden z goryli zaczął porykiwać głosem o tak dziwnej modulacji, że dopiero po kilku sekundach Coburn zorientował się, że mówi w języku galaktycznym, zwanym galingua.

– ...od szefa Obsługi Technicznej – mówił goryl. – Donosi, że niecałe dwie godziny temu niewielki statek typu, ziemskiego wylądował nieplanowo na planecie. Pola pochłaniające uniemożliwiły mu zobaczenie góry na ekranach radarowych, więc uderzyli w zbocze północne w sam środek Wielkiego Kuluaru, zniszczyli część nowego systemu ogrzewczo-chłodniczego i wynurzyli się po stronie południowej dokładnie nad Lodowcem Khumbu.

Drugi goryl podskakiwał w podnieceniu.

– Przeszli na wylot! To znaczy, że mogą być gdzieś tu w pobliżu.

– Dlatego zostały wezwane z Ziemi wszystkie ekipy miernicze, żeby pomogły w poszukiwaniach. Wszelkie prace budowlane są zawieszono, dopóki nie będziemy mieli pewności, że załoga nie żyje.

– Czy musimy ich zabić?

– Jeśli zajdzie taka potrzeba. A potem trzeba znaleźć pojazd i wystrzelić go poza obręb systemu Tonera, zanim jego sygnały sprowadzą statek ratowniczy.

Podskakujący goryl uspokoił się nieco.

– Jeden prymitywny statek, a tyle z nim kłopotu.

– Trudno. Wyobrazasz sobie, co by z nami zrobił Komitet, gdyby przeciekły wieści na temat Everestu II? Dwa wieki pracy poszłyby na marne!

Eckert złapał Coburna za ramię.

– Słyszałeś, co on powiedział? On mówił o sprowadzeniu z Ziemi ekip mierniczych – i te bydlaki wyłazą z tego zielonego światła ze sprzętem geodezyjnym! Mówię ci, że to jest przenośnik materii i że wystarczy tylko przez niego przejść, żeby się znaleźć na Ziemi.

– A ja myślałem, że ty chcesz się właśnie gdzieś ukryć, tak żeby się nie rzucać w oczy – zauważył Coburn beznamiętnie, zajęty innymi niepokojącymi sprawami.

– Gdybym się dostał na Ziemię natychmiast, nie zostawiając po sobie żadnego śladu, byłoby to najlepsze schronienie z możliwych. Kto mnie będzie tam szukał?

Coburn ze zniecierpliwieniem odsunął rękę Eckerta.

– Co mnie to obchodzi? Posłuchaj, odkryłem, dlaczego nie zginęliśmy mimo czołowego zderzenia ze zboczem tej góry, dlaczego powietrze ma tutaj taki żywiczny zapach i dlaczego ten śnieg nie przypomina prawdziwego śniegu.

– Człowieku, co ci przychodzi do głowy? – W głosie Eckerta zabrzmiała nuta beztróskiego pobbazania; nie spuszczał przy tym pppo-żądliwego wzroku ze świetlistego zielonego prostokąta.

– Nie rozumiesz? Te stwory budują z włókna szklanego replikę Mount Everestu!

– Pieprzysz! – skomentował dobrotluwie Eckert nie odwracając nawet głowy. Leżał nieruchomo

i" obserwował grupę odmieńców, którzy oddalili się wyraźnie z jakimś celem. Skierowali się nieznacznie w lewo od osłaniającego Coburna i Eckerta wzgórza, ale żaden z nich nie zauważył mężczyzn. Gdy tylko zniknęli w tumanach śniegu, Eckert obrócił się do Coburna z wycelowanym pistoletem.

– Tu się nasze drogi rozchodzą – powiedział. – Ja daję nura w to zielone światło.

– Ja też mam zamiar przejść.

– Nie wątpię, ale jesteś jedynym facetem, który mógłby mnie sypnąć. Bardzo mi przykro. – I wziął go na muszkę.

– Nasi włochaci przyjaciele usłyszą, jak .do mnie strzelisz. Mogą być tu wszędzie dokoła nas. Mogą cię ścigać. Eckert zastanowił się.

– Masz rację. Lepiej będzie, jeśli po przejściu zniszczę te czarne skrzynki obok pali i w ten sposób zatrzasnę za sobą drzwi. To cię tymczasem zatrzyma. – Z tymi słowy władował Coburnowi łufę pistoletu w splot słoneczny z siłą ciosu karate. Coburn stracił dech i – chociaż nie stracił przytomności – jego porażone płuca odmówiły posłuszeństwa. Był pewien, że umiera, z gardła wydobywały mu się mlaszczące, lepkie dźwięki. Eckert wstał i pochyliwszy nisko rudą, szczeciniastą głowę pobiegł ku portalowi.

Był już prawie u celu, kiedy wyłonił się kolejny goryl. Eckert strzelił mu w brzuch. Goryl siadł z głośnym klapnięciem, złapał się za żołądek i łagodnie padł do tyłu. Od strony, w której zniknęła cała grupa, dały się słyszeć przypominające dźwięk trąbki pokrzykiwania. Eckert rozejrzał się dokoła, wskoczył w zielony prostokąt i zniknął.

Cuburn nabrał przeswiadczenia, że od tej chwili pobyt na Tonerze II stał się dla niego jeszcze mniej wskazany niż poprzednio. Uczucie to było tak silne, że przewyciężył paraliż i z zamiarem dotarcia do portalu dźwignął się na kolana, ale usłyszał głosy powracających goryli i zorientował się, że nie zdąży uciec. Na widok zamazanych sylwetek biegnących humanoidów, które wyłaniały się właśnie z mgły, rzucił się z powrotem na ziemię. Czterej z nich były to znane mu już goryle, a dwaj, bezwłosi i znacznie chudsi, mieli zielonkawą skórę częściowo pokrytą żółtą łuską. Ich łyse głowy lśniły jak starannie wypolerowane jabłka. Otoczyli kołem rozciągniętego na ziemi nieruchomego goryla; przez chwilę rozmawiali cicho, a następnie zaczęli się rozglądać groźnie nasrożeni. Coburn natychmiast pomyślał o śladach stóp Eckerta wiodących prosto od portalu do zbawczego wzgórza i rzeczywiście w chwilę później przybysze zauważyli Io samo. Rozsypali się w półkole i zaczęli się zbliżać. Coburn usiłował wtopić się niemal w nieustępliwy grunt, kiedy nagle stało się coś nieoczekiwanego.

Patsy Eckert wygramolił się z powrotem przez świetlisty prostokąt portalu.

Był pokryty prawdziwym śniegiem od stóp do głów i trząsł się tak gwałtownie, że ledwie mógł ustać, a niewielki fragment jego twarzy, który wзираł, spod lodowej maski, był trupioblady. Jeden z goryli dostrzegł Eckerta natychmiast, wydał okrzyk i reszta pomknęła ku niemu całą gromadą. Eckert usiłował unieść pistolet, ale broń wypadła mu z ręki. Jedno z bezwłosych stworzeń przewróciło go zupełnie zręcznym futbolowym chwytem i Eckert zginął Coburnowi z oczu w płątanie ciał.

Domysły na temat kopii Mount Everestu wykonanej z włókna szklanego, jakie snuł przebywający w swoim stosunkowo bezpiecznym schronieniu Coburn, zaczynały się krystalizować. Jeżeli jego teza była słuszna, portal nie mógł prowadzić do pierwszego lepszego miejsca na Ziemi, musiał odpowiadać stosownemu punktowi na prawdziwym Evereście, tak żeby ekipy pomiarowe mogły łatwo przenosić swoje pomiary. A zatem Eckert musiał się wyłonić na Mount Evereście w samym środku zimy w warunkach, w których

bez podgrzewanego skafandra i maski człowiek mógłby przeżyć zaledwie kilka sekund.

Najwyraźniej gorylowate stwory, porośnięte kudłatą sierścią, wytrzymały w tej temperaturze, a jeśli potajemnie od paru wieków odwiedzały Ziemię...

Mój Boże – pomyślał Coburn – ja przecież oglądam Człowieka Śniegów!

Wszystkie stare nie potwierdzone obserwacje, wszystkie niewytłumaczalne ślady w śniegach Himalajów, wszystkie legendy na temat Yeti pochodziły od tych stworzeń, które – z siebie tylko znanych powodów – wznosiły plastikową imitację najwyższego szczytu ziemskiego.

Tajemnica goryli niemal całkowicie zawładnęła wyobrażeniami Coburna, ale nowe zajścia przy portalu oderwały go od tych rozmyślań. Nie zważając na zwłoki swego towarzysza stwory podniosły z ziemi bezwolnego Eckerta i zaniósły go w rejon zielonkawych mgieł. Minęły wzgórze w niewielkiej odległości w dalszym ciągu nie dostrzegając Coburna. Oddychał już normalnie i dostęp do portalu miał wolny, ale zrozumiał, że nie tędy wiedzie droga ucieczki. Wyjął z torebki przy pasku pigułkę odżywczą, posłał ją w zamyśleniu i w dyskretnej odległości ruszył za oddalającą się grupą.

Po przejściu niecałego kilometra wzdłuż stoku, spotkali w okolicy skalistych występów cztery bezwłose stworzenia, które zatrzymały się, żeby obejrzyć dygocącego w dalszym ciągu Eckerta. Jeden z nich lekkomyślnie przysunął do niego twarz. Eckert zademonstrował wracającą w rękach władzę przez wymierzenie mu ciosu w okolicę nosa. Coburn, zbliżywszy się na tyle, że słyszał, co tamci mówią, chcąc nie chcąc poczuł pewien respekt dla niektórych przejawów charakteru rudzielca. Doszedł przy tym do wniosku, że oba typy stworzeń muszą mieć bardzo krótki wzrok, w związku z czym zbliżanie się do nich nie wydało mu się specjalnie niebezpieczne.

– ...z tego, co zobaczyliśmy na statku wynika, że musiało być dwóch Ziemiaków – gęgał w galingua jeden z nowo przybyłych zielonych humanoidów. – Musimy znaleźć tego drugiego, zanim się zjawi szef.

– Pewnie znów będzie miał do nas pretensję, jak zwykle – wy-jęczał najmniejszy goryl. – Zawsze mówiłem, że powinniśmy mieć obronę orbitalną.

– Żeby zwrócić na siebie uwagę? Wiesz, jak surowy jest Galaktyczny Komitet Olimpijski, jeśli chodzi o łamanie przepisów. Gdyby odkryli, że nasza ekipa wspinaczy trenuje podejście na Mount Eve-rest przed igrzyskami, zdyskwalifikowaliby nas co najmniej na dziesięć stuleci.

Ale mały goryl był w dalszym ciągu niezadowolony.

– Właściwie dlaczego wybrali akurat Everest?

– Zaczynasz być nielojalny, Vello – powiedział jeden z bezwłosych. – Everest jest wspaniałą górą i doskonale odpowiada wymogom tej konkurencji. A poza tym wiesz chyba dobrze, jak trudno jest wywiadowcom Komitetu co pięć wieków znaleźć nową odpowiednią górę, skoro mogą szukać tylko wśród światów, o których wiadomo, że będą miały prawo przyłączyć się do Komuny Galaktycznej przed następnymi igrzyskami. To wcale nie jest takie proste, zwłaszcza kiedy tybulcy mają dobry wzrok i zaczynają poszukiwać UFO.

– W dalszym ciągu wydaje mi się, że ten treningowy obiekt nie jest wart całego zachodu.

– Drogi chłopcze, jesteś najwyraźniej za młody na to, żeby docenić znaczenie prestiżu i ogromnego kapitału politycznego, jaki zyskuje świat, który wystawi w tej konkurencji zwycięską drużynę. – Po chwili dołączyły się inne głosy nagany. Coburn, tak był zaabsorbowany wysiłkiem rozszyfrowania ich paplaniny, że nieostroźnie wytknął głowę ponad skałę z włókna szklanego. Przebiegł go zimny dreszcz, kiedy spotkał się wzrokiem z leżącym u stóp swoich wrogów Eckertem. Nie wiedział, dlaczego zaniepokoił go fakt, że został dostrzeżony przez drugą istotę ludzką, skoro goryle i bezwłose osobniki tak były pochłonięte skakaniem sobie do oczu, że go nie zauważyły. Uniósł rękę i lekko poruszył palcami w geście przyjacielskiego pozdrowienia; wprawdzie uprzednio



Eckert zamierzał go zabić, ale teraz byli po prostu dwoma Ziemiakami w obcym świecie i mieli wspólnie stawić czoło wrogiemu otoczeniu.

– O, tam jest ten drugi! – wykrzyknął Eckert wskazując na skałę, za którą krył się Coburn. – O, tam się chowa!

Zapadła nagle cisza. Tubylcy swoimi krótkowzrocznymi oczyma wypatrywali Coburna, który przypadł do ziemi klnąc Eckerta i śląc w myśli pełne udręki słowa pożegnania Eryce. Ten moment nieuwagi swoich wrogów Eckert postanowił wykorzystać jako okazję do ucieczki. Ze zwierzęcą zręcznością zerwał się na nogi i rzucił przed

siebie. Dwaj tubylcy puścili się za nim, ale umknął im sprytnie wspinając się na występ skalny i skacząc na równy grunt po drugiej stronie. Rozległ się głośny trzask, kiedy Eckert przebijał się przez powierzchnię. Coburnowi mignęła czarna dziura o poszarpanych brzegach, z której uleciał w górę rozpaczliwy wrzask, wskutek zjawiska Dopplera przechodzący w cichy jęk. Wyglądało na to, że Eckert spada z wysoka.

– A mówiłem, że tutaj jest miejscami bardzo cienka powierzchnia – zauważył jeden z goryli. – Mildo znów poskapił materiałów.

– Nie przejmuj się tym – powiedział cierpko jeden z bezwłosych. – Lepiej przeszukajmy te skały. – Grupa rozsypała się w wachlarz, tak jak poprzednio, skupiając się w miarę podchodzenia do Coburna. Coburn zerwał się i rzucił do ucieczki instynktownie kierując się ku zielonemu blaskowi portalu.

– Brać go! Zabić go! – wykrzyknął jeden z nich. Coburn zaklął brzydko, rozpoznając nosowe gęganie najmniejszego goryla, który dał mu się już poznać jako podżegacz. Coburn był zawsze dobrym biegaczem, a teraz – dodatkowo dopingowany strachem, że zostanie złapany albo że przeleci przez powierzchnię – mknął wśród śnieżnego krajobrazu ledwie dotykając stopami ziemi. Ścigany przez nagonkę odsądził się od tubylców, a jaśniejąca zielonkawa poświata, która przybierała znany już kształt świetlistego portalu, była tuż przed nim. Martwy goryl leżał w dalszym ciągu w pobliżu jednego z czarnych słupów.

Na początku ucieczki Coburn żywił niejasne przekonanie, że może obieć całą planetę z równą szybkością, ale teraz, po przebyciu kilometra, zaczął raptownie tracić oddech, a krzyki wrogów słyszał tuż za plecami. Dopadł portalu, przełożył jedną nogę przez prostokąt światła, ale natychmiast ją cofnął. Zła himalajska zima ukąsiła go jak drapieżne zwierzę.

Oddychając chrapliwie, z ustami słonymi z wyczerpania, osunął się na ziemię. Wybór miał bardzo skromny: albo dość szybka śmierć wśród śniegów prawdziwego Everestu, albo najprawdopodobniej bardzo szybka śmierć w rękach prześladowców na sztucznym Eve-reście. Wybrał to drugie, głównie dlatego, że nie wymagało od niego przyjęcia pozycji pionowej. Krzyki prześladowców były coraz głośniejsze.

To jest to, Eryko – pomyślał. – Ale ja cię naprawdę kochałem.

Powiódł dokoła zdesperowanym wzrokiem, usiłując zdobyć się na filozoficzny spokój, ale nieprzyjemny widok zwłok goryla przyniósł mu problematyczną pociechę. Długie kudły poruszały się obojętnie na wietrze odsłaniając mosiężne urządzenia, które połyskiwały tuż przy skórze. Czyżby ozdoby? Coburn podczołgał się do nieruchomego ciała, rozgarnął włosy na boki i odkrył zamek błyskawiczny biegnący od brody do krocza. Kiedy podniósł oczy, które wyrażały zrozumienie, dostrzegł w nieznaczej odległości awangardę pościgu wdrapującą się na skały. Prowadziły zielonkawe stworzenia. Miał nie więcej niż minutę czasu. Rozpiął zamek błyskawiczny, zsunął zwierzęcą maskę i znalazł w środku zwłoki jednego z łysych zielonkawych osobników. Kudłate przebranie stanowiło zarówno kamuflaż, jak i ochronę przed zimnem podczas ich ukradkowych

wypraw na Ziemię.

Coburn dygotał z podniecenia i strachu wyciągając martwe ciało z włochatego kokona. Krzyki ścigających stały się ostrzejsze, kiedy dostrzegli jego poczynania. Był; już niemal przy nim. Coburn naciągnął na siebie trzepocącą na wietrze skórę, nasadził na głowę hełm goryla i nie tracąc czasu na zasunięcie zamka, skoczył przez portal

dokładnie w momencie, kiedy zielonkawa łapa przejechała mu pazurami po grzbiecie.

Himalajski wiatr podmuchem niewiarygodnego zimna wdarł się przez otwarty kombinezon. Coburn zamknął go niezdarnie rękami w rękawicach i oddalił się od portalu, który od tej strony prezentował się po prostu jako dwa czarne słupy. Wicher wiał okrutny i Coburn ledwie mógł utrzymać równowagę na wyboistym gruncie, ale wiedział, że jak najszybciej musi się stąd oddalić. Ci spośród ścigających go tubylców, którzy mieli na sobie podobne kostiumy, byli powolniejsi w pościgu od swoich bezwłosych braci, ale za to mogli wkrótce znaleźć się po tej stronie drzwi.

Coburn brnął przez oślepiające chmury śniegu. Po upływie jakichś dziesięciu minut poczuł się niemal bezpieczny przed pogonią.

Po godzinie był pewny, że już nigdy więcej nie zobaczy swoich zielonych prześladowców. Jedyne kłopot polegał na tym, że zaczął podejrzewać, że nie zobaczy już nigdy nikogo. To był Everest, straszliwy władca Himalajów głoszący rykiem żywiołów swój tryumf,

a Coburn nie miał ani doświadczenia, ani odpowiedniego sprzętu, żeby się stąd wydostać.

Szedł wytrwale w miarę możliwości kierując się w dół i żywiąc nadzieję, że urządzenia ogrzewcze w jego skafandrze są solidne. Stopniowo jednak opuszczały go siły. Coraz częściej padał i coraz wolniej się czwigał. W końcu posuwanie się naprzód straciło sens. Usiadł na niskim występie skalnym, czekając aż zasypie go śnieg i wymaże wszelkie ślady jego bezowocnej egzystencji. Pogodził się z myślą o nadchodzącym wiecznym odpoczynku.

Minęło około trzydziestu sekund wiekuistego odpoczynku, kiedy poczuł na sobie prymitywnie uplecioną siatkę, która ściągnęła go na ziemię. Wydał jęk przerażenia i usiłował się wyrwać, ale mocne nici ciaśniej tylko oplótły mu ramiona i nogi. Pomyślał, że wrogowie dopadli go mimo wszystko, i tym razem nie zamierzają ryzykować. Improwizując przekleństwa w galingua Coburn usiłował się podnieść, żeby umrzeć jak mężczyzna, ale nawet ta skromna ambicja została udaremniowana silnym ciosem w podstawę czaszki. Gasnącym wzrokiem zdołał jeszcze zauważyć, że jego oprawcy mają zwykłe ziemskie skafandry śniegowe.

W jego głowie zapanował całkowity chaos: chwilami nieprzytomny, od czasu do czasu zdawał sobie sprawę, że go wloką w siatce po śniegu. Kiedy oprzytomniał na tyle, żeby zaprotestować, stwierdził, że otwór na usta w gorylej masce jest zamknięty, a wszelkie porozumienie za pomocą mowy artykułowanej niemożliwe. Dał więc za wygraną, położył się na wznak i ograniczył jedynie do unikania ostrych skał, którymi była usiana droga. Po upływie kilku minut grupa zatrzymała się i jeden z prześladowców odsunął płytkę zasłaniającą mu usta.

– Mamy go! – zawołał po angielsku do kogoś, kto był poza zasięgiem wzroku Coburna. – Złapaliśmy Yeti!

– Cudownie! – odpowiedział kobiecy głos.

Na dźwięk tego głosu oburzenie Coburna, że został zakwalifikowany i potraktowany jak zwierzę, natychmiast ustąpiło. Usiadł i zaczął gorączkowo rozsuwać zamek błyskawiczny.

Kobieta uklękła przed nim.

– Yeti! – wyszeptała zdyszana. – Mój własny Yeti!

Coburnowi udało się wreszcie rozpiąć kostium; odrzucił hełm.

– Eryka – powiedział. – Moja własna Eryka!

– Jezus Maria – rzekła w osłupieniu. A potem jej twarz rozpromienił uśmiech, którego nawet chłód nie był w stanie zwa-rzyć. – Och ty, cudowny wariacie! A ja naprawdę uwierzyłam, że uciekłeś w kosmos i zupełnie o mnie zapomniałeś.

– Nigdy – odparł i wyciągnął do niej rękę.

– Teraz nie czas na to. – Pomogła mu wstać. – Trzeba cię zaprowadzić do pomieszczenia, zanim zamarznie na śmierć. No i oczywiście czekamy na ciekawą opowieść, jak to się stało, że w tym zwierzęcym przebraniu poszedłeś śladem mojej ekspedycji.

Coburn objął Erykę ramieniem.

– Spróbuję coś wymyślić.

# Członek rzeczywisty

W końcu rzecz tak banalna jak zapalniczka do papierosów zburzyła spokój ducha Philipa Connora.

Już ponad godzinę tkwili z Angielą nad jej basenem kąpielowym i chociaż niewiele powiedziała przez cały ten czas, każde słowo, każdy zniecierpliwiony gest jej szczupłych rąk dobitnie mówiły, że wszystko między nimi skończone.

Connor siedział sztywno na krześle obciążonym płótnem, wyraźnie speszony, i usiłował zrozumieć, co jest przyczyną tej zmiany. Studiował pilnie twarz Angoli, nieprzeniknioną i zupełnie odczło-wieczoną przez ogromne owadzie oczy okularów słonecznych. Jego wzrok powędrował za samotnym białym motylem, towarzysząc mu w jego ryzykownym locie ponad basenem, aż do momentu, kiedy migocząc jak gwiazda, zniknął w cieniu brzoź.

Dotknął czoła lepkiego od potu.

– Morderczy upał.

– A mnie jest przyjemnie – powiedziała Angielą, jeszcze i w ten sposób dając mu odczuć, że już nic ich nie łączy. Poruszyła się nieznacznie na leżance, zmieniając pozycję półnagięgo brązowego ciała.

Connor z tęsknotą spoglądał na mini-pejzaż jej kształtów – terytorium, z którego został wygnany – i oceniał sytuację. Po śmierci wuja Angela stała się bogata, nawet bardzo bogata, ale Connor nie mógł uwierzyć, żeby to był jedyny powód zmiany. Jego dochód roczny wynosił dwieście tysięcy, więc Angielą wiedziała, że nie poluje na pieniądze.

– Niedługo mam spotkanie – powiedziała z jawnie nieszczerym uśmiechem.

Connor postanowił wzbudzić w niej poczucie winy.

– To znaczy, że mam sobie iść, tak?

Spojrzała na niego ze współczuciem, ale był to tylko moment, i piękna twarz Angeli przybrała znów wyraz nieprzeniknionego spokoju.

Angela usiadła, wzięła papierosa z paczki leżącej na niskim stoliku, otworzyła torebkę i wyjęła z niej złotą zapalniczkę. Zapalniczka wysliznęła jej się z palców, przeleciała przez wyłożony kafelkami brzeg basenu i wpadła do płytkiej w tym miejscu wody. Dziewczyna krzyknęła zaniepokojona i rzuciła się po zgubę, ochlapując sobie przy tym twarz i jasne włosy. Ociekająca wodą zapalniczka zapaliła się przy pierwszej próbie. Angela posłała Connorowi dziwnie niepewne spojrzenie, schowała zapalniczkę do torby i wstała.

– Przykro mi, Phil – powiedziała – ale naprawdę muszę już iść. Była to dość obcesowa odprawa, ale urażony w swojej ambicji Connor ledwie to zauważył. Urodzony spryciarz, z głową do interesów jak mało kto, z miejsca zaczął kombinować: zapalniczka mimo całkowitego zamknięcia zapaliła się natychmiast, co znaczyło, że jest to najlepszy sprzęt tego rodzaju, jaki widział w życiu, a do tego z tak niezwykłym kształtem spotykał się po raz pierwszy. Zaintrygowało go to bardzo. Jego zawód polegał przecież na znajomości wszystkich pięknych, kosztownych cacek na świecie, a on najwyraźniej przegapił coś ważnego.

– Dobrze, Angie, już idę – podniósł się. – Zauważyłem, że masz bardzo ładną zapalniczkę. Czy mogłabyś mi ją pokazać? Złapała za torebkę, jakby się bała, że jej wyrwie.

– Proszę cię, Philip, daj mi spokój i idź już sobie. – Odwróciła się i odeszła w stronę domu.

– Wpadnę na chwilę jutro.

– Proszę bardzo – odparła nie odwracając się nawet. – Ale mnie tu nie będzie.

Connor poszedł do swojego Lincolna, usiadł ostrożnie na rozgrzanym siedzeniu i odjechał do Long Beach. Było już dość późno, mimo to jednak wrócił do biura i zaczął wydzwaniać do różnych zaprzyjaźnionych firm, żeby sprawdzić, czy i one nie wiedziały o tej rewelacji w dziedzinie produkcji zapalniczek. Ponieważ i sekretarka, i telefonistka były na urlopie, sam musiał się tym zająć. Pozwoliło mu to zapomnieć na chwilę o dojmującym bólu po stracie Angeli

i napełniło go uspokajającym poczuciem, że robi coś w kierunku jej odzyskania, a przynajmniej wyjaśnienia sytuacji między nimi.

Odniósł idiotyczne wrażenie, że złote cacko ma coś wspólnego z ich zerwaniem. Było to oczywiście śmieszne, ale wracając pamięcią do chwil wspólnie spędzonych nad basenem stwierdził, że Angela – rzecz u niej dziwna – prawie nie paliła. Najprawdopodobniej postanowiła odzwyczaić się po prostu od papierosów, ale Connorowi przyszło jednak do głowy, że może niechciała w jego obecności wyjmować zapalniczki.

Doszedłszy do wniosku, że te dociekania donikąd nie prowadzą, zamknął biuro i pojechał do domu. Mimo dość późnej pory było nieznośnie gorąco – słońce osiągnęło pozycję, z której atakowało znacznie skuteczniej, ukośnie padającymi promieniami dostając się nawet do samochodu. Wszedł do mieszkania, wziął prysznic, zmienił ubranie i snując się smętnie po obszernych pokojach marzył o Angeli. Brak apetytu pozbawił go nawet tej pociechy, jaką stanowi jedzenie. Około północy zaparzył sobie kawę Kenyan – najdroższy gatunek, jaki miał – ale, zawiedziony, wypił zaledwie kilka łyków. Dlaczego – pomyślał po raz chyba setny – nie potrafią zrobić tak, żeby smak dorównywał aromatowi.

Położył się spać z uczuciem osamotnienia i tęsknoty za Angela.

Rano obudził się głodny i jedząc solidne śniadanie stwierdził z ulgą, że odzyskał swój zwykły pogodny nastrój. To przecież zupełnie naturalne, że taka nagła zmiana warunków życia nie pozostała bez wpływu na Angelę, ale kiedy minie szok wywołany tym, że z osoby zamożnej stała się bogatą – odzyska ją przecież. A tymczasem on – człowiek, który pierwszy wprowadził w tym kraju japońskie zegarki elektroniczne – nie da się przecież wykołować w tak głupiej sprawie jak nowy typ zapalniczek.

Zamiast pójść do biura, zasiadł przy telefonie. Zapuści swoje macki jeszcze dalej i zbada, jak się ma rzecz z zapalniczkami na terenie Europy i Dalekiego Wschodu. Wkrótce jednak potrzeba zobaczenia Angeli stała się tak silna, że kazał przyprowadzić sobie wóz przed główne wejście budynku i pojechał na południe drogą nadmorską do Ashbury Park. Był to kolejny dzień potwornego upału, ale świeży powiew od Atlantyku wpadając przez okna do samochodu poprawiał mu humor.

Kiedy dojechał do domu Angeli, stwierdził, że na podjeździe

w kształcie litery U stoi jakiś obcy samochód. Mężczyzna w średnim wieku, ubrany w brązowy garnitur i w okularach w drucianej oprawie, ostentacyjnie zamykał drzwi frontowe. Connor zaparkował samochód tuż przy schodkach i wysiadł.

Nieznajomy odwrócił się do niego podzwaniając pękiem kluczy.

– Czym mogę panu służyć?

– Chyba niczym – odparł Connor, zły na niespodziewanego intruza. – Przyjechałem zobaczyć się z panną Lomond.

– W sprawie urzędowej? Jestem Millett z firmy „Millett i Fie-sler”.

– Nie, jestem jej przyjacielem. – Connor zrobił zniecierpliwiony gest w stronę dzwonka.

– Wobec tego powinien pan wiedzieć, że panna Lomond już tu nie mieszka. Dom jest do sprzedania.

Connor zamarł. Rzeczywiście Angela mu powiedziała, że jej tu nie będzie, ale był niemiłe

zaskoczony, że go nie zawiadomiła o zamiarze sprzedania domu.

– Owszem, panna Lomond mówiła mi o tym, ale nie przypuszczałem, że się tak prędko wyprowadzi – zmyślił na poczekaniu. – A kiedy zabiera meble?

– Wcale nie zabiera. Dom ma być sprzedany z pełnym wyposażeniem.

– Jak to – nic nie zabiera?

– Kompletnie nic. Myślę, że panna Lomond bez trudu może sobie pozwolić na kupienie nowych mebli – powiedział cierpko Millett idąc w stronę samochodu. – Do widzenia.

– Chwileczkę – Connor zbiegł ze schodków. – Jak ja się mogę skontaktować z Angela?

Millett obrzucił szacującym spojrzeniem samochód i ubranie Connora, zanim odpowiedział:

– Panna Lomond kupiła Avalon... ale nie wiem, czy się już wprowadziła.

– Avalon? To znaczy... – Nie mogąc znaleźć słów, Connor wskazał na południe w kierunku Point Pleasant.

– Tak jest. – Millett skinął głową i odjechał.

Connor wszedł do samochodu, zapalił fajkę i smakując jej aromat usiłował oswoić się z tym wszystkim, co usłyszał. Nigdy nie rozmawiali z Angela na tematy finansowe – po prostu jej te sprawy nie interesowały – i tylko na podstawie niejasnych aluzji szacował jej spadek na jakiś milion, może dwa. Ale Avalon to było przecież szaleństwo bogacza w stylu starego Randolpha Hearsta. Rezydencja, położona na terenie liczącym kilkanaście mil kwadratowych, w najpiękniejszym miejscu Filadelfii, przypominała pałace królewskie Europy.

Nieruchomości nie były specjalnością Connora, ale wiedział, że ktoś, kto się pokusił o kupienie Avalon, nie mógł przystępować do transakcji nie mając przynajmniej dziesięciu milionów. Innymi słowy, Angela była nie tylko bogata, ale "weszła do wąskiego kręgu milionerów. Nic dziwnego, że wywarło to wpływ na jej życie uczuciowe.

Mimo to Connor był zdumiony, że sprzedaje wszystkie meble. Oprócz paru naprawdę cennych rzeczy miała biureczko roboty Goudreau, do którego przejawiała przesadne nawet przywiązanie. Uświadamiając sobie nagle, że nie czuje ani zapachu, ani smaku importowanego tytoniu, który w kapciuchu wydawał się taki wspaniały, Connor zgasił fajkę i włączył się w strumień pojazdów na autostradzie.

Przejechał jakieś pięć mil na południe, kiedy zdał sobie sprawę, że zmierza do Avalon.

Dom był niewidoczny, od strony drogi zasłaniał go mur z czerwonej cegły, zniszczony już ze starości, ale rozpięty na jego szczycie drut kolczasty robił wrażenie nowego. Connor jechał wzdłuż muru aż do miejsca, w którym tworzył on wnękę z paroma masywnymi, pozamykanymi na głucho bramami. Na dźwięk klaksonu wychynął ze stróżówki krępy mężczyzna w uniformie z gabardyny koloru kawy z mlekiem i z pistoletem u pasa. Spojrzał bez słowa przez bramę.

Connor opuścił szybę i wystawił głowę.

– Czy zastałem pannę Lomond?

– Jak pana godność? – zapytał strażnik.

– Philip Connor.

– Niestety, nie mam na liście pańskiego nazwiska.

– Pytałem tylko, czy panna Lomond jest w domu.

– Ja nie udzielam żadnych informacji.

– Ale ja jestem jej osobistym przyjacielem. Pana obowiązkiem jest poinformować mnie, czy ją zastałem, czy nie.

– Co pan powie – strażnik odwrócił się i woln'; odszedł do

swojej budki, ignorując jego krzyki i ponawiane sygnały. Doprowadzony do pasji tym

incydentem, Connor postanowił nie dawać za wygraną. Zaczął naciskać klakson według określonego systemu:

przez pięć sekund trzymał przyciśnięty, na pięć sekund puszczał. Strażnik nie pojawił się. W kilka minut później podjechał do niego wóz policyjny z dwoma policjantami, którzy polecieli mu opuścić to miejsce i zachować spokój.

W braku lepszego zajęcia poszedł do biura.

Minął tydzień, a on nie był w sprawie zapalniczki ani trochę mądrzejszy – chcąc nie chcąc przyjął, że została wykonana na zamówienie przez firmę „Faberge”. Stracił wiele godzin bezskutecznie usiłując zdobyć gdzieś telefon Angeli. Wreszcie zaczął go morzyć sen i Connor stwierdził, że z -liżą się do granicy dzielącej zdrowy rozsądek od obsesji. Do tego wszystkiego zobaczył jeszcze w rubryce towarzyskiej zdjęcie Angeli w jednym z nowojorskich nocnych klubów, z playboyem Bobbym Janke, synem milionera naftowego. Niezależnie od ataku zazdrości, o jaki go to przyprawiło, dowiedział się jeszcze z notatki w gazecie;" że Angela przenosi się do swojego nowego domu już w przyszłym tygodniu.

– I co z tego? – zapytał swego odbicia w lustrze w czasie golenia. – I co z tego?

W sobotę zaczął pić do lunchu wódkę z tonikiem, po południu przerzucił się na biały rum, a pod wieczór ogarnęło go pijackie poczucie słuszności, które mu powiedziało, że ma prawo zobaczyć się z Angela używając po temu wszelkich możliwych środków. Oczywiście mur przedstawiał pewien problem, ale w chwili olśnienia Connor stwierdził, że mury stanowią jedynie bariery psychologiczne. Dla osób, które rozumieją ich naturę tak dobrze jak on, są przeszkodą nie większą niż drzwi. Łyknąwszy dla kurażu czystego rumu posłał po swój samochód.

Frontowe wejście w Avalon, scena jego niedawnej porażki, tonęło w mroku, kiedy przybył na miejsce, ale w budce strażnika płonęło światło. Connor minął bramę, przejechał jeszcze kawałek wzdłuż muru i wreszcie zaparkował na odludnym odcinku wiejskiej drogi. Zgasił światła, otworzył bagażnik, wyjął ciężki młot i dłuto i bez żadnych wstępów zaatakował mur. Zaprawa murarska skruszała wprawdzie ze starości, ale po dziesięciu minutach, kiedy nie udało mu się ruszyć żadnej cegły, ogarnęło go zwątpienie! I wtedy właśnie

nie jedna z cegieł ustąpiła, a zaraz po niej dosłownie wyleciała druga. Connor powiększył otwór do odpowiednich rozmiarów i prze-lazłszy na drugą stronę znalazł się na suchej darni.

Karłowaty półksiężyc, który zbliżał się do zenitu, bladą poświatą oblał wieżyczki i bastiony rezydencji zbudowanej na łagodnym wzniesieniu. Pałacyk był ciemny i groźny i Connor patrząc na niego czuł, jak ciepło wypełniające go od środka gdzieś się ulatnia. Zawahał się, zaklął pod własnym adresem i ruszył w górę, zostawiając po drodze młot i dłuto. Zbliżył się od lewej strony, ogarniając wzrokiem cały front budynku. Na pierwszym piętrze zobaczył w jednym z okien światło. Do gotyckich drzwi wiódł brukowany podjazd. Connor zadzwonił i po minucie otworzył mu klasycznie wyglądający majordomus, który robił wrażenie lekko zaskoczonego. Connor natychmiast wyczuł, że Angeli nie ma w domu. Odchrząknął.

– Czy panna Lomond...

— Panna Lomond będzie dopiero około pół...

– Północy – dopowiedział, zręcznie wpadając lokajowi w słowa. – Wiem o tym. Widziałem się z nią po południu w Nowym Jorku. Umówiliśmy się, że wstąpię na późnego drinka.

– Przepraszam bardzo, ale panna Lomond nic mi nie mówiła, że oczekuje gości.

Connor zrobił zdumioną minę.

– Nie mówiła? No cóż, najważniejsze, że nie zapomniała powiedzieć strażnikowi. – Poufale ścisnął mężczyznę za ramię. – Przecież pan wie, że nawet czołgiem nie sforsowałbym tej bramy,

gdyby moje nazwisko nie było na liście najbliższych przyjaciół gospodyni.

Majordomus odczuł wyraźną ulgę.

– Dzisiaj człowiek nigdy nie jest dość ostrożny – powiedział.

– Ma pan rację. Moje nazwisko: Connor. Aha, a tu moja wizytówka. Proszę mi pokazać, gdzie mógłbym zaczekać na pannę Lomond, i jeśli nie sprawi to panu kłopotu, poprosiłbym daiquiri. Zęby mi się czas nie dłużył.

– Oczywiście, panie Connor.

Uradowany sukcesem Connor wszedł do olbrzymiego zielono-sre-brnego salonu, gdzie wręczono mu oszronioną szklankę. Usiadł w bardzo wygodnym fotelu sącząc daiquiri. Najlepsze, jakiego miał okazję spróbować.

W poczuciu całkowitego odprężenia sięgnął po fajkę, ale stwierdził, że musiał ją zostawić w domu. Pokręcił się chwilę po pokoju, znalazł na stoliku pomocniczym pudełko cygar i poczęstował się. Następnie rozejrzał się w poszukiwaniu zapalniczki. Jego wzrok zatrzymał się na przezroczystym czerwonym jajowatym przedmiocie stojącym pionowo na innym stoliku. Przedmiot ten w najmniejszym nawet stopniu nie przypominał żadnej ze znanych mu zapalniczek stołowych, ale Connor miał już na ten temat *idee fixe*, a poza tym jajowaty przedmiot znajdował się w miejscu, gdzie powinna być zapalniczka.

Wziął jajo do ręki, przyjrzał mu się pod światło, ale nie dostrzegł w nim ani śladu jakiegokolwiek mechanizmu. A więc nie mogła to być zapalniczka. Stawiając przedmiot na miejsce, trafił palcem w bardzo poręcznie umieszczone zagłębienie.

Na czubku jaja pojawiła się świetlista kulka wielkości ziarnka grochu – niby koralik uformowany ze światła słonecznego. Płonął on nieprzerwanie, dopóki Connor nie zdjął palca z zagłębienia.

Zaintrygowany swoim odkryciem, zapalał i wygaszał świetlistą kulkę po kilka razy, sprawdzając palcem jej temperaturę. Wyjął z kieszeni lupę, z którą i się nie rozstawał, a która służyła mu do oceny kosztowności, i zbadał czubek jaja. Dostrzegł w nim mikroskopijnej wielkości srebrny palnik nie wystający nawet ponad powierzchnię, i nic więcej. Tytułem próby odmierzył kroplę koktajlu ze swojej szklanki, tak żeby przykryła niewidzialny prawie palnik. Przyrząd mimo to działał nienagannie, a złocisty paciorek płonął stałym blaskiem, aż cały płyn wyparował.

Odkładając zapalniczkę na miejsce, Connor zauważył jeszcze jedną jej osobliwość: mimo że była zaokrąglona, stała pionowo, idealnie stabilna. Odwoławszy się znów do pomocy szkła powiększającego, odkrył u podstawy wyrytą maleńką literkę P, co oczywiście nie wyjaśniało tajemniczej zasady, na jakiej owal znajdował się w stanie równowagi.

Connor dokończył drinka i wzrokiem, który nagle stał się bardzo trzeźwy i czujny, od nowa ogarnął cały pokój. Dostrzegł piękny zegar, bez wątpienia wyrzeźbiony w bryle onyksu. Jak się po trosze spodziewał, nie było możliwości otwarcia zegara, a na jego podstawie znajdowało się to samo misternie wyrzeźbione P.

Był także telewizor, który zewnątrz przypominał drogie modele

istniejące na rynku – ale bez nazwy firmy. Jednakże po dokładnym obejrzeniu Connor odkrył z boku, w miejscu prawie niewidocznym, znane mu już P. Kiedy zapalił telewizor, obraz spikera, który ukazał się na ekranie, był tak wspaniały, jakby Connor patrzył na tego człowieka przez szybę okienną. Studiował przez chwilę obraz z odległości zaledwie kilku cali, ale nie był w stanie wyróżnić w nim ani żadnych kropek, ani linii. Nawet przez lupę.

Zgasił telewizor i wrócił na fotel, pełen dziwnego podniecenia. Choć z natury przebojowy i zaborczy – bez tych cech charakteru nie mógłby uprawiać swego zawodu – nie tracił z oczu faktu, że



wprawdzie na świecie istnieje nieograniczona ilość pieniędzy, ale życie zamyka się w ściśle określonej liczbie lat. Oczywiście mógłby i potroić swoje dochody pracując więcej i dokładając dodatkowych starań, ale widocznie jego instynkt posiadania nie był aż tak silny.

Tak wyglądała sytuacja, dopóki Connor nie odkrył, co można mieć za naprawdę duże pieniądze. Zdawał sobie sprawę, że ma słabość do wszelkiego rodzaju mechanizmów i zabawek, ale ta świadomość ani trochę nie zmniejszała dzikiego pożądania, jakie w tej chwili odczuwał.

Żadna ludzka siła nie byłaby w stanie powstrzymać go od wstąpienia w szeregi tych, którzy stali się posiadaczami wytworów techniki przyszłościowej. Oczywiście wolałby dokonać tego przez małżeństwo z Angella, ponieważ ją kochał i chciałby z nią dzielić również i te doświadczenia, ale gdyby rzeczywiście postanowiła go kategorycznie odrzucić, sam zdobyłby niezbędne miliony.

Sformułowanie technika przyszłościowa, które przemknęło mu za ledwie przez głowę, na dobre teraz zagościło w jego świadomości. Przez chwilę ważył wszystkie zawarte w nim implikacje, ale co prędzej otrząsnął się z tych rozmyślań. Już i bez fantazjowania na temat podróży w czasie jego równowaga psychiczna została dostatecznie zachwiana.

A przecież sama koncepcja była intrygująca. No i dostarczała odpowiedzi na wiele pytań. Chociaż zapalniczki, których tak bardzo pożądał – częściowo dla ich doskonałości, a częściowo dlatego, że mogły mu przynieść fortunę – pod względem rozwiązania technicznego znacznie wyprzedzały wszystko, co w tej dziedzinie oferował przemysł, to jednak nie mógł wykluczyć ewentualności, że konstruował je ukradkiem jakiś geniusz w swojej skromnej izdebce.

Ale nie dotyczyło to tamtego nieprawdopodobnego aparatu telewizyjnego, który nie mógł zostać wyprodukowany bez możliwości technicznych potężnego koncernu elektronicznego. Pomysł, że -te rzeczy są produkowane w przyszłości i tylko przesyłane wstecz w czasie, był prawie tak śmieszny jak to, że istnieje jakiś tajny ekskluzywny przemysł, dostępny jedynie superbogacym...

Connor zapalił cygaro i ogarnęła go dziecinna radość przy uruchamianiu rubinowego jajka. Zaciągnął się chłodnym dymem i poczuł nagle, że znalazł wreszcie coś, czego poszukiwał całe życie. Najpierw ostrożnie, a potem zachłannie wciągnął w płuca niezwyklej aromatu.

Rozkoszował się. Był to sposób palenia, jaki reklamowały na zdjęciach różne towarzystwa tytoniowe, i nie miał nic wspólnego z powierzchownym, nie dającym satysfakcji zabiegiem uchodzącym w powszechnym mniemaniu za palenie. Connor nieraz zastanawiał się, dlaczego liść, który pachnie tak mamiąco, nim się go zapali lub gdy go pali ktoś inny, daje zamiast Bóg wie jakich rozkoszy zmysłowych i ukojenia – jedynie pozbawiony smaku dym.

Zapewniają ci długie, orzeźwiające palenie, lekarstwo na wszystkie troski – pomyślał Connor – i to jest właśnie to. Wyjął cygaro z ust i przyjrzał się banderoli. Była gładka złota i miała tylko ozdobne P.

– Powiniennem się domyślić – oznajmił zwracając się do pustego pokoju. Poprzez filigran dymu przyjrzał się wnętrzu. Ciekaw był, czy wszystko w nim odbiega od' normy, jest wyższej kategorii, lepsze od najlepszego. A może najwięksi bogacze gardzą tym, co jest dostępne każdemu śmiertelnikowi, co reklamują w telewizji, co...

– Philip! – W drzwiach stała Angella, biała jak ściana, wściekła. – Co ty tu robisz?

– Rozkoszuję się najlepszym cygarem, jakie zdarzyło mi się w życiu palić. – Wstał z uśmiechem.

– Przypuszczam, że trzymasz je dla gości... to znaczy, nie przypominam sobie, żebyś sama paliła.

– Gdzie jest Gilbert? – ucięła krótko. – W tej chwili zabieraj się stąd.

– Ani mi się śni.

– To ci się tylko tak wydaje. – Odwróciła się ze złością, zamiatając włosami blond i wiśniową spódnicą.

Connor stwierdził, że musi działać szybko.

– Za późno, Angela. Spróbowałem już twego cygara, które zapaliłem twoją zapalniczką, sprawdzałem, która godzina, na twoim zegarze, no i oglądałem telewizję.

Spodziewał się bardzo gwałtownej reakcji i nie zawiódł się. Angela wybuchnęła łzami.

– Ty łobuzie! Nie miałeś prawa!

Podbiegła do stołu, złapała zapalniczkę i usiłowała ją zapalić. Ale bez skutku. Podeszła do zegara – zegar stał. I do telewizora – który się nie ożywił. Connor chodził za nią krok w krok, zakłopotany, pełen poczucia winy. Angela opadła na krzesło. Siedział

skulona, drżąca, z twarzą ukrytą w dłoniach jak zraniony ptak. Jej rozpacz wywołała w sercu Connora bolesny skurcz. Ukląkł przed nią.

– Angie – powiedział – nie płacz. Ja tylko chciałem cię zobaczyć. Nie zrobiłem przecież nic złego.

– Dotykałeś tych rzeczy i one się zmieniły. Oni mnie uprzedzali, że się zmienią, jeśli dotknie ich ktoś poza klientem... i rzeczywiście...

– Ale przecież to naprawdę nie ma sensu. Kto ci, powiedział, że się zmienią?

– Dostawcy. – Spojrzała na niego oczyma pełnymi łez i w tym momencie Connor poczuł zapach perfum tak wyrafinowany, że miał ochotę rzucić się do ich źródła jak człowiek, któremu brak powietrza, podbiega do okna.

– Ale co ty...? Ja nie...

– Powiedzieli mi, że to wszystko przestanie działać. Connor usiłował otrząsnąć się ze skutków dziwnej magii, której podlegał.

– Ależ nic nie przestało działać, Angie. Po prostu przerwa w dopływie energii... czy coś w tym rodzaju... – urwał niepewnie. Ani zegar, ani telewizor nie miały przewodu. Zaciągnął się nerwowo cygarem i o mało się nie zakrztusił gryzącym, pozbawionym aromatu dymem. Silne poczucie straty, którego doświadczył zduszając niedopałek, zniweczyło wszelkie przejawy sceptycyzmu.

Wrócił do Angeli i znów przed nią ukląkł.

– Powiedzieli ci, że te rzeczy przestaną działać, jeżeli dotknie ich ktokolwiek poza tobą?

– Tak.

– Ale jak to jest możliwe?

Angela delikatnie przytykała do oczu chusteczkę.

– A skąd ja mogę wiedzieć? Kiedy pan Smith przyjechał z Tren-tdn, powiedział coś takiego, że te wszystkie urządzenia są zasilane... polem eterycznym, a ja mam molekularny odcisk palca. Czy to ma w ogóle jakiś sens?

– Prawie – wyszeptał Connor. – Idealny system bezpieczeństwa. Gdybyś, powiedzmy, zgubiła zapalniczkę w teatrze, to znaleziona przez kogo innego, stałaby się bezużyteczna. Albo gdyby ktoś się do ciebie włamał. Naprawdę. Angie, ja cię po prostu musiałem zobaczyć. Wiesz przecież, że cię kocham.

– Kochasz mnie, Philip?

– No pewnie. – Odczuł dreszcz, słysząc ciepłą nutę w jej głosie. – Nie martw się. Odkupię ci zapalniczkę, telewizor i... Angela potrząsnęła głową.

– To jest niemożliwe, Philip.

– Dlaczego? – wziął ją za rękę. Nie cofnęła dłoni, co go dodatkowo ośmieliło. Uśmiechnęła się do niego blado.

– Po prostu niemożliwe. Raty są za wysokie.

– Raty? Angie, na miłość boską, chyba ty nie kupujesz na raty?

– Te rzeczy nie są do kupienia. Płaci się po prostu za konserwację. Wysokość moich rat wynosi osiemset sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów.

– Rocznie?

– Co czterdzieści trzy dni. Nie powinnam ci tego wszystkiego mówić, ale... Connor roześmiał się.

– Przecież to jest około sześciu milionów rocznie, nikt by tyle nie zapłacił!

– Niektórzy płacą. Z tymi, co się zastanawiają nad ceną, pan Smith nie robi żadnych interesów.

– Ale... – Connor nieostrożnie zbliżył się do Angeli. Owiął go i całkowicie odurzył zapach jej perfum. – Ty sobie zdajesz sprawę – powiedział słabym głosem – że te wszystkie twoje cuda pochodzą z przyszłości? Coś tu jest nie w porządku.

– Tęskniłam za tobą, Philip.

– A czy te perfumy, którymi pachniesz... czy one też są od pana Smitha?

– Usiłowałam za tobą nie tęsknić, ale mi się nie udało. – Angela przytuliła policzek do jego twarzy i Connor poczuł chłód łez. Ucałował ją gorąco, a ona opuściła się na dół i uklękła naprzeciwko niego. Connor popadł w ekstazę.

– Zobaczysz, jak będzie cudownie, kiedy się pobierzemy – usłyszał po chwili własne słowa. – Nawet nie marzyliśmy. Tyle

mamy wspólnego... Angela zeszywniała i rzuciła się do tyłu.

– Wiesz co, Philip, idź już sobie lepiej.

– Ale co się stało? Co ja takiego powiedziałem?

– Po prostu się zdradziłeś, to wszystko. Connor zaczął się zastanawiać.

– Chodzi ci o to, co powiedziałem – że tyle mamy wspólnego? Przecież ja nie miałem na myśli twoich pieniędzy... mówiłem w ogóle o życiu, o latach, które nas czekają, o wspólnych doświadczeniach.

– Naprawdę?

– Angela, ja cię kochałem, zanim się dowiedziałem, że masz cokolwiek odziedziczyć.

– Nigdy przedtem nie mówiłeś o małżeństwie.

– Uważałem, że to jest zrozumiałe – powiedział z rozpaczą. – Myślałem, że ty... – przerwał widząc wyraz jej oczu. Chłodny, podejrzliwy, pełen pogardy. Spojrzenie bogaczy przeznaczone dla ludzi spoza klanu usiłujących się do niego wedrzeć bez niezbędnych kwalifikacji majątkowych.

Nacisnęła dzwonek i cały czas odwrócona do niego tyłem, czekała, aż go wyprowadzą.

Najbliższe dni nie były dobre dla Connora. Pił dużo, dochodził do wniosku, że alkohol nie rozwiązuje problemu, i znów zaczynał pić. Od czasu do czasu usiłował skontaktować się z Angela, a raz nawet pojechał do Avalon. Mur został naprawiony w miejscu, gdzie się włamał, a po bliższym przyjrzeniu się stwierdził, że całość pokryto drobną siatką. Nie ulegało wątpliwości, że wszelkie próby dostania się tą drogą uruchomiłyby system alarmowy.

Nocami budził się i głowa mu pękała od dręczących pytań. Co to wszystko ma znaczyć? Skąd takie dziwne płatności Angeli i w ta-

kich niezwykłych odstępach czasu? Po co ludziom z przyszłości dwudziestowieczne pieniądze?

Przyszło mu na myśl, że zamiast zawracać sobie głowę Angela, powinien się zająć odszukaniem tajemniczego pana Smitha z Tren-ton. Przebłysk optymizmu zrodzony z tej myśli zgasł niemal natychmiast: przecież brak mu podstawowych informacji, które by go naprowadziły na ślad tego człowieka. Nie ulegało wątpliwości, że jako Smith znany był jedynie swoim klientom. Gdyby tak Angela zechciała zdradzić mu coś więcej, na przykład adres biura... Connor coraz bardziej oddawał się rozmyśleniom i picciu. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się obsesyjnie, ale zupełnie się tym nie

przejmował. I wreszcie pewnego dnia obudził się z rewelacyjnym odkryciem: przecież on zna adres biura Smitha, znał go od dawna, niemal od dzieciństwa.

Niepewny, czy to przypadkiem nie nadmierne dawki białego rumu przyspieszyły albo opóźniły to odkrycie, Connor napił się na śniadanie mocnej kawy, zbyt zajęty swoimi myślami na to, by zwrócić uwagę, że jest jeszcze bardziej pozbawiona smaku niż zwykle. W ciągu najbliższej godziny opracował plan działania, z przyzwyczajenia dwukrotnie zapalając fajkę, zanim uświadomił sobie, że raz na zawsze zerwał z paleniem zwykłego tytoniu. Pierwszy etap planu polegał na pójściu do sklepu dla majsterkowiczów i kupieniu sześcianu rubinowego plastyku o krawędzi pięciu cali, który następnie za bająską sumę kazał sobie obrobić tak, by uzyskać owal. Zamówienie było gotowe dopiero późnym popołudniem, ale efekt końcowy dostatecznie przypominał zapalniczkę stołową opatrzoną literą P, by zwieść każdego, kto nie przyglądałby mu się zbyt blisko.

Zadowolony ze swoich dotychczasowych osiągnięć, Connor poszedł do siebie i wyciągnął pistolet kalibru 38, kupiony przed laty na wypadek włamania. Zdrowy rozsądek mówił mu, że jest już za późno wybierać się do Trenton i że należałoby wstrzymać się do rana, ale Connor nie dbał już o nic. Z plastikowym jajkiem w jednej kieszeni i pistoletem w drugiej wyjechał z miasta w kierunku zachodnim.

Znalazł się w centrum Trenton dokładnie w momencie, kiedy zamykano sklepy. Nagły lęk, że się spóźnił i że mimo wszystko bę

dzie musiał czekać do następnego dnia, wzmogła jeszcze świadomość, że wcale nie jest pewien adresu pana Smitha.

W optymistycznym nastroju poranka i z podniecającą dawką alkoholu we krwi wszystko wydawało się proste i jasne. Przez całe niemal życie Connor był podświadomie przekonany, że w każdym większym mieście znajdują się sklepy, które na dobrą sprawę nie mają prawa istnieć. Takie sklepy są z reguły małe i skromne, usytuowane z dala od ruchliwych centrów handlowych, a ich szyldy głoszą zwykle: „Bracia Johnston” albo „H. i „L.” i są tak sformułowane, żeby zawierały jak najmniej informacji. Jeśli w ogóle mają jakąkolwiek wystawę, najczęściej leży na niej zwykła nie wyróżniająca się niczym, trochę niemodna sportowa marynarka z ceną trzykrotnie wyższą od realnej. Connor wiedział, że nie chodzi tu o normalną ofertę handlową, ponieważ – co zupełnie zrozumiałe – nikt nigdy do tych sklepików nie wchodził. A jednak w jego świadomości kojarzyły się zawsze z dużymi pieniędzmi.

Wyruszając do Trenton Connor był zupełnie pewien adresu – teraz w jego pamięci rysowały się to wyraźnie, to znów mgliście co najmniej trzy takie niepozorne sklepy. W ten sposób właśnie unikają rozgłosu – pomyślał nie zbity z tropu i zaczął krążyć w wytypowanej przez siebie okolicy. W godzinie popołudniowego szczytu trudno się było poruszać samochodem, więc uznał, że wygodniej mu będzie na piechotę. Zaparkował samochód w bocznej ulicy i zaczął się miotać od rogu do rogu, za każdym razem myśląc, że znalazł upragnione miejsce, i za każdym razem przeżywając rozczarowanie. Właściwie wszystkie sklepy były już pozamykane, tłumy na ulicach zrzędy nieco, a w czerwonym świetle wieczoru ciche, zakurzone fasady domów wyglądały nierealnie. Connor poczuł się zmęczony, zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym.

Zaklął, przygnębiony, wzruszył ramionami i powlókł się z powrotem do samochodu, wybierając drogę, która zawiodła go o jedną przecnicę dalej na południe, niż pierwotnie zamierzał. Rozpalone nogi tak go bolały, że nie był w stanie myśleć o niczym innym. W związku z tym porządnie nałożył drogi, zanim doszedł do skrzyżowania. Rozejrzał się na boki i zobaczył na pół swojski, na pół zapomniany widok: sklepy, hurtownie i anonimowe bramy. Serce

zabiło mu żywiej, kiedy mniej więcej w połowie odcinka ulicy dostrzegł najzwyklejszy dość

obskurny sklepik, tak całkowicie pozbawiony charakteru, że z pewnością nikt poza nim by go nie zauważył.

Ruszył w tamtą stronę, nagle zdenerwowany, i przeczytał szyld, na którym matowozłotymi literami wypisane było: TOWARY MIESZANE. POŚREDNICTWO. Na wystawie leżały trzy kawałki polewanej kamionkowej rury kanalizacyjnej, za którymi znajdowało się coś w rodzaju przepierzenia zasłaniającego całkowicie wewnątrz sklepu. Connor spodziewał się, że drzwi zostanie zamknięte, ale otworzyły się, ledwie ich dotknął, i znalazł się wewnątrz .szybciej, niż sobie wyobrażał. Spojrzał na wysokiego, ponurego faceta za ladą. Mężczyzna miał opuszczone w dół kąciki ust, przylizane siwe włosy i było w nim coś takiego, że Connor pomyślał: on tak stoi bez ruchu już od wielu godzin. Miał na sobie oficjalny czarny garnitur, ze srebrnym krawatem, jak mistrz ceremonii pogrzebowej, a kołnierzyk jego białej koszuli był nieskazitelny jak płatki świeżo rozwiniętego kwiatu.

Mężczyzna nachylił się lekko nad kontuarem i zapytał:

– Czy coś się stało; proszę pana?

Connora zaskoczyło to dziwne pytanie, ale podszedł bliżej, wyjął z kieszeni rubinowe jajo i z rozmachem położył je na ladzie.

– Proszę powiedzieć panu Smithowi, że nie jestem z tego zadowolony – powiedział gniewnym głosem. – I że domagam się zwrotu pieniędzy.

Spokój mężczyzny prysł jak bańka mydlana. Wziął do ręki jajko, na pół odwrócony do drzwi wewnętrznych, i przyjrzał mu się dokładnie.

– Chwileczkę – powiedział. – To nie jest...

– To nie jest co?

Mężczyzna spojrział na Connora oskarżycielsko.

– Nie mam pojęcia, co to jest, a poza tym nie ma tu żadnego pana Smitha.

– A wie pan, co to jest? – Connor wyjął rewolwer. Uznał, że zobaczył już i usłyszał dostatecznie dużo.

– Pan nie odważy się użyć broni.

– Nie?! – Connor wycelował rewolwer w twarz mężczyzny i spokojny, że broń jest zabezpieczona, w sposób widoczny nacisnął

spust. Mężczyzna oparł się o ścianę. Connor burknął coś ze złością, odbezpieczył broń i ponownie ją unosił do góry.

– Nie! – krzyknął mężczyzna. – Błagam pana. Connora jeszcze nigdy nikt w życiu o nic nie błagał, ale nie dał się zbić z pantafelki dziwnym obrotem rozmowy.

– Chcę się zobaczyć z panem Smithem – powiedział.

– Zaprowadzę pana do niego. Proszę za mną...

Udali się w głąb lokalu sklepowego i zeszli na dół schodami niewygodnie wąskimi i wysokimi. Stwierdziwszy, że jego przewodnik doskonale sobie z nimi radzi, Connor zauważył jednocześnie, że ma on wyjątkowo małe stopy. Ale jego chód odznaczał się jeszcze inną osobliwością, z której Connor zdał sobie sprawę dopiero, kiedy znaleźli się w suterenie i szli korytarzem. Poprzez spodnie w białe prążki zauważył mianowicie, że wysoki mężczyzna ma kolana mniej więcej na wysokości jednej trzeciej długości nóg od ziemi. Czoło Connora pokryło się zimnym potem.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pana. – Czarno ubrana postać pchnęła przed nim drzwi.

Oczom Connora ukazał się duży, jasno oświetlony pokój, a w nim drugi wysoki mężczyzna o trupim wyglądzie, ubrany jak mistrz ceremonii pogrzebowej. Też miał ulizane siwe włosy i kiedy weszli, wkładał właśnie do ciemnego prostokątnego otworu sejfu ściennego antyczny obraz olejny.

Nie odwracając się mężczyzna zapytał:

– O co chodzi, Toynbee?

Connor zatrzasnął za sobą drzwi.

– Chcę z panem porozmawiać, Smith.

Smith drgnął gwałtownie, ale nie przestał łagodnym ruchem wsuwać do sejfu malowidła w złotej ramie. Kiedy obraz zniknął, zwrócił się do gościa. Miał również opuszczone w dół kąciki ust i kolana chyba jeszcze bardziej rażąco nie na miejscu. Jeśli ci ludzie pochodzą z przyszłości – pomyślał Connor – to dlaczego tak bardzo różnią się od nas? Jego wyobraźnia cofnęła się przed następnym wnioskiem i Connor wdał się w bezsensowne rozmyślenia nad tym, jak muszą wyglądać krzesła Smitha i Toynbeego – o ile ich w ogóle używają. Uprzytomnił sobie jednocześnie, że nigdzie w ich otoczeniu nie widział żadnych stołków ani sprzętów do siedzenia. Z uczuciem wzrastającego prze-

rażenia uświadomił sobie, że zaraz na początku odniósł wrażenie, iż Toynbee stoi tak bez ruchu za kontuarem godzinami.

– ...wszystkie pieniądze, jakie posiadamy – mówił właśnie Smith – ale poza tym nie ma tu dosłownie nic, co by przedstawiało jakąś wartość.

– Ja nie sądzę, żeby on był złodziejem – rzekł Toynbee, który tymczasem stanął koło niego.

– Nie jest złodziejem?! To wobec tego, o co mu chodzi? Co znaczy...

– Na początek – przerwał mu Connor – chodzi mi o wyjaśnienie.

– Wyjaśnienie czego?

– Całej waszej działalności.

Smith był wyraźnie rozdrażniony. Wskazał ręką drewniane skrzynie, które zajmowały większą część pomieszczenia.

– To chyba zupełnie normalny widok w agencji wielobranżowej zajmującej się pośrednictwem na zasadach...

– Chodzi mi o waszą działalność polegającą na dostarczaniu ludziom bogatym zapalniczek, których nikt na świecie nie byłby w stanie wyprodukować.

– Zapalniczek...

– Mam na myśli takie czerwone, jajowate, bez żadnego mechanizmu, które zapalają się nawet na mokro i utrzymują się w pozycji pionowej bez żadnej podpórki.

Smith potrząsnął głową.

– Sam chciałbym coś takiego mieć.

– I wspaniałe telewizory. I zegary, i cygara, i te wszystkie inne rzeczy, tak doskonałe, że bogacze płacą za możliwość ich użytkowania po osiemset sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów co czterdzieści trzy dni, mimo że te urządzenia są zasilane polem eterycznym, które zanika – czyniąc je zupełnie bezużytecznymi – w momencie, kiedy wpadną w ręce kogoś spoza klubu, i

— Nie rozumiem z tego, co pan mówi, ani słowa.

– Szkoda gadać, panie Smith – wtrącił się Toynbee – ktoś musiał mu powiedzieć.

Smith posłał mu jadowite spojrzenie.

– To tyś mu powiedział, idioto! – W złości przysunął się bliżej do Toynbeego, tak że odsłonił sejf w ścianie. Connor po raz

pierwszy zauważył, że jest on wyjątkowo duży, i uświadomił sobie, że magazyn w piwnicy to dosyć dziwne miejsce jak na sejf tego rodzaju.. Przyjrzał mu się dokładniej. W ciemności wnętrza nie było widać nawet śladu olejnego obrazu, który tam dopiero co włożono. Za to daleko w głębi czarnej gardzieli dostrzegł jaskrawozieloną gwiazdę, która wysyłała pierścienie światła, zanikające w miarę

jak się rozszerzały.

Connor dokonał wysiłku, żeby nie dać po sobie poznać wrażenia, jakie zrobiło na nim to nowe odkrycie.

Wskazał na sejf i powiedział od niechcienia:

– Domyślam się, że jest to przekaźnik dwukierunkowy. Smith był wstrząśnięty.

– W porządku – powiedział po pełnej napięcia chwili milczenia. – Kto panu powiedział?

– Nikt. – Connor pomyślał, że wymieniając nazwisko Angeli mógłby jej zrobić kłopotu. Toynbee odchrząknął.

– Dam głowę, że to ta panna Lomond. Zawsze mówiłem, że nie należy ufać nowobogackim – brak im odpowiednich nawyków. Smith skinął głową. \*

– Masz rację. Dostała zastępczą zapalniczkę stołową, telewizor i zegarek, te rzeczy, które ten... ta osoba właśnie wymieniła. Twierdzi, że zostały rozstrojone przez kogoś, kto się do niej włamał.

– Musiała mu powiedzieć wszystko, co wiedziała.

– ...nie dotrzymując w ten sposób warunków kontraktu, proszę to odnotować, Toynbee.

– Chwileczkę – rzekł głośno Connor, wymachując rewolwerem, żeby im przypomnieć, że to on jest panem sytuacji. – Nikt nie będzie nic odnotowywał, dopóki nie dostanę odpowiedzi na moje pytania. Czy te przedmioty, w których sprzedaży pośredniczycie, pochodzą z przyszłości czy skądinąd?

– Skądinąd – odparł Smith. – Ale jeśli chodzi o ścisłość, również i z niedalekiej przyszłości, tylko że między nami mówiąc – są one transportowane na odległość wielu lat świetlnych. Różnica czasu jest przypadkowa i trudna do ustalenia. ,

– Czy te rzeczy pochodzą z innej planety?

– Tak.

– Wy też?

– Oczywiście.

– Sprowadzacie na Ziemię produkty wysoko rozwiniętej techniki i po kryjomu sprzedajecie je albo wypożyczacie ludziom bogatym?

– Tak. Ale tutaj mamy naturalnie tylko rzeczy mniejsze, większe, jak telewizory, przychodzą od razu do głównych odbiorców w innych miastach. Szczegóły transakcji mogą się wydawać dziwne, ale przecież podstawowe zasady handlu są panu dobrze znane.

– Właśnie to wydaje mi się intrygujące – rzekł Connor. – Nic mnie nie obchodzą inne światy i przekaźniki materii, ale nie rozumiem, po co zadajecie sobie tyle trudu. Przecież waluta ziemską nie może mieć żadnej wartości na... 'wszystko jedno, skąd pochodzicie. Wasza technika jest znacznie bardziej zaawansowana, wobec tego nie ma nic... – Connor przerwał, przypominając sobie, co Smith wsuwał do czarnego otworu. Stary olejny obraz.

Smith skinął głową, jak gdyby nieco odprężony.

– Ma pan racje, wasze pieniądze nie mają żadnej wartości na innych światach. Wydajemy je tutaj. Ludzkość jest pod wieloma względami prymitywna, ale odznacza się dużymi uzdolnieniami artystycznymi. Nasza organizacja zarabia bardzo dobrze na eksporcie obrazów i rzeźb. Towary, które importujemy, są w porównaniu z nimi niemal bezwartościowe.

– A mnie wydają się bardzo cenne.

– Właśnie tak powinno być. I na tym polega sprawa. Nie miałoby sensu sprowadzanie tutaj rzeczy, które są na Ziemi zupełnie dobre. Na przykład wasze wina czy inne napoje uchodzą za wcale niezłe, więc się nimi nie interesujemy. Ale wasza kawa! – Kąciki ust Smitha opadły jeszcze niżej.

– To znaczy, że macie milionowe obroty. Przecież komuś powinna się rzucić w oczy instytucja

dokonująca zakupów na takie sumy.

– Niekoniecznie. Wprawdzie dużo rzeczy nabywamy bezpośrednio na aukcjach i w galeriach, ale często nasi klienci dokonują zakupów w naszym imieniu, a my ich po prostu kredytujemy.

– Nie! – Connor oddychał głęboko, jakby to, co mówił Smith, otworzyło w jego świadomości nowe perspektywy. Czy to dlatego milionerzy – nieraz ludzie, których nikt by o to nie posądzał – tak często bywają kolekcjonerami sztuki? Czy to jest *raison d'être* tego przedziwnego zjawiska, któremu na imię prywatne kolekcjonerstwo? Dlaczego w społeczeństwie, gdzie bogacze tak lubią chwalić

się tym, co posiadają, tyle bezcennych skarbów znika z widoku publicznego? Czy to właśnie dlatego, że ich właściciele przehandlowują je za przedmioty oznaczone literą P? Jeśli tak jest rzeczywiście, to zajmująca się tym organizacja musi być potężna i działać już od dłuższego czasu. Connor poczuł w nogach nagłe zmęczenie.

– Usiądźmy i porozmawiajmy na ten temat – zaproponował. Smith robił wrażenie lekko zmieszanego.

– My nie siadamy. A pan może skorzystać z jednej z tych skrzyń, jeśli pan się nie czuje dobrze.

– Nie, nic mi nie jest i nie próbujcie żadnych sztuczek – powiedział ostro Connor, ale usiadł na brzegu skrzyni, usiłując jednocześnie ogarnąć umysłem wszystkie nowe szokujące wiadomości. – Co znaczy to P, które jest na wszystkich waszych wyrobach?

– Nie domyśla się pan?

– Perfekcja?

– Właśnie.

Gotowość, z jaką Smith udzielał mu teraz informacji, budziła w Connorze pewną nieufność, ale zasypywał go nowymi pytaniami, które cisnęły mu się na usta.

– Panna Lomond mówiła mi, że jej raty wynoszą osiemset sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. Skąd taka dziwna liczba? Dlaczego nie milion?

– To jest milion w naszej walucie^ Oczywiście w przybliżeniu.

– Rozumiem. A czterdzieści trzy dni?

– Tyle trwa jeden obrót naszego głównego księżyca. Naturalna podstawa kalendarza.

Connor niemal zapragnął powstrzymać nieco ten dopływ informacji. ,

– W dalszym ciągu nie widzę powodu do takiej konspiracji. Dlaczego nie mielibyście ujawnić się i obniżając cenę jednostkową zwiększyć jednocześnie obrotu? Moglibyście mieć sto razy większe zyski.

– Musimy zachować tajność z wielu względów. Według wszelkiego prawdopodobieństwa różne rządy ziemskie byłyby przeciwne wywożeniu dzieł sztuki, a poza tym i po tej drugiej stronie są pewne trudności, i ""

– Na przykład? '

– Istnieje ustawa zabraniająca wywierania jakiegokolwiek wpływu na życie światów znajdujących się we wczesnym stadium rozwoju. To w znaczny sposób ogranicza nasz eksport.

– Innymi słowy, jesteście przestępcami i u siebie, i tutaj.

– Nie zgadzam się z tym. Co my złego robimy na Ziemi?

– Sami już powiedzieliście. Pozbawiacie mieszkańców tej planety...

– Ich artystycznego dziedzictwa? – Smith parsknął ironicznie. – Jak pan myśli, ilu ludzi oddałoby telewizor oznaczony symbolem P za świadomość, że w jakiejś publicznej galerii sztuki, odległej o pięć czy dziesięć tysięcy mil, znajduje się powiedzmy rysunek Leonarda da Vinci?

– Ma pan rację – przyznał Connor. – Co pan chowa w zanadrzu, panie Smith?



– Nie rozumiem.

– Niech pan nie udaje Greka. Przecież by pan nie mówił tak swobodnie, gdyby pan nie był pewny, że nie wyniosę stąd tych informacji. Co zamierzacie ze mną zrobić?

Smith spojrział na Toynbeego i westchnął.

– Ciągle zapominam, jak ograniczeni są ludzie stanowiący produkt kultury monoplaneitarnej. Przecież mówiliśmy, że pochodzimy z innego świata, a pan mimo to traktuje nas po prostu jak trochę odmiennych Ziemiaków. Nie przyszło panu do głowy, że przedstawiciele innych ras mogą być znacznie uczciwsi, że kręactwo i kłamstwo przychodzą im znacznie, trudniej niż ludziom?

– I na tym polega nasza słabość – wtrącił Toynbee. – Widzę teraz, że byłem zbyt niedoświadczony na to, żeby być tam na górze.

– No więc dobrze, bądźcie wobec tego ze mną szczerzy – rzekł Connor. – Zamierzacie mi zamknąć usta, tak?

– Jeśli chodzi o ścisłość, to rzeczywiście jest tu pewne urządzenie...

– Nie ma potrzeby – odparł Connor. Przemyslał dokładnie wszystko to, co mu powiedzieli, wstał i wręczył Smithowi swój rewolwer.

Chodziło mu tylko o wygodne życie i jadąc na południe do Ayałon Connor czuł, jak robi się ono z minuty na minutę coraz lepsze.

Zawsze miał głowę do interesów, o ile jednak dotychczas obliczał swoje miesięczne dochody w tysiącach, o tyle teraz zaczął myśleć

w kategoriach liczb sześciocyfrowych. Kontakty, możliwości i transakcje, którym nie było teraz końca, zawsze w jakiś magiczny sposób zawdzięczał przedmiotom opatrzonym literą P. Przy nawiązaniu pierwszych, najważniejszych, znajomości wystarczyło po prostu, że swoją złotą zapalniczką zapalił fajkę nabitą tytoniem ze znakiem P – niewiarygodną wprost pod względem aromatu mieszanką, czy spojrział na swój zegarek z literą P, albo napisał coś piórem, które za dotknięciem odpowiedniego miejsca w pierścieniu barw pisało dowolnym kolorem – i natychmiast otwierały się przed nim wszystkie drzwi. Istniała wielka różnorodność owych pięknych drobiazgów, ale Connor szybko nauczył się je dostrzegać u innych i odpowiednio reagować.

W ciągu kilku tygodni jego światopogląd uległ gruntownej zmianie, mimo że sam nie całkiem zdawał sobie z tego sprawę. Początkowo czuł się po prostu niepewnie czy był nawet podejrzliwy wobec tych, którzy nie okazywali talizmanu, potem stał się w stosunku do nich wrogi i zaczął poszukiwać jedynie towarzystwa ludzi „pewnych”.

Mimo że pozornie niczego mu nie brakowało, uznał, że jego życie nie będzie pełne, dopóki nie połączy się z Angela. To jej zawdzięczał uświadomienie i tylko z nią osiągnie pełnię szczęścia. Już znacznie wcześniej wybrałby się do Avalon, gdyby nie trudności, jakie mu robili początkowo Smith i Toynbee. Oddanie im rewolweru było niebezpiecznym posunięciem, które o mało nie skończyło się wysłaniem Connora za pomocą przekaźnika materii w inny, nieznaną świat. Szczęśliwie jednak dotarło do nich, że ma im coś ważnego do powiedzenia.

Tamtego wieczora w suterenie niepozornego sklepiku Connor rozwinął całe swoje możliwości krasomówcze. Smith, starszy z dwóch mężczyzn, był bardziej nieufny, ale w miarę jak Connor wyliczał braki *ich* systemu pośrednictwa, jego zainteresowanie rosło, doszło zaś do zenitu, kiedy usłyszał, jak dzięki ziemskiemu sprytowi Connora będą mogli wyeliminować w znacznym stopniu narażającą ich na niepotrzebne straty konkurencję aukcji, usprawnić dokonywanie zakupów poprzez bogatych klientów, zyskać pełne rozeznanie rynku i zastosować nową skuteczniejszą technikę przejmowania przez organizację dzieł sztuki. Była to chyba najwspanialsza w życiu Connora improwizacja, wykazująca może miejscami pewne braki wy-

nikle z jego nieobeznania ze światem sztuki, ale przesycona wprost natchnioną, imponującą fachowością.

Wyniki współpracy od razu były tak doskonałe, że .Smith stał się zachłanny i odnosił się niechętnie do wszelkiej ubocznej działalności Connora. Connor załagodził więc sprawę pracując po siedem dni w tygodniu, łącznie z wszystkimi niemal wieczorami. W tej sytuacji jednak nie bardzo miał czas widywać się z Angela, ale w końcu potrzeba zobaczenia się z nią wzięła górę i odłożył wszystko na bok...

Przy bramie był ten sam strażnik co wtedy, ale nie dał Connorowi odczuć, że pamięta ich nieporozumienie. Bez najmniejszej zwłoki wskazał gestem, że ma wjechać, i już w kilka minut potem Connor wchodził do domu szerokimi schodami frontowymi. Rezydencja nie wydawała mu się już tym razem tak groźna i czekając na otwarcie drzwi pomyślał, że najprawdopodobniej zatrzymają ją z Angela ze względów uczuciowych – ale nie tylko. Lokaj, który go wpuścił, przypominał emerytowanego marynarza. Kiedy wskazywał gościowi drogę do dużego salonu, w którym oczekiwała go Angela, robił wrażenie nieobytego. Angela stała przy kominku tyłem do drzwi, dokładnie tak samo jak poprzednim razem.

– Angie – powiedział – jak to dobrze, że znów cię widzę. Odwróciła się i podbiegła do niego.

– Jak ja strasznie za tobą tęskniłam; Phil.

Kiedy tak stali w uścisku pośrodku zielono-srebrnego salonu, Connor przeżył moment niezwykłego wprost szczęścia. Ukrył twarz w jej włosach szepcząc słowa, na jakie od dawna nie potrafił się zdobyć. Angela przez cały czas odpowiadała mu namiętnie, reagując bardziej na napięcie emocjonalne niż na to, co mówił.

Ale dopiero w czasie pierwszego pocałunku zaczął zdawać sobie sprawę, że dzieje się coś niedobrego. Angela mianowicie pachniała kosztownymi, ale zwykłymi perfumami. Nie była to żadna z czarodziejskich mieszanek oznaczonych literą P, do których przywykł spotykając się od czasu do czasu z różnymi złotowłosymi bóstwami w ciągu ostatnich kilku tygodni. Trzymając Angelę w ramionach, rozejrzał się po wielkim pokoju. Przeniknął go lodowaty chłód. Wszystko tu było, podobnie jak jej perfumy, wspaniałe, ale dalekie od Perfekcji.

– Angela – powiedział cicho – dlaczego kazałaś mi tu przyjść?

– Co to za dziwne pytanie, najdroższy?

– Zupełnie normalne. – Connor wyswobodził się z uścisku i pełen podejrzliwości cofnął się do tyłu. – Po prostu chodzi mi o twoje motywy.

– Motywy! – Angela wpatrywała się w niego, blada jak ściana, po czym rzuciła okiem na jego zegarek. – O Boże, Philio, .dostałeś się do nich! Udało ci się, tak jak mówiłeś!

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Nie próbuj tych numerów ze mną, nie zapominaj, kto ci to wszystko powiedział.

– Już do tej pory powinnaś się była nauczyć, że nie należy nic mówić.

– Wiem, ale się nie nauczyłam. – Podeszła do niego. – Dlatego odpadłam. Zostałam wyeliminowana.

– To chyba nie tragedia. A gdzie się podział Bobby Janke i jego ferajna?

– Żadne z nich się tu nie pokazuje. I ty.dobrze wiesz dlaczego.

– Przynajmniej nie jesteś bankrutką. –Słaba to była pociecha. Potrząsnęła głową.

– Mam dużo pieniędzy. Ale co mi po nich,, skoro nie mogę kupić tego, co chcę. Zostałam wykluczona, i to tylko dlatego, że wygadałam się przed tobą i że nie powiedziałam im o twoich poczynaniach. Ale ty doniosłeś na mnie bez żadnych skrupułów, prawda?

Connor już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale w tym samym momencie uświadomił sobie,

że to nic nie zmieni.

– Miło było znów cię zobaczyć, Angela – powiedział. – Przykro mi, że nie mogę zostać dłużej, ale w biurze czekają na mnie stosy spraw. Wiesz, jak to jest.

– Owszem, wiem dokładnie. A teraz wynoś się stąd, Philip. Connor ruszył do drzwi, ale słysząc za sobą słaby odgłos zawahał się.

Angela powiedziała:

– Zostań ze mną, Philip. Bardzo cię proszę, zostań. Przez chwilę stał, odwrócony do niej tyłem, zdjęty bólem, który po trochu ustępował. Po czym wyszedł.

Późnym popołudniem, kiedy Connor siedział w swoim nowym biurze, sekretarka połączyła do niego telefon. Dzwonił Smith, który pilnie chciał z nim omówić sprawę zakupu kolekcji starego srebra.

– Dzwoniłem do pana wcześniej, ale pańska sekretarka powiedziała mi, że pan wyszedł – powiedział z lekkim wyrzutem.

– I rzeczywiście – odrzekł Connor – nie było mnie w mieście. Zaprosiła mnie do siebie Angela Lomond.

– O?

– Pan mi nic nie mówił, że ona już nie jest klientką.

– Powinien pan sam wiedzieć. – Smith milczał przez chwilę. – Czy myśli pan, że będą z nią jakieś kłopoty?

– Nie.

– Czego chciała?

Connor rozparł się wygodnie w fotelu i patrzył przez okno na Atlantyk.

– Nie mam pojęcia. Byłem tak krótko, że nawet nie zdążyłem się dowiedzieć.

– Bardzo słusznie – rzekł Smith z uznaniem.

Connor odłożył słuchawkę, po czym zaparzył sobie kawy. Była to mieszanka ze znakiem P, którą trzymał w barku razem z alkoholami. Jej cudowne działanie uspokoiło resztki wyrzutów sumienia.

Jakim cudem – zastanawiał się leniwie – oni potrafią osiągnąć to, że jej smak idealnie dorównuje aromatowi?

# Cisi współnicy

Z początku dostrzegł tylko, że jest ubrana w futro, później, że ma włosy blond, mimo wieczornego wiatru gładkie jak szkło. Kiedy się zbliżyła, dostrzegł błysk klejnotów w uszach i na szyi i złota na przegubach rąk. A na koniec zobaczył jej twarz, która była piękna. Nie znał tej kobiety, a jednak jej twarz wydała mu się swojska jak twarz kogoś, kto mu się dawno temu przyśnił.

Purvey przycałił się w krzakach, gdzie było zupełnie ciemno, i czekał, aż kobieta podejdzie jeszcze bliżej, by znaleźć się w jego zasięgu.

Ze swojej kryjówki widział obydwie oświetlone przez latarnie wejścia do małego parku i jednocześnie fragmenty cichych podmiejskich ulic za nim. To dziwne, że nie zauważył, jak przechodziła przez bramę, ale być może wypił trochę za dużo w trakcie oczekiwania. Od lat już musiał urządzać takie łupieżcze wyprawy i jego nerwy wymagały uspokojenia za pomocą alkoholu. Oszukańczy proceder stwarzał widać kiepskie perspektywy, skoro człowiek z dwudziestoletnim stażem w tym rzemiośle musiał się jąć zwykłego rozboju.

Zaczerpnąwszy głęboko tchu wyjął z kieszeni pistolet i szybko wyszedł na ścieżkę.

– Ani słowa – ostrzegł kobietę. – Dawaj pieniądze i biżuterię. – Spojrzał jej w twarz usiłując ocenić, czy ma do czynienia z kimś, kto posłusznie wykona polecenie, czy z kłopotliwą facetką, po której można się wszystkiego spodziewać.

W słabym świetle sączącym się z ulicy zobaczył, że z jej piękną twarzą stało się coś straszliwego. Nerwowo poderwał rękę do ust, cofnął się o krok i uniósł pistolet w obronnym geście.

Kobieta zwiśla, jakby nie miała kości, pomarszczyła się i w ciągu sekundy znikła pozostawiając po sobie jedynie ciemny kształt wijący się u jego stóp na ziemi. Z jękiem rozpaczony rzucił się do ucieczki.

Ale było o wiele za późno.

Purveyowi bardzo rzadko się cokolwiek śniło, ale kiedy miał dwanaście lat, przyśnił mu się koszmar: otóż popełnił samobójstwo w ten sposób, że położył się w trumnie, wypełnionej ziemią i różami. Kolce raniły mu ciało upuszczając krew, dzięki której róże rozkwitały szczególnie pięknie, aż został z niego dosłownie wysuszony szkielet, martwy pod pięknym kirem z żywych kwiatów. I wtedy, tak jak to się zdarza w snach, doszedł do wniosku, że mimo wszystko wcale nie chciał popełnić samobójstwa.

Teraz doznał tego samego uczucia.

Wielkie, mięsiste liście i dziesiątki ciemnozielonych wici leżało mu na piersi i twarzy poruszając się leciutko na wietrze i sącząc mu pod ubranie wścibskie strumyczki zimnej wody. Mobilizując wszystkie siły odsunął płataninę, usiadł i natychmiast zorientował się, że jest na pokładzie statku kosmicznego. Dostatecznie wiele razy był w koloniach na orbicie okołoksiężycowej, żeby rozpoznać swoje doznania, mimo że jego obecne otoczenie mniej przypominało wnętrze statku kosmicznego niż cokolwiek, co widział w życiu.

Niskie, niemal koliste pomieszczenie było miejscami jasno oświetlone z góry, a miejscami ciemne i sprawiało wrażenie tajemniczego bezmiaru nie mającego żadnego związku z rzeczywistymi wymiarami pokoju. Ciemnobrązowe ściany ociekały wilgocią. Potężne wentylatory, umieszczone na nich w regularnych odstępach, wykonywały pozornie przypadkowe ruchy wzbudzając w ten sposób nierównomierne porywy zimnego wiatru.

Podłogę pokrywała cienka warstwa mułu, z którego sterczały chaotycznie rozrzucone

postumenty od aparatów, obudowy maszyn, kable i niskie przepięcia. Najwyraźniej nie było tu nikogo poza nim.

Purvey pozbił się jakoś, przy czym o mało nie upadł z powo-

du zawrotu głowy, i ruszył w kierunku jednego z postumentów, który, promieniował czerwonym blaskiem i wydawał szczególny, cienki świst o zmiennej tonacji. Na postumencie znajdował się niewielki ekran, ukazujący kilka jasnych gwiazd na tle purpurowej przestrzeni. Oznaczenia na tarczach stanowiły małe różnokolorowe kleksy.

Purvey obszedł pomieszczenie dokoła i upewnił się, że jest puste, a wtedy zaczął krzyżeć, żeby go wypuszczono. Ale nikt się nie pojawił. Z minuty na minutę odczuwał coraz silniejszy zawrót głowy, jakby powietrze zawierało jakąś zdradliwą truciznę. Przechodząc przez pokój przewrócił się na śliskim bloku i stanął przed niewielkim ekranem deliberując, w jaki sposób mógł się znaleźć w tak koszmarnej sytuacji.

Nagle przypomniał sobie ostatnie wypadki z niezwykłą ostrością:

kobieta w parku! Jak mógł zapomnieć ohydnie rozpluwającą się twarz czy sposób, w jaki zamieniła się w niemożliwy do opisania przedmiot na ziemi? Przejechał palcami po gładkim szkłe ekranu odczuwając nieznaczny ulgę na myśl, że nie ma jej czy też tego czegoś w bezpośredniej bliskości.

Z tyłu za nim rozległ się mokry, mlaszczący odgłos.

Odwrócił się czując, jak usta wykrzywia mu strach. Ciemnozielona masa, która ciekła mu po twarzy i piersi, kiedy się obudził, pełzła za nim zostawiając za sobą w błocie szeroką koleinę. Pośrodku gmatwaniny liści i wąsów Purvey dostrzegł zawiły guzowaty rdzeń około półmetrowej średnicy. Niektóre wici kończyły się lśniąco czarnymi paciorkami, pełniącymi najwyraźniej rolę oczu.

Purvey zaczął się cofać przed nacierającą na niego rośliną macając ręką w kieszeni w poszukiwaniu pistoletu. Ale go tam nie znalazł. Wreszcie zatrzymał się przy ścianie – stojąc nieruchomo wpatrywał się po prostu w sunącego stwora, który poruszał się za sprawą ledwie widocznego źródła impulsów umiejscowionego gdzieś pod rdzeniem. Stwór zatrzymał się w odległości mniej więcej ludzkiego kroku i pozostał nieruchomy przez bardzo długi, jak się wydawało Purveyowi, czas. W końcu na jednym z potężnych liści z wierzchu, na tle jaśniejszej zieleni, zajaśniały białą niewyraźne litery.

Stwór próbował się z nim porozumieć.

– Dostaniesz złoto – brzmiał napis. Macki zaopatrzone w czarne paciorki falowały łagodnie w powietrzu i Purvey poczuł zapach zakurzonego bluszczu rosnącego na rozpadającym się murze.

Żywo zareagował na jedno ze swoich ulubionych słów i z miejsca stał się mniej podejrzliwy.

– Za co? – Stanął swobodnie na całych stopach i usiłował przeniknąć wzrokiem najwyraźniej obdarzonego inteligencją roślinnego stwora. – Za co dostanę złoto?

Nastąpiła kolejna długa pauza, po czym zielony 'tekst zbladł i zastąpił go następujący komunikat: „Eksplzja zniszczyła część statku”, po czym: „Łącznie z warsztatem naprawczym”, następnie:

„Lurr dokonał prowizorycznych reperacji”, następnie: „Jesteś w wysokim stopniu ruchomy”, następnie: „Będziesz w pogotowiu podczas podróży”, wreszcie: „Lurr zapłaci złotem”.

– Ale ja nie umiem reperować statków kosmicznych – zauważył Purvey, grając na zwłokę, żeby zyskać czas na zastanowienie się.

– Praca będzie prosta. Jesteś ruchomy. Ja tobą pokieruję. – Przekazywanie poszczególnych informacji za pomocą kontrolowanego efektu blaknięcia liter trwało długo.

Purvey zaczął grzebać w kieszeni i znalazł spłaszczoną paczkę papierosów i wieczną zapalną. Kiedy ją potarł, zabłyśnięła dużym, jasnym płomieniem. Zorientował się, że powietrze na statku jest bogate w tlen. Prawdopodobnie dlatego czuł się taki oszołomiony, 'zupełnie jak pijany. Zdmuchnął zapalną nie bez trudności, schował ją i z lubością zaciągnął się papierosem,

– A czy później przywieziesz mnie z powrotem na Ziemię?

– Tak.

Purvey zastanawiał się przez chwilę, czy nie poprosić Lurra o oficjalne przyrzeczenie, ale zrezygnował nie będąc pewnym, ile jest warte słowo rośliny. Mogło nie być bardziej godne zaufania niż słowo niektórych spośród jego przyjaciół.

– Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób mnie tu sprowadziłeś – powiedział. – To było chyba trochę... trochę nieetyczne. – W każdym razie nie było to postępowanie, jakiego można by oczekiwać po takiej zieleninie, pomyślał ze złością, ale nie uzyskał odpowiedzi na swoje pytanie. Zauważył, że czarne paciorki zmętniały, jakby Lurr zasnął. Purvey parsknął z niesmakiem. Przycupnął pod ścianą, z uniesionym kołnierzem płaszcza, i dokończył papierosa.

Jedynym odgłosem, jaki dał się słyszeć w pomieszczeniu, był nieustanny szept wentylatorów na ścianie nad nim.

Po pewnym czasie, obudziwszy się z niespokojnego snu, Purvey stanął wobec kolejnego problemu.

Przypominające dzikie wino odroślą, które stanowiły członki ciała Lurra, oplatały go mokrą siecią jak za pierwszym przebudzeniem. Przerwał ten odrażający kontakt odsuwając ciemnozieloną masę i usiłując dociec, dlaczego ona się w ogóle do niego zbliża. Był przekonany, że Lurr jest równie bezpłciowy jak kapusta, a jednak w jego dotyku było coś z koszarnej pożądliwej pieśczoły. Czy możliwe, żeby roślina była zбочzona? Perspektywa zostania zgwałconym przez roślinę wydała się Purveyowi szczególnie nieprzyjemna.

– Powiedz mi – odezwał się – jak długo może potrwać ta podróż? Szeroki liść rozwinął się i pojawiło się na nim mozolne pismo.

– Piętnaście twoich dni.

– A co z żywnością? – zapytał Purvey. – Będę potrzebował żywności.

– Możesz jeść to samo co Ahtaur.

– Co Ahtaur? A co to takiego Ahtaur?

– Ahtaur jest moim pomocnikiem. Ona cię tu przyprowadziła.

– Ja nie chcę jej jedzenia – odpowiedział Purvey, nagle zdjęty strachem.

– Jej to nie będzie przeszkadzało. – Lurr poruszył się wolno i odpętlął, pozostawiając ślad, w którym prześwitywał białawy metal podłogi. Jak zauważył Purvey, były w niej niewielkie otworki, przez które stale wydobywał się muł:

Purvey ruszył za Lurrem zastanawiając się, czy ta ostatnia uwaga była zaprawiona ironią. Czy taki stwór mógł być obdarzony poczuciem humoru? Miał nadzieję, że nie. Wystarczy mu w zupełności, że we śnie obmacują go lubieżne brokuły, ale wysłuchiwać potem dowcipnych powiedzonek – tego byłoby stanowczo nadto.

Znalazłszy się przy niskich drzwiach w ścianie kadłuba, Lurr wyciągnął mackę, dotknął białego koła i drzwi otworzyły się ukazując proste przypominające szafę wnętrze. Za dotknięciem innego koła otworzyła się kłapa i wysunęła się kostka różowej gąbczastej substancji. Purvey wziął ją ostrożnie, ale ponieważ głód mu

doskwierał na długo przedtem, nim zaczęły się jego bieżące kłopoty, skwapliwie spróbował dziwnego pokarmu. Był letni, gumasty i smakował jak pasta z langusty z wyraźnym dodatkiem

czerwonej papryki. Lepszy, niż się spodziewał.

Posiliwszy się, popił wody z małego strumyka, jakich wiele spływało ze ściany, ale nie ugasił pragnienia. Lurr zbliżył się do jednego z pulpitych z przyrządami i leżąc koło niego bez ruchu, oczyma na wyciągniętych słupkach obserwował szereg zegarów.

W drodze nieustannego zadawania pytań Purvey ustalił, że statek, na którym się znajduje, jest czymś w rodzaju jednostki zwiadowczej eskortującej ogromny międzygwiazdny liniowiec albo okręt wojenny. Kiedy zdarzył się wypadek, Lurr zamiast zatrzymać statek macierzysty w celu uzyskania pomocy, dał znać drogą radiową, że sam sobie poradzi. Gdyby mu się jednak nie udało wrócić do bazy, statek macierzysty miał wyruszyć na poszukiwanie. Ziomkowie Lurra toczyli wojny tylko, kiedy zostali zaatakowani, ale okręty wojenne mieli bardzo duże i potężne.

Purvey zauważył, że w ostatnich słowach Lurra pobrzmiwały echa wypowiedzi ludzkich mężów stanu na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych, i zaczął się zastanawiać, czy to przypadkiem nie miała być jakaś aluzja. Jak na stworzenie obdarzone tak odmiennym umysłem, nie mówiąc już o powłóce cielesnej, Lurr opanował doskonale język angielski i nie przekręcał słów.

– Jak to jest – spytał Purvey – że mówisz, to znaczy piszesz, tak dobrze po angielsku?

Ale czarne paciorki znów zaszyły mgłą. Purvey snuł się dokoła studiując dziwne mechanizmy, zabijając w ręce z zimna i zastanawiając się, co tu jest nie tak. Wszystko, oczywiście, doszedł do wniosku, jako że wszystko jest tu produktem obcego myślenia. Ale to nie wyczerpywało sprawy. Purvey odkrył, że szybko się męczy. Czas włókł się w monotonnej niewygodzie pomieszczenia i Purvey często zapadał w sen, przycupnięty w najciemniejszym kącie, gdzie znajdowało się najmniej mułu. Było to miejsce, gdzie nastąpiła eksplozja, o czym świadczyły osmalone części metalowe, podziurawione obudowy przyrządów i potłuczone lampy u sufitu. Tu Purvey czuł się najlepiej; było to bowiem jedyne miejsce, którego Lurr zdawał się unikać.

W pewnym momencie, kiedy poczuł się szczególnie źle, a Lurr

nie zdradzał chęci do rozmowy, postanowił poszukać czegoś, w co mógłby się owinać przed zimnem. Jego płaszcz nieprzemakalny, ciężki od błota i mokry, był bezużyteczny i Purvey stwierdził, że marzy o ciepłe w jakiegokolwiek formie.

Podszedł do rzędu niskich drzwi i otworzył kilka z nich naciskając białe kółka. Wewnątrz znalazł zwykłe półki zastawione nie oznaczonymi skrzynkami czy częściami maszyn, które, chociaż pokryte kropelkami wilgoci, nie nosiły śladów korozji. Jedna z półek była zavalona bryłami kolorowego szkła czy też plastiku, inna czymś, co wyglądało na purpurowe morskie glony.

Jedne z drzwi, większe od innych, "wyróżniały się czerwonym kółkiem. Zdrętwiały z zimna Purvey otworzył je i zobaczył mały pokój, pośrodku którego płonął staromodny przysadzisty piec. Pochylił się już, żeby wejść, kiedy nagle uświadomił sobie, że przecież piec nie może się tam znajdować, i stanął jak wryty. Coś poruszyło się w pobliżu jego stóp. Zanim zdążył odskoczyć i zatrzaskać drzwi, mignęło mu tłuste, podobne do ślimaka stworzenie, które uniosło się z rozdziawionym szarym pyszczkiem.

Lurr ożywił się nagle i rozwinął liść służący mu do porozumiewania się.

– Widzę, że tym razem rozpoznałeś Ahtaur.

– Tym razem? – zapytał Purvey. – Czy to była ta kobieta, którą widziałem?

Lurr wydawał się dość aktywny i rażny, a odpowiedzi ukazywały się wyraźnie szybciej niż poprzednio. Ahtaur była bardzo wolno poruszającym się mięsożernym stworzeniem pochodzącym z rodzimej planety Lurra. Zbliżając się do swoich ofiar, w telepatyczny sposób opanowywała ich umysły tak sterując ich ośrodkami wzrokowymi, że wydawała im się atrakcyjnym obiektem. Najwyraźniej Lurr ujarzmił Ahtaur, wyposażył ją w coś, co nazwał chwytem pola siłowego, a

następnie spuścił ją na Ziemię, żeby w cichym, ustronnym miejscu znalazła jakąś ludzką istotę. Purvey, który lubił ciche, ustronne miejsca, wpadł w pułapkę.

Produktem ubocznym obserwacji ziomków Lurra nad Ahtaur było wynalezienie przez nich urządzenia, które im pozwalało wykrywać i rozumieć myśli obdarzonych inteligencją zwierząt. Purvey przyglądał się z zastanowieniem swojej zielonej towarzyszce, gładząc się po nie ogolonej brodzie i usiłując zgadnąć, czy to kolejne ostrzeżenie.

Piątego dnia, z pomocą zegarka, odkrył, że Lurr go okłamuje.

Uczucie, że jest coś nieuchwytnie fałszywego w całym układzie, osiągnęło swój szczyt, kiedy wreszcie zrozumiał, że w pomieszczeniu znajdują się dwa odrębne komplety przyrządów sterowniczych. Te, które były w użyciu i przy których Lurr spędzał większość czasu, stały zgrupowane wzdłuż jednej ze ścian. Każda część, każda najmniejsza podstawa czy obudowa była wykonana z gładkiego, lśniącego metalu z taką precyzją, że przywodziła mu na myśl wysokiej jakości automat do gry. Wszelkie złącza były ledwo widoczne, a małe kolorowe punkciki, które zastępowały cyfry, były doskonałymi w kształcie kółkami i kwadracikami odcisniętymi w metalu.

Drugi, nie używany komplet przyrządów, rozrzucony pośrodku pomieszczenia – przeciwnie – przypominał Purveyowi radio, które zbudował podczas zajęć resocjalizacyjnych: płytki, które do niczego nie pasowały, puste otwory, wtyczki, których nie było gdzie wetknąć, a zamiast kolorowych oznaczeń po prostu bezkształtne kleksy emalii. Odgarnąwszy kilka garści mułu Purvey stwierdził, że w podłodze są celowo wypalone otwory i że przechodzą przez nie kable i rury. Żaden z elementów skleconego byle jak sprzętu eksperymentalnego nie odpowiadał wyobrażeniu Purveya o zwykłym statku zwiadowczym. Ale nie widział powodu, dla którego obcy mieliby go oszukiwać w tej sprawie. Starał się jednak nie myśleć o swoim odkryciu, na wypadek gdyby Lurr potrafił czytać jego myśli, i ze względów zasadniczych zaczął się interesować działaniem statku. Instynkt zawodowy podpowiedział mu, że ma. do czynienia z nie byle czym.

Minął jeszcze jeden dzień, dłużący się mniej dzięki ustalonemu już codziennemu tokowi zajęć. W przerwach Lurr wyjmował z szafki po trochu różowej gąbczastej substancji i wpychał ją przez szparę w drzwiach do pomieszczenia Ahtaur. Małe niebezpieczne stworzenie wydawało się odgrywać w jego życiu rolę ulubionego pieska, z tą różnicą, że nigdy nie było wypuszczane na żaden spacer. Purvey za każdym razem, kiedy był głodny, posilał się tym samym pożywieniem i stwierdził, że je nawet zaczyna lubić.

– To jest całkiem niezłe, jak już się człowiek przyzwyczai – powiedział Lurrowi machając ręką, która zdążyła mu się już opa

lić. – Jak mi dasz przepis, to po powrocie kupię sobie za złoto od ciebie restaurację i będzie to moja specjalność zakładu.

– Jednym z powodów, dla których smakuje ci pokarm Ahtaur – odparł Lurr – jest nieznanostwo jego składników.

Purvey przestał jeść i wrzucił resztę do wspaniale pomyślanego urządzenia usuwającego odpady, które przydzielił mu Lurr do różnych celów osobistych. Gapił się na Lurra w zadumie usiłując znów dociec, czy z niego zakpiono, i marząc o tym, żeby się dorwać do środka przeciw chwastom.

Doszedł do wniosku, że liściasty stwór zmienił się w stosunku do tego, jaki był na początku podróży. Na przykład w rozmowach, które wiodli od czasu do czasu, potrafił nadawać swoje krótkie pisane komunikaty szybciej, niż Purvey mógł na nie odpowiedzieć, co budziło niemiłe podejrzenie, że ta ruchoma jarzyna może go przewyższać inteligencją. Ruchy Lurra stawały się coraz zwawsze, aż wreszcie przemieszczał się równie szybko jak człowiek – kolejne odkrycie, z którego Purvey nie był



zadowolony. Jediną korzystną zmianą wydawało się to, że Lurr przewyciężył dziwną potrzebę owijania się wokół niego za każdym razem, kiedy Purvey kładł się spać. To stwarzało Purveyowi lepsze warunki wypoczynku.

Siódmego dnia Purvey zorientował się, że musi być dalej od Ziemi niż ktokolwiek przed nim. Jak dotąd jedynie dwa statki ziemskie z załogą dotarły do Marsa, chociaż mówiło się wiele o wysłaniu trzeciego, żeby sprawdził, dlaczego tamte nie wróciły. I oto Don Purvey znalazł się w połowie drogi do gwiazdy...

– Jak daleko dotarliśmy? – zapytał. – Pewnie daleko, co? Ile lat świetlnych?

– Nie jestem przyzwyczajony do obliczania odległości w waszych jednostkach – odparł Lurr. – Najdokładniejsze przybliżenie, jakie mogę ci podać, to jest... sześć godzin świetlnych.

– Godzin świetlnych?! – wykrzyknął Purvey. – Ależ to znaczy, że właśnie przekroczyliśmy orbitę Plutona. Powiedziałaś mi, że podróż będzie trwała piętnaście dni. Połowa tego czasu już minęła, a my wciąż jesteśmy w granicach systemu słonecznego. Co jest grane?

Lurr nie odpowiedział! od razu; okazał pierwsze wahanie od wielu dni. Wreszcie odparł: ,

– Podróż składa się z trzech etapów. Wydostanie się z waszego systemu planetarnego zabiera połowę czasu. Wejście w mój system drugą połowę. To znaczy w przypadku podróży w normalnej przestrzeni i ze standardowym napędem. Przeskok z systemu do systemu przy użyciu napędu lurriańskiego zajmuje tylko kilka godzin.

Purvey pogłaskał się po brodzie i uśmiechnął pod adresem Lurra. O to chodzi – pomyślał tryumfalnie.

– Nowy element, o który wzbogaciłeś statek, zmienił go ze zwykłego planetarnego pojazdu w statek międzygwiazdny. To twój wynalazek, prawda, Lurr? Oczywiście! Właśnie mówiłeś o lunańskim napędzie. Jesteś zupełnie sam, nie ma żadnego statku macierzystego, który by cię poszukiwał...

Szybkość, z jaką Lurr się rzucił, tak zaskoczyła Purveya, że nim się zorientował, co się święci, tamten był już niemal przy drzwiach do pomieszczenia Ahtaur. Pobiegnął za Lurrem mrużąc coś pod nosem ze złością, ale jedna z macek śmignęła szybko i dotknęła czerwonego koła. Kiedy drzwi stanęły otworem, Purvey usiłował się zatrzymać, ale pośliznął się na mule i ciężko zwałił na bok. Impet upadku pozbawił go tchu. Wydał okrzyk przerażenia widząc, jak , Ahtaur węzowym ruchem z nieoczekiwaną szybkością wpełzła do pokoju, to otwierając, to ściągając bladoszary otwór gębowy jak gdyby w skurczach głodu. Spowijał ją obłok mglistych, kłębiących się bezkształtnych widm różnych przedmiotów, które powstawały w miarę, jak kamuflujące talenty Ahtaur oddziaływały na oszołomionego Purveya. Rozejrzał się dokoła w panice i nie znalazłszy niczego, co by mogło mu posłużyć za broń, przedarł się jakoś do najbliższego rzędu kabin.

Otworzył jedną z nich i stwierdził, że jest pełna niewielkich szklanych brył. Następna zawierała coś, co okazało się skomplikowanym systemem zaworów i Purvey wyrwał go z uchwytu. Potężny kawał metalu mało nie wypadł mu z ręki, kiedy stracił na moment równowagę, ale zdołał go' jakoś rzucić na grzbiet Ahtaur. Slimacze ciało pękło zatapiając w sobie bryłę metalu. Ahtaur wydała bulgotliwy jęk, a płynne obrazy, które rozmywały jej kontury, znikły nagle.

Pozostawiając zaimprovizowaną maczugę tam, gdzie utkwiała, Purvey zaczął się rozglądać za Lurrem. Roślinny stwór sunął zwawo z wymierzonym w niego spiczastym kaktusowatym wyrostkiem.

Purvey uskoczył do tyłu, uświadamiając sobie, że nie powinien był się wzdragać przed wyciągnięciem maczugi. Przebiegnął w drugi koniec pomieszczenia, cały czas grzebiąc pod marynarką, aż wyciągnął pasek od spodni. Był on zrobiony z cienkiej metalowej taśmy elastycznej. Purvey ujął go mocno za klamerkę i odwróciwszy się ciął uniesione macki Lurra zakończone oczyma.

Rozległ się ostry trzask i dwoje oczu stuknęło o ściankę. Zamierzywszy się znówu pośpiesznie, ze strachem i obrzydzeniem Purvey chłostał Lurra raz po raz, dopóki nie pozbawił go wszystkich oczu. Dalsza akcja była już stosunkowo bezpieczna, tyle że zabicie wroga kawałkiem metalu wydartego ze zniszczonej części pomieszczenia trwało z pół godziny.

Nigdy już nie wezmę do ust surówki z kapusty – przysięgał sobie w duchu Purvey zgarniając drgające jeszcze szczątki roślinne i ładując je do śmietnika.

Sterowanie statkiem było, jak się przekonał obserwując Lurra, całkowicie automatyczne. Zmiana programu, według którego komputery miały wyprowadzić pojazd z systemu słonecznego, nie przedstawiała trudności. Na małym modelu układu słonecznego, na którym szereg guzików biegł łukiem od jarzącej się półkuli, Purvey wcisnął trzeci, oznaczający Ziemię. Był przekonany, że w ten sposób statek wyląduje na trzeciej planecie jakiegokolwiek systemu. Fakt, że komputer był przyzwyczajony do rodzimego systemu Lurra, nie stanowił żadnej różnicy, bowiem gdyby nawet statek został unieruchomiony na dowolnie długo i przez ten czas układ planet by się zmienił, statek po uruchomieniu zacząłby przeszukiwać niebo i znalazł swój cel.

A był to statek wysokiej klasy, gratulował sobie Purvey, wyprzedzający o setki lat wszystko to, co w tej dziedzinie stworzono na Ziemi. Za samo urządzenie, które czyniło go niedostępnym dla radaru, Purvey dostanie więcej pieniędzy, niż będzie mógł wydać, i to bez łaski jakiejś pełzającej rośliny.

Kiedy przekonał się, że potrafi sterować pojazdem, przycupnął zadowolony w swoim ulubionym kącie i po raz pierwszy od wieiu dni wyspał się porządnie. Po przebudzeniu stwierdził, że go boli głowa, ale złożył to na karb swoich przejść; ból jednak stawał się z czasem coraz silniejszy. Po zjedzeniu posiłku i kolejnej drzemce musiał przyznać, że w pomieszczeniu panuje zaduch.

Rozglądając się za klimatyzatorem znalazł w ścianie pod każdym z wentylatorów małą kratkę. Oznaczało to, że istnieje na statku urządzenie do odświeżania zużytego powietrza i że urządzenie to nie działa. Pocąc się pomimo zimna zaczął szukać dokoła siebie i znalazł potężny przewód. Przewód wychodził z obudowy mechanizmu w pobliżu kąta, w którym Purvey sypiał. Podeszedł bliżej dokonał prostego, ale potwornego odkrycia: ściany obudowy zostały wgniecione siłą eksplozji.

Urządzenie klimatyzacyjne nie działało.

Szlochając ze strachu pobiegł po narzędzia, nagle jednak stanął jak wryty. Zrozumiał, że gdyby nawet urządzenie było i sprawne, jego sytuacja w niczym by się nie zmieniła. Bo przecież ono produkowało dwutlenek węgla!

Nagle pojął całą sytuację. Lurr był ruchomą rośliną żyjącą na zasadzie fotosyntezy: dwutlenek węgla i wodę zamieniał w węglowodany, wydzielając przy tym tlen. Podczas manewru eksperymentalnego wybuch zniszczył agregat wytwarzający dwutlenek węgla i Lurr zastąpił go Donem Purveyem. To dlatego z takim upodobaniem kładł się koło niego; tym również należało tłumaczyć obfitość tlenu w powietrzu na początku lotu. Dzięki obecności Purveya wydychającego cenny dwutlenek węgla roślinny stwór poruszał się tak zwawo. To go trzymało przy życiu, tak jak Purveya trzymał przy życiu wydzielany przez Lurra tlen.

Stanowili idealną załogę małego statku kosmicznego i dopiero teraz Purvey zrozumiał, że pozbycie się partnera było błędem z jego strony.

Niestety, jak poprzednio, zrozumiał za późno.

# Element ryzyka

Nie można powiedzieć, żeby wezwanie przyszło w porę.

Tego właśnie dnia Cytheron obrócił świat w szkło. Nie obiektywnie co prawda – choć kiedyś z pewnością osiągnie stadium, w którym takie rzeczy będą możliwe – lecz subiektywnie – zmieniając swój sposób widzenia tak, aby wykorzystać tylko neutrina bez żadnych innych form promieniowania. Próbował już tego bezskutecznie kilka wieków temu i wspomnienie ówczesnej porażki spotęgowało jego obecny zachwyty. Uświadomiło mu proces własnego dojrzewania.

Jego ciało było teraz przejrzyste, wyczuwane jedynie jako wzajemne oddziaływanie na siebie elementów własnych i mezonów promieniowania kosmicznego. Widział siebie jako smugę zorganizowanego światła, poruszającego się po powierzchni krystalicznej kuli, wewnątrz której warstwy geologiczne wiły się jak pasma świetlistych mgieł.

Nad nim niebo było niezwykle. Mógł zagłębiać w serca gigantycznych czerwonych słońc, nie dostrzegając przy tym żadnych innych gwiazd. Był w podniosłym nastroju – wdychał rzeczywistość i wydychał ją w różnych postaciach jako skroploną muzykę i poezję.

Dzień, rok, dziesięciolecie – wszystko to mogłoby być jak jedno w tym nowym systemie zmysłowym. Ale zdaje się, że upłynęły zaledwie sekundy od nadejścia wezwania, wypisanego na świetle dziennym, dostrojonego do specyfiki jego własnych mózgowych rytmów, tak by żadna inna istota nie odczuła go jako coś więcej niż przesłonięcie słońca przez ulotną chmurkę. Cytheron nastawił wzrok tak, by zwyczajnie już teraz odbierać całe swoje otoczenie.

Znajdował się na opadającej w dół równinie, gdzie z szarego nieba spadały niby śnieg suche płatki ametystu – nie po to jednak, by leżeć w uśpieniu na ziemi, lecz by żeglować i łączyć się w nurtach niewidzialnych magnetycznych rzek.

Za równiną ciągnęło się pasmo górskie z mlecznobiałej skały, tu i tam poprzecinane żyłami fluoryzującego lodowca.

Cytheron miał już teraz poczucie kierunku. Sięgnął swoim umysłem i dokonał skordu. Momentalnie znalazł się na innej równinie, daleko w drugim końcu świata, w pobliżu grupy ośmiu tanów, przedstawicieli starszyny swego gatunku. Tu nie było śniegu; tu w regularnych odstępach ciepły ametystowy deszcz zaciągał zasłony, które łamiąc się tworzyły nad poszczególnymi ekranami zebranej w grupie starszyny przezroczyste łuki. Dokoła wśród koronkowej trawy pasło się stado miejscowych sześcionożnych zwierząt. By ich jednak nie płoszyć ani nie przeszkadzać im, tanowie pozwolili światłu przechodzić przez swoje ciała na wskroś. Cytheron natychmiast zmienił się na ich modłę.

– Odpowiadam na wasze wezwanie – pomyślał. – Dlaczego mnie wołaliście?

– Musisz wiedzieć. – Ośmiu tanów myślało jak gdyby jednym umysłem, unisono, co zawsze napawało Cytherona zgrozą. – Osiągnąłeś dojrzałość i zbiorowy umysł jest gotów cię przyjąć.

– Ale... – protest Cytherona zamarł, zanim się narodził, kiedy dotarła do niego prawda tego przesłania. Dojrzał. Tysiąc lat, a może i więcej kłębiło mu się w myśli jak rozwiewające się majaki senne. – Jeszcze nie jestem gotów.

– Jesteś gotów. – Zbiorowa myśl była pełna życzliwości, ale nieustępliwa. – I my jesteśmy gotowi przyjąć cię do zbiorowego umysłu.

– Nie wątpię, że jesteście gotowi, ale co zyskam za swoją młodość?

– Dziedzictwo doświadczenia i mądrości swego gatunku.

– To znaczy, że stanę się stary, prawda, tanowie?

– Nie możesz przewidzieć, czym się staniesz, Cytheronie, i w tym oto tkwi źródło twojego lęku.

Musisz wierzyć w kolej rzeczy naszego rodzaju. Musisz wierzyć, że my wiemy najlepiej. A teraz przygotuj się, że zostaniesz zasymilowany.

– Nigdy!

Gdy tylko Cytheron sformułował tę myśl, w jednej chwili wykonał skord i znalazł się w drugim końcu świata, w aureoli ametystowych płatków wysuszonego śniegu. Odległe góry zafalowały z lekka – znak, że tanowie sięgnęli tu myślą koncentrując się na jakimś bliskim Cytherona miejscu. Tak oto znów byli przy nim zalewając jego umysł falą chłodnej skruchy. Cytheron krzyknął głośno i wykonał skord na chybił-trafił. Brunatny nurt rzeki ponuro toczył wody, bursztynowe wieże bursztynowego miasta chłonęły poranne słońce, słychać było introspektywne milczenie błękitnego lasu, ale starszyzna opanowała Cytherona bez trudu i jego strach wzrastał.

Nagle zaczął w nim kiełkować dziwny spokój – jak gdyby podlegał procesowi nieuchwytnego topnienia. Zorientował się, że bez mała stracił tożsamość na rzecz grupy, że wyzbył się swojej indywidualności. Z rozpaczy oderwał się od powierzchni planety. Zatrzymał się na krótko na trzecim księżycu, ale rozsypane srebrne sztylety horyzontu zaczęły falować i Cytheron wiedział, że nie uciekł. Jeszcze jeden skok – i znalazł się wśród szafranowych piasków ogromnego świata pod purpurowym niebem; znów skok – białe piekło, serce konającego słońca; kolejny skok – żywy wzgórek czarnej galarety przesuający się niestrudzenie pod zimnymi gwiazdami.

Uchwyt tanów stawał się coraz mocniejszy.

Cytheron stracił na chwilę rozum. Zanim w pełni zdał sobie sprawę z tego, co robi, wykonał skord do jedyne miejsce w tej galaktyce, gdzie według niego nikt – nawet tanowie – nie mógł go dosięgnąć.

Zniósłszy męki agonii typowe dla swego gatunku, kwazar był już spokojny.

Proces wygasania rozpoczął się przed wiekami, kiedy nieprawdopodobnie masywne cielsko wyczerpało swój potencjał energii nuklearnej i zaczęło się kurczyć. W procesie zapadania się wzrosła jego gęstość, aż towarzyszące mu pole grawitacyjne stało się tak potężne, że uwięziło całe promieniowanie i wokół kwazara zaczęło krążyć jego własne światło. Ale jednocześnie ten sam proces kurczenia spowodował spazmatyczny nawrót życia: nastąpił przyływ

energii grawitacyjnej, która pokryła kulę wulkanami wybuchów, rozciągającymi systematycznie jej promień poza granicę uwięzionego promieniowania.

Dziesięć razy po tysiąc lat kwazar oscylował pomiędzy dwiema średnicami – powyżej i poniżej wymiaru krytycznego. A ponieważ nie ma sposobu nawiązania łączności czy uzyskania jakiegokolwiek informacji z ciała, które zamyka własne promieniowanie, można było uważać, że kwazar to pojawiał się, to znów opuszczał normalną czasoprzestrzeń.

Ostatecznie jednak wyczerpał się nawet zasób energii grawitacyjnej. Kwazar spowił się w czasoprzestrzeń i zniknął na zawsze.

Jedynie milcząca czarna studnia grawitacji znaczyła jego miejsce wśród gwiazd.

Cytheron niemal natychmiast pojął ogrom swego błędu.

Powierzchnia kwazara stała się piekłem skierowanej do wewnątrz ponownie wzbudzonej energii, ale tanowie dawno już posiadli tajemnicę prawdy uniwersalnej: bez oporu nie ma siły – i dlatego Cytheron był w sensie fizycznym spokojny. Przejście od przezroczystości dla światła do stanu, w którym wszelkie formy promieniowania mogły przenikać jego ciało bez przeszkód, było etapem stosunkowo krótkim i prostym. Niepokój, jaki odczuwał, wynikał z odkrycia, że znalazł się w potrzasku.

Zachował wprawdzie zdolność dokonywania skordu, ale przestał on być skuteczny wobec

przerazających deformacji, jakie wywołał kwazar w geometrii rzeczywistości. Cytheron mógł za pomocą skordu pokonać dowolną odległość – jednak tylko w linii prostej – a w pobliżu martwego kwazara linia prosta stanowiła część koła. Mógł więc natychmiast dosięgnąć dowolnego punktu na powierzchni kwazara, ale samego kwazara nie byłby w stanie opuścić.

Nagle unia ze starszyzną, jeszcze tak niedawno odrażająca jako perspektywa, wydała mu się niesłychanie wprost pożądana. Cytheron uświadomił sobie, że zachował się jak dziecko – z typową dziecięcą arogancją i brakiem tolerancji. A już szczytem bezczelności z jego strony było oskarżenie starszyny o to, że raczej skłonna jest brać, niż dawać. W udręce samokrytycznej oceny o mało nie dopuścił do tego, by przepływ laminarny uwięzionej energii rozmiótł jego ciało na cztery wiatry.

– Bądź spokojny, Cytheronie – powiedział zbiorowy umysł starszyny. – Nie w ten sposób.

– Znaleźliście mnie?

Cytherona ogarnęło uczucie ulgi na widok grupy ośmiu starszych, spokojnych i krzepiąco swoich.

– To nie było nic trudnego. Jeszcze wiele musisz się nauczyć.

– Wiem. Wiem – przyznał skwapliwie. – Mam do was prośbę:

pokażcie mi przede wszystkim, jak dokonać skordu przez barierę grawitacji. Nie chciałbym zostać tu ani chwili dłużej.

– To zrozumiałe, ale nie ma możliwości dokonania skordu przez taką barierę.

– Co? To wobec tego jestem... jesteśmy w pułapce.

– Nie ma obawy. Zniszczymy barierę.

Zwielokrotniona myśl starszyny była spokojna i Cytheron po raz pierwszy tak naprawdę uświadomił sobie potęgę ich połączonego intelektu.

– Ale jak to możliwe?

– Część materii składającej się na tę kulę należy przetworzyć na antymaterię. Wynikająca z tego energia wystarczy, by rozproszyć jej masę na większej przestrzeni i rozbić w ten sposób pole grawitacyjne.

– Potraficie to zrobić?

– Potrafimy. Proces już zaczął.

– Ale... – ogrom tej operacji przeraził Cytherona. – Wy stworzycie supernową. Pobliskie systemy gwiazdne mogą być zagrożone, światy, na których istnieje życie, mogą zostać pochłonięte. Nie chciałbym być oswobodzony na takich warunkach. Wolę umrzeć, niż stać się przyczyną śmierci innej istoty.

Tanowie zaczęli go uspokajać.

– Nie bój się, Cytheronie, my, starszyzna, nie straciliśmy nic ze swego poszanowania dla sił antyentropijnych. Gdyby oswobodzenie ciebie miało oznaczać zniszczenie innego życia, jednej choćby istoty, z pewnością byśmy cię tutaj zostawili. Miałeś jednak szczęście. Rzeczywiście powstanie odpowiednik supemovej, ale jedyna gwiazda na tyle bliska, że mogłaby się znaleźć w zagrożeniu, nie ma planet.

– Ale strumień neutronów będzie bardzo intensywny w całym rejonie – nalegał Cytheron. – Czy żaden z zamieszkałych światów nie ucierpi?

– Żaden. Jak już powiedzieliśmy, masz wiele szczęścia. Zbadaliśmy wszystkie gwiazdy w sąsiedztwie i znaleźliśmy tylko jeden system rozwijający się. Ma on dziewięć światów, ale wszystkie w bardzo wczesnym stadium rozwoju, więc zanim zaczną rozwijać się tam życie, siła

eksplozji wygaśnie.

– Rozumiem. To dobrze.

Cytheron szukał sposobu, w jaki mógłby wyrazić swoją wdzięczność, ale stracił chwilowo cały swój potencjał myślowy w związku z tworzeniem przez tanów antymaterii, na którą runął z furją pogwałcony wszechświat.

Cytheron uświadomił sobie, że starszyzna słusznie oceniała źródło jego obaw.

Nie wyobrażał sobie, czym się stanie po wchłonięciu jego osobo-wosci przez zespołowy umysł. W poczuciu własnej odrębności nie był przygotowany do roli istoty dojrzałej, z jej całkowitością i przynależeniem, z jej transcendentnym spokojem. Ogarnęły go, jak świetlista chmura, mądrość i doświadczenie tysięcy lat, zmieniając, a jednocześnie ustanawiając i utwierdzając jego unikalność.

Zatrzymał się na krótko w pobliżu niepozornego słońca z dziewięcioma planetami – systemu najbliższego gwiazdnej masakry, którą wywołali tanowie z jego powodu. Słońce ze swoją świętą rodzących się światów płynęło bez żadnych przeszkód w galaktycznym nurcie, nieświadome burzy kosmicznej zbliżającej się do niego z prędkością prawie równą prędkości światła.

– Jak widzisz, Cytheronie – pomyślał zbiorowy umysł – nie ma tu życia, masa planetarna jest w bardzo wczesnym stadium roz-

woju.

- Widzę. – Wskazał kulę z niezwykle dużym księżycem, trzecią od słońca. – Wydaje mi się, że ten świat zapewni optymalne warunki do powstania inteligentnego życia. – Zgadzą się z tobą.

– Muszę tu powrócić – pomyślał Cytheron. – Mimo wszystko jestem ciekaw, jak to życie będzie się rozwijało. A poza tym czuję się za to w jakiś sposób odpowiedzialny.

– Odpowiedzialny?

– Tak. Tego życia jeszcze tu nie ma, ale ogarnia mnie strach na myśl, że moje poczynania mogą mieć na nie w przyszłości niekorzystny wpływ. W każdym razie zmieni się sama struktura planety, kiedy napotka strumień neutronów z supernowej.

– Niepotrzebnie się martwisz, Cytheronie – powiedział zbiorowy umysł z rozbawieniem miarkowanym tysiącami lat doświadczenia. – Jedyнным fizycznym efektem eksplozji, jeśli chodzi o ten świat, będzie wyższy stopień uwięzienia neutronów, co prowadzi do powstawania cięższych pierwiastków niż te, które normalnie występują na tego typu światach.

Wyczuwając rozbawienie tanów, wciągany coraz głębiej w umysł zbiorowy, Cytheron widział, jak jego niejasne obawy maleją i znikają. W tym nieograniczonym niemal banku wiedzy nie znajdował nic, co by przemawiało za tym, że na rozwój inteligentnego gatunku mogłaby mieć wpływ – w jakikolwiek zauważalny sposób – obecność metali ciężkich, takich jak złoto. Czy uran.

# Frywolna Mona Lisa

Był styczeń, czwartkowy ranek – śmierzdzący i wilgotny jak niedopałki cygar z poprzedniego dnia – a mój biurowy telefon milczał od tygodnia. Siedziałem przy biurku, klapnięty, czekając, aż mi przejdzie kac po tequili, kiedy wkroczyła ta wysoka blondynka o cerze jak krew z mlekiem. Jej ubranie szeptało o pieniądzach, a zawartość tegoż ubrania apelowała do mojego drugiego hobby – ale czułem się zbyt podle, żeby to sobie uświadomić. Położyła na moim biurku płaską paczkę i powiedziała:

– Czy pan jest Phil Dexter, prywatny telepata?

Zsunąłem z czoła kapelusz i uśmiechnąłem się do niej chłodno.

– A co tam jest napisane na drzwiach mojego biura, aniołku? Jej uśmiech był równie chłodny.

– „Spółka Gorseciarska Glossopa”.

– Ja zabiję tego faceta od szyldów – zgrzytnąłem zębami. – Obiecał w tym tygodniu załatwić to na pewno. Od dwóch miesięcy zajmuję ten lokal i...

– Panie Dexter, czy nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy na razie odłożyli na bok pańskie problemy i zajęli się moimi? – Zaczęła rozwiązywać sznurek, którym była związana paczka.

– Nic a nic. – Straciwszy inicjatywę stwierdziłem, że nie zaszkodzi zrobić czegoś dla poprawy stosunków z klientem. Tak czy siak nigdy nie uważałem, że prywatni telepaci mieli rozmawiać z klientami tak jak prywatni detektywi. – W jaki sposób mógłbym pani pomóc, panno...

– Nazywam się Carole Colvin. – Lekko zmarszczyła czoło. – Myślałam, że wy, telepaci, wiecie takie rzeczy bez mówienia.

– To talent spontaniczny – beznamiętnym głosem podałem szablonową odpowiedź. – Istnieją zjawiska niedostępne zwykłym ludziom.

W tym momencie należy zawsze zrobić minę lekko roztargnioną czy nawiedzoną, patrzyłem więc przez półkoliste okienko nad drzwiami i myślałem o mojej byłej sekretarce, która podała mnie właśnie do sądu za niewypłacanie jej poborów. Carole jak gdyby tego nie zauważyła. Skończyła rozpakowywać paczkę, wyjęła z niej nie oprawione olejne płótno i oparła je przede mną.

– Co pan może mi o nim powiedzieć? – zapytała obcesowo.

– To jest to dobra kopia Mony Lisy – odparłem. – Bardzo sprytna imitacja, ale... – Głos mnie zawiódł, kiedy malowidło prze-mówiło do mojego szóstego zmysłu z pełną siłą. Wrażeniem starości – rzędu może z pięciuset lat – i oślepiającym natłokiem obrazów: przystojny brodaty mężczyzna w średniowiecznym stroju, pagórkowaty krajobraz z ciemnozieloną roślinnością, rzeźby z brązu, wąskie zatłoczone uliczki starożytnych miast. Za tym całym sztafażem, niemal całkowicie przyćmione przez jego przepych, majaczyło jakieś mroczne miejsce i okrągła drewniana rama, która mogłaby stanowić część jakiegoś dużego urządzenia.

Carole przyglądała mi się z zainteresowaniem.

– To nie jest kopia, prawda?

Moja szczeka wróciła do normalnego położenia.

– Panno Colvin, jestem prawie pewien, że ten obraz namalował sam Leonardo da Vinci.

– Chce pan powiedzieć, że jest to ta słynna Mona Lisa?

– To znaczy... tak. – Patrzyłem na płótno osłupiały z podziwu.

– Ale to przecież chyba niemożliwe?

– Zaraz się przekonamy. – Wcisnąłem klawisz końcówki komputera i rzuciłem: – Czy z paryskiego Luwru ukradziono Monę Lisę?

Odpowiedź nadeszła z elektroniczną szybkością.

– „Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie”.

– Niewystarczające dane?

– „Niewystarczające fundusze” – odparła maszyna. – „Dopóki nie uregulujesz opłaty za trzy zaległe miesiące, nie uzyskasz żadnej informacji”.

Zrobiłem przez okno, w kierunku, w którym według mnie musiał się znajdować ośrodek komputerowy, ordynarny gest.

– Mam cię w nosie – oznajmiłem zjadliwie. – Gdyby ukradli Monę Lisę, byłoby o tym we wszystkich gazetach.

– „Tym gorszy z ciebie dureń, że pytasz” – odpaliła maszyna. Zdjąłem palec z klawisza i uśmiechnąłem się głupio do Carole żałując, że chciałem się przed nią popisać skomputeryzowaną operatywnością.

Patrzyła na mnie coraz chłodniej.

– Jeśli pan już skończył, to panu powiem, skąd się u mnie wziął ten obraz. Chyba że to pana nie interesuje.

– Owszem, interesuje. – Uświadamiając sobie, że sprawa może mi przejść koło nosa, wyprostowałem się, czujny nagle i uważny.

– Mój ojciec zajmował się handlem dziełami sztuki i miał w Sa-cramento małą galerię – powiedziała Carole opadając na krzesło ruchem, który przypominał ściekanie miodu z łyżki. – Umarł dwa miesiące temu i zostawił wszystko mnie. Nie znam się specjalnie na sztuce, wobec tego postanowiłem sprzedać cały interes. I właśnie w trakcie sporządzania inwentaryzacji znalazłam ten obraz ukryty w sejfie.

– Miała pani szczęście.

– To się dopiero okaże. Obraz może być wart kilka milionów albo kilka lat ciupy, chciałabym dojść, czy jedno, czy drugie.

– I przysłała z tym pani do mnie! To bardzo rozsądnie z pani strony, panno Colvin.

– Właśnie zaczynam wątpić. Jak na kogoś, kto ma mieć szósty zmysł, wydaje się pan z lekka upośledzony, jeśli chodzi o pięć pozostałych.

Chyba właśnie w tym momencie zakochałem się w Carole. Rozumowałem tak: skoro patrzenie na nią sprawia mi taką przyjemność, mimo że traktuje mnie jak infantylnego durnia, to życie może być wręcz piękne, kiedy uda mi się ją skłonić, żeby dostrzegła we mnie inteligentnego mężczyznę. Tak czy owak, przystąpiłem do realizowania tego skrytego zamiaru.

– Pani ojciec nie wspominał nigdy nikomu o obrazie?

– Nie, dlatego się zastanawiam, czy, wszystko tu jest legalne.

– A czy domyśla się pani może, w jaki sposób wszedł w jego posiadanie?

– Ani trochę. Wiosną był na urlopie we Włoszech i pamiętam, że kiedy wrócił, wydał mi się dosyć dziwny.

– Dziwny w jakim sensie?

– Był napięty. Zamknięty w sobie. A to nietypowe dla człowieka po urlopie.

– Ciekawe. Zobaczmy, może uda mi się wyczuć jeszcze coś, co by mi pomogło. – Nachyliłem się i dotknąłem lekko popękanej powierzchni malowidła. I znów doznałem silnego impulsu psychicznego: zobaczyłem podobiznę łysiejącego mężczyzny, o którym wiedziałem, że jest ojcem Carole, i migawki z jakichś miast. Tych ostatnich bym nie poznał, gdyby nie towarzyszyły im przecucia, które potęgują zdolności telepatyczne.

– Rzym – powiedziałem. – Pani ojciec pojechał najpierw do Rzymu, ale większość czasu



spędził w Mediolanie i okolicach.

– Rzeczywiście. – Carole posłała mi spojrzenie pełne niechętej aprobaty. – Wygląda-na to, że ma pan rzeczywiście autentyczny dar.

– Dzięki. Niektórzy twierdzą też, że mam zgrabne nogi. – Jej komplement nie wywarł na mnie pełnego wrażenia, bo znów zobaczyłem ciemne pomieszczenie, jakby pieczarę, i kolistą drewnianą machinę, a poza tym moją uwagę pochłonęła emanująca stamtąd atmosfera odwiecznej tajemnicy.

– Tyle że nie posunęliśmy się wiele dalej – zauważyła Carole.

– Nie jest tak źle.

– Nie odpowiedział pan na najważniejsze pytanie: czy Leonardo da Vinci namalował dwie Mony Lisy?

– Na to wygląda, panno Colvin. Ale nie mam pojęcia, jak to może wpłynąć na wartość oryginału.

– Oryginału?

– To znaczy tego drugiego. – Patrzyłem na malowidło z nabożną czcią, poddając się jego oddziaływaniu wszystkimi zmysłami. Odniosłem wrażenie, że coś jest z nim nie w porządku, coś trudnego do sprecyzowania. Mona Lisa spoglądała na mnie ze swoim słynnym uśmiechem igrającym na jej ustach, tak jak ją pamiętałem ze wszystkich reprodukcji, jakie kiedykolwiek widziałem. Twarz w porządku, głębokie średniowieczne tło bez zarzutu, a jednak jakiś szczegół obrazu mnie raził. Czy to może coś, zastanawiałem się, z tymi pulchnymi, gładkimi rękami? Żeby zrobić wrażenie na Carole, przybrałem wyraz głębokiego skupienia i zadumy zastanawiając się

jednocześnie, co też takiego w tym obrazie mogło uruchomić w mojej podświadomości dzwonki alarmowe.

– Czy pan zasnął? – spytała Carole władcym gestem stukając w biurko.

– Też coś! – ofuknąłem ją i wskazałem na ręce Mony Lisy. – Czy nic pani w tych rękach nie razi?

– Pan by to zrobił lepiej, tak?

– Chodzi mi o to, że na obrazie z Luwru ona jak gdyby jedną rękę wsunęła w drugą, a tu one się nie dotykają,

– Możliwe. Mówiłam panu, że się zupełnie nie znam na sztuce.

– To by mogło wyjaśnić istnienie dwóch Mona Lis. – Zacząłem się zapalać do mojej teorii. – Może namalował tę, a potem sobie pomyślał, że lepiej by wyglądała z rękami spoczywającymi jedna na drugiej.

– Jeśli by tak było – zauważyła logicznie Carole – to dlaczego nie miałby po prostu przemalować rąk?

– Hmm... no rzeczywiście... tak. – Przeklinałem siebie za wy-koncypowanie takiej idiotycznej teorii. – Ma pani rację.

– No, trzeba jechać. – Wstała i zaczęła pakować obraz w szary papier.

– Dokąd?

– Do Włoch oczywiście. – Przez jej piękną twarz przemknął cień zniecierpliwienia. – Zaangażowałam pana, żeby mi pan odpowiedział na pytanie, czy ten obraz stanowi moją legalną własność, i jest dla mnie oczywiste, że siedząc tutaj w Los Angeles nie będzie pan w stanie tego zrobić.

Otworzyłem usta, żeby zaprotestować, ale uświadomiłem sobie, że apodyktyczna panna Colvin ma całkowitą rację, że potrzebna mi jest część pieniędzy, które tak bezspornie ona posiada i że krótki

pobyć nad Morzem Śródziemnym zrobiłby mi dobrze. Ciekawość też stanowiła w tym wszystkim czynnik niebagatelny, zarówno jeśli chodziło o sam obraz, jak i inny element mojej wizji telepatycznej, o którym jej jeszcze nie wspomniałem, a mianowicie czarną pieczarę z jej tajemniczą kolistą machiną.

– No więc? – spytała prowokacyjnie Carole. – Zamierzał pan coś powiedzieć.

– Ja? Nie. Chętnie pożegnaj się z tym miastem na kilka dni. Jak się wymawia po włosku arriyeder-ci?

Złapaliśmy południową raketę podorbitalną do Rzymu, poszcęściło nam się też z lokalnym połączeniem lotniczym i późnym popołudniem zameldowaliśmy się w hotelu Marco Polo w Mediolanie.

Zgłodniałem w podróży, więc nie żałowałem sobie, kiedy zasiedliśmy z Carole w dyskretnym kącie restauracji hotelowej. Kieliszek koniaku i dobre cygaro wpłynęły na moją życzliwszą ocenę występów kabaretowych, chociaż większość wykonawców musiała używać nowoczesnych „migdałkowych” mikrofonów, żeby ich w ogóle było słychać. Może to kwestia wieku, ale twierdzą, że piosenkarzom z prawdziwego zdarzenia w zupełności wystarczają tradycyjne mikrofony mocowane do zębów trzonowych. W każdym razie biorąc pod uwagę, jak fatalnie zaczął się dzień, nie było tak źle. Mnie otaczała aura powodzenia, a Carole wyglądała nieprawdopodobnie kobieco w czymś zwiewnym i złocistym. No i do tego jeszcze zarabiałem pieniądze.

– Kiedy pan ma zamiar zacząć pracować na to swoje honorarium? – spytała mierząc mnie surowym wzrokiem poprzez delikatną palisadę płomieni świec.

– Już zacząłem – zapewniłem ją, lekko urażony jej stosunkiem do mnie. – To jest hotel, w którym zatrzymał się pan ojciec, kiedy przyjechał do Mediolanu, i niewykluczone, że tu nawiązywał swoje kontakty. Jeśli tak było, to prędzej czy później złapię jakiś trop.

– Wolalabym, żeby to było prędzej, dobrze?

– Na talent samorodny człowiek nie ma wpływu. – Czując, że muszę trochę popracować nad stosunkami z klientem mówiłem stosując efekt pogłosu. – Właśnie w tej chwili, kiedy tu siedzimy, nieuchwytnie falujące sieci mojej świadomości rozwijają się coraz bardziej...

– No i co?

– Chwileczkę – powiedziałem. Zupełnie nieoczekiwanie nieuchwytnie falujące sieci mojej świadomości pochwyciły rybę w postaci przechodzącego właśnie kelnera od win. Był to szczupły, smagły młody człowiek o sprytnych ciemnych oczach i moje telepatyczne zdolności powiedziały mi z miejsca, że jego najświeższa przeszłość jest w jakiś niezwykle sposób powiązana z ojcem Carole. Natychmiast spróbowałem skojarzyć go z Mona Lisa. Nie uzyskałem pozytywnej odpowiedzi na poziomie intuicyjnym, a mimo to byłem

coraz bardziej pewien, że z kelnerem warto porozmawiać. W ten sposób właśnie działało postrzeżenie pozamysłowe.

Carole poszła za moim wzrokiem i potrząsnęła głową.

– Mam wrażenie, że dosyć pan już wypił.

– Bzdura. Mógłbym przejść po desce. – Wstałem od stołu i poszedłem za kelnerem przez podwójne drzwi i dalej korytarzem, który najprawdopodobniej prowadził do piwnic. Spojrzał za siebie, kiedy usłyszał moje kroki, a następnie odwrócił się taksując mnie wzrokiem jak hodowca bydła oglądający młodego byczka.

– Przepraszam bardzo – zacząłem – czy mogę zająć panu chwilę czasu?

– Nie mam chwili czasu – odpowiedział. – A poza tym nie znam angielskiego.

– Aha... – Patrzyłem na niego speszony przez kilka sekund, aż dotarło do mnie jasno i wyraźnie:

wyjąłem pieniądze, które mi dała Carole na pokrycie wydatków, wzięłem z tego dziesiątkę i wetknąłem mu ją do kieszeni białej kurtki. – Starczy na lingwafonowy kurs języka?

– Ach, zaczynam sobie przypominać... – Jego uśmiech był wymuszony, przebiegły. – Chce pan kobietę? O jaką panu chodzi?

– Nie, nie potrzebuję kobiety.

Zrobił jeszcze bardziej chytrą minę.

– To znaczy...?

– To znaczy, że towarzyszy mi już wspaniała kobieta.

– Ach, pan chce sprzedać kobietę? Może mi pan wierzyć, signor, trafił pan pod właściwy adres, mam dobre kontakty, jeśli chodzi o handel żywym towarem.

– Ale ja nie chcę również sprzedać kobiety.

– Jest pan pewien? Jeżeli tylko ma białą skórę, może pan za nią dostać dwa tysiące. Nie szkodzi nawet – powiedział wielkodusznie robiąc dłońmi koło piersi charakterystyczny gest – jeśli nie ma tego i owego. Wystarczy nieskazitelnie biała skóra...

Zniecierpliwilo mnie to.

– Nie chcę od ciebie nic więcej, Mario,, poza pewnymi informacjami.

Błysk chciwości w oczach kelnera ustąpił szybko wyrazowi czujności.

– Skąd pan zna moje imię? •

– Mam swoje sposoby – zapewniłem go tajemniczo. Prawdę powiedziawszy sam nie miałem pojęcia, czy jego imię dotarło do mnie drogą pozazmysłową, czy też było to po prostu jedyne włoskie imię, jakie mi w tej chwili przyszło do głowy.

– Psychopata – powiedział. – Pan jest po prostu psychopata. Złapałem go za kłapy i uniosłem.

– Posłuchaj, Mario, jeszcze jedno niegrzeczne słowo i...

– Pan mnie źle zrozumiał, signor – bełkotał Mario i z ulgą stwierdziłem, że mam do czynienia z jeszcze większym tchórzem, niż sam jestem. – Miałem na myśli tych, co to wszystko wiedzą, zanim im się coś powie.

– Taki facet nazywa się telepata. – Puściłem jego kłapy. – Spróbuj to 'zapamiętać.

– Oczywiście, signor. – Cofnął się, żeby między nami przepuścić innego kelnera z butelką wina.

– No, niech pan mówi, jaką informację chce pan kupić, to ja panu podam cenę. Mam ceny bardzo przystępne.

– Ale ja ci już zapłaciłem.

– No capisco – powiedział Mario lodowatym tonem i zaczął się oddalać.

– Wracaj – poleciłem. Szedł w dalszym ciągu. Wyciągnąłem zwitek banknotów, a on przejawiając szósty zmysł, który wzbudził moją zawodową zazdrość, dokonał natychmiastowego zwrotu i znów znaleźliśmy się twarzą w twarz. Wyglądało to tak, jakby go do mnie przyciągnął potężny magnes, a ja zrozumiałem, że mam przed sobą człowieka, który by sprzedał własną babkę. Bo i rzeczywiście – już z poprzedniej fazy rozmowy wynikało, że mógł prehandlować staruszkę, ze wszystkimi jej wielce szanownymi przyległościami, i w ogóle. Odnotowując w pamięci, że mam być ostrożny w kontaktach z Marłem, zapytałem go, czy sobie przypadkiem nie przypomina niejakiego Tr.evora J. Colvina, który w kwietniu zatrzymał się w tym hotelu.

– Owszem, pamiętam go – skinął głową, ale widziałem, że jest zaskoczony i z lekka zawiedziony, co znaczyło, że nie ma pojęcia, o co może chodzić. Postanowiłem na razie nic nie wyjaśniać.

– A dlaczego zapamiętałeś właśnie pana Colvina? Czy może miałeś z nim... hmm... jakieś interesy?

– Nic, on też nie chciał kobiety. Ja go tylko skontaktowałem?, Głupim Julio z Paesinoperduto, mojej rodzinnej wioski.

– A po co?

Mario wzruszył ramionami.

– Signor Colvin handluje dziełami sztuki. A Głupi Julio, który nie śmierdzi groszem, przyszedł do mnie z jakąś idiotyczną historią na temat starego malowidła, które podobno znalazł na terenie swojego gospodarstwa. Chciał je pokazać jakiemuś handlarzowi sztuki, najchętniej obcokrajowcowi. Wiedziałem, że to strata czasu, ale jestem człowiekiem interesu i jeśli Głupi Julio był gotów zapłacić za moje usługi...

Zastanawiając się, ile Mario wie, spytałem:

– Czy może służyłeś im za tłumacza?

– Nie. Julio zna angielski. Tyle że nie za dobrze, jest na to za głupi.

– Nie wierzyłeś, że może mieć obraz, który byłby coś wart?

– Głupi Julio? – Mario zachichotał przysłaniając usta ręką. – Jego ziemia to kawałek nagiej skały, a jedyne zbiory to puste butelki po pepsi-coli.

– Rozumiem. A możesz mnie do niego zaprowadzić? Mario z miejsca przestał chichotać, cała jego pazerność ożyła na nowo.

– A dlaczego pan się chce zobaczyć z Głupim Julio?

– Nasza umowa przewiduje – przypomniałem mu – że to ty odpowiadasz na moje pytania. Możesz mnie do niego zaprowadzić? Mario wyciągnął rękę.

– Stp dolarów – powiedział stanowczo.

Dotknąłem jego dłoni starając się w sposób telepatyczny wyciągnąć w ten sposób tyle informacji, żeby sobie poradzić samemu. Ale mignęły mi jedynie szare anonimowe wzgórza pokryte głazami. Dane, jakimi dysponowałem, były wystarczające, żebym odnalazł Julia za pomocą miejscowej służby informacyjnej, wymagałoby to jednak czasu i pieniędzy.

– Tu masz pięćdziesiąt na zadatek – powiedziałem do Maria kładąc mu na dłoni pięć banknotów. – Kiedy możemy tam jechać?

– Jutro rano pożyczę od matki samochód i sam pana zawiozę do Paesinoperduto. Zgoda?

– To mi odpowiada.

Mario zakasłał znacząco.

– Będzie niewielka opłata ekstra za użycie samochodu. Moja matka jest wdową, sam pan rozumie, i wypożyczanie samochodu, który został po ojcu, to jej jedyna możliwość zarobienia paru groszy.

– W porządku. – Zastanawiając się, czy nie byłem zbyt surowy w ocenie charakteru Maria, Umówiłem się z nim nazajutrz rano przed hotelem. Wróciłem do stolika i zdałem Carole żywą relację z postępów sprawy. Była na tyle zadowolona, że zgodziła się przejść ze mną na „ty”, wszelkie jednak moje nadzieje na dalszy rozwój naszych stosunków rozwiązała orzekając, że mamy iść spać wcześniej i oddzielnie, abyśmy rano wstali wypoczęci.

Mój pokój był zimny i spałem źle, nękany złowrogimi snami o ciemnej pieczarze i dziwnej przypominającej koło machinie.

Rano czekaliśmy przed hotelem z dziesięć minut, zanim zjawił się Mario zabłoconym fiatem. Byłem po raz pierwszy we Włoszech i przekonany, że we wszystkich krajach śródziemnomorskich jest ciepło nawet w zimie, wziąłem ze sobą tylko lekki prochowiec. Dygotałem więc na rześkim wietrze, podczas gdy zaróżowiona Carole wyglądała stosownie w swoim kostiumie tweedowym i

futrze. Kiedy ją Mario zobaczył, białka jego oczu zamigotały jak cyferki w okienku kasy rejestracyjnej.

– Trzy tysiące – szepnął do mnie, kiedy wsiadała do samochodu. – To tutaj najwyższa stawka.

Wepchnąłem go na siedzenie kierowcy i przysunąłem usta do jego ucha:

– Zamknij się, łajzo. My, Amerykanie, nie handlujemy naszymi kobietami, a poza tym ona nie należy do mnie.

Mario raz jeszcze spojrzął na Carole, a potem popatrzył na mnie ze zdziwieniem i pogardą.

– Pan jest wielkim głupcem, signor. Taka kobieta jak ta aż woła o miłość.

– To ty będziesz zaraz wołał o ratunek, jak się natychmiast nie zamkniesz i nie ruszysz. – Zatrzasnąłem drzwi po jego stronie, ale opuścił okno i wyciągnął rękę.

– Dwieście kilometrów po dwadzieścia pięć centów za kilometr to razem pięćdziesiąt dolarów. Płatne z góry.

Byłem w przymusowej sytuacji, więc chociaż gotowałem się z wściekłości, dałem mu pieniądze i usiadłem obok Carole. Kiedy samochód ruszył z głośnym zgrzytem biegów, otuliła się futrem i spojrzała na mnie chłodno.

– Jesteś bardzo szczodry z moich pieniędzy – powiedziała. – Za pięćdziesiąt dolarów można by kupić całego tego grata.

– Ciekawe. – Skuliłem się w przeciwległym kącie, zdrętwiały z zimna, i zadumałem nad niesprawiedliwością losu. Mario był typem rodem z filmu kryminalnego, ale miałem niejasne uczucie, że się nie myli co do Carole. Być może właśnie zgodnie z duchem tych filmów siedziała, zimna na zewnątrz, ale rozpalona w środku – ludzkie przeciwieństwo Alaski\* – i czekała tylko, kiedy się na nią rzucę z łyżką, żeby ją pożreć. Być może wbrew pozorom należała właśnie do dziewczyn, które lubią, żeby nad nimi panować i je gwałcić. Pozwoliłem sobie na przeciągłe spojrzenie w stronę jej smukłych toczonych nóg czekając na reakcję.

– Podziwiał piękne widoki, chłopcze – warknęła.

– Właśnie to robię – odparłem słabo. Ramiona Maria drgnęły nieznacznie, po czym poznałem, że chichocze. Zacząłem wyglądać przez okno, ale nie miałem wielkiej pociechy z widoków, ponieważ przejechaliśmy tylko dwie przecznice, skręciliśmy za róg i zatrzymaliśmy się w mrocznym obskurnym garażu.

– Mała przerwa, zaraz wracam – rzucił Mario. Wyskoczył z samochodu, zniknął pod nim i po chwili usłyszeliśmy spod podłogi jękliwy świst, przypominający borowanie w zębie. Znosiłem to do czasu, po czym wysiadłem i zajrzałem pod samochód. Mario odłączył linkę prędkościomierza i zaczął odkręcać licznik wiertarką elektryczną.

– Mario! – wrzasnąłem – co ty najlepszego wyprawiasz?

– Pokrywam moje koszty, signor.

– Co to znów ma znaczyć?

– Przysiągłem matce na honor, że dzisiaj zrobimy tylko dwadzieścia kilometrów, ale zauważyłem, że sprawdziła stan licznika. – Mario mówił teraz tonem człowieka pokrzywdzonego. – Ta stara ropucha nie wierzy nawet własnemu synowi! Jak się to panu po-

\* Alaski – rodzaj deseru, lody oblewane gorącą czekoladą.

doba? **Za** każdym razem, kiedy biorę od niej samochód, muszę cofać licznik, boby mnie oskubała dokumentnie.

Wydałem zduszony okrzyk furii, złapałem Maria za kostki i wyciągnąłem spod samochodu.

– To jest twoja ostatnia szansa – powiedziałem drżącym głosem. – Albo nas zaraz zawieziesz

do Paesino-jak-mu-tam, albo nasza umowa jest nieważna.

– Okay, nie ma się co denerwować. – Mario, spłoszony, rozejrzył się niepewnie po garażu. – A przy okazji, jak już jesteśmy u mnie, to może pan przypadkiem potrzebuje trawkę? Marihuana, haszysz, kokaina czysta, kokaina z morfiną. Niech pan tylko powie co i wszystko jest do dyspozycji.

– A masz może telefon? Bobym chętnie zadzwonił na policję. Skutek był natychmiastowy. Wepchnął mnie do samochodu i odjechaliśmy nie wyjmując nawet wiertarki z licznika. Łomotnęła kilka razy o podwozie, zanim ją zgubiliśmy. Carole spojrzała na mnie zaskoczona, ale potrząsnąłem głową dając jej do zrozumienia, żeby nie zadawała żadnych pytań. Jedno wiedziałem na pewno: jeżeli Mario zacznie się choćby w najmniejszym stopniu domyślać, jaki interes wiedzie nas do Głupiego Julia, rzuci się na nas jak głodny rekin wpuszczony luzem do basenu.

Pierwszy odcinek drogi na zachód od stoków Alp Graickich trudno byłoby nazwać przyjemnym. Okazało się, że w samochodzie nie ma ogrzewania i z powodów im tylko znanych moje sutki zareagowały na zimno nieznośnym bólem. Zrobiły się tak twarde, że za każdym razem, kiedy podskakiwaliśmy na wybojach, mało mi nie przedziurawiły koszuli, Carole siedziała odległa, spowita w swoje piórka jak wyniosły ptak. Nawet Mario nie miał nic do powiedzenia, żadnej występnej propozycji. Prowadził samochód w pełnej koncentracji zadumie, dokonując od czasu do czasu gwałtownych skrętów, żeby przejechać wałęsającego się psa. Kiedy po dwóch godzinach dobiliśmy do Paesinoperduto, w dwie godziny od startu, czułem się jak starzec.

– No, to jesteśmy na miejscu – oznajmił Mario, który nagle odzyskał **głos**. – Mam **dobry** pomysł.

– Mianowicie? – spytałem podejrzliwie.

– Gospodarstwo Głupiego Julia znajduje się o jakieś dwa kilometry na północ stąd, ale droga jest tam bardzo kiepska. Pan i si-gnora możecie tutaj zostać i napić się kawy, a ja pojedę po Julia i go tu przywiozę.

Potrząsnąłem głową.

– Nic z tych rzeczy, Mario. To ty zostaniesz tutaj i poczekasz, a panna Colvin i ja sami tam pojedziemy.

– To niemożliwe, signor. Pan nie jest objęty ubezpieczeniem samochodu jako kierowca.

– Ten samochód sam nie jest objęty żadnym ubezpieczeniem – skontrolowałem.

– A zresztą pan nie zna drogi.

– Z tej odległości bez trudu trafię na zasadach telepatycznych.

– Czy pan sobie wyobraża, że pozwolę komuś obcemu odjechać samochodem mojej matki?

– Zobaczymy. – Rozejrzałem się po pustym rynku, na którym się zatrzymaliśmy. – Założę się, że znajdę w ten sposób również miejscowy komisariat.

– Niech pan uważa na hamulce – powiedział Mario zrezygnowany, wysiadając i przytrzymując mi drzwi, kiedy siadałem za kierownicą. – Ściągają na lewo.

– Dzięki. – Zwolniłem sprzęgło i skierowałem samochód w stronę jedyne go północnego wyjazdu z rynku.

– Niezłe przedstawienie – powiedziała Carole, kiedy zostawiliśmy za sobą skupisko ruder. – Czy musiałeś być taki brutalny w stosunku do tego biednego chłopaka?

– Jeżeli ten biedny chłopak nie należy do mafii – zapewniłem ją – to tylko dlatego, że go z niej haniebnie wylali.

Jechaliśmy, coraz gorszą drogą, prowadzącą do oblanych słońcem, usianych głazami wzgórz, które mignęły mi w mojej telepatycznej wizji poprzedniego dnia wieczorem. W pewnym miejscu – jak gdyby wiodąc do wspaniałej niegdyś posiadłości – droga mijala resztki czegoś, co przed

wiekami mogło być masywnym kamiennym murem. Z lekka zdziwiony, że jakiś średniowieczny możnowładca chciał wyrzucać pieniądze, żeby osiedlić się w tak nieciekawej okolicy, zbliżałem się ze wzrastającym uczuciem niepokoju. Wyraźnie wyczuwałem bogato odzianych jeźdźców przyjeżdżających i odjeżdżających. Kiedy zobaczyłem, że droga rozgałęzia się odchodząc

w prawo do odosobnionej wiejskiej chaty przytulonej do zbocza góry, natychmiast się zorientowałem, że jesteśmy na miejscu. Samochód podskakiwał gwałtownie na wybojach kamienistej drogi, ale byłem zbyt podniecony, żeby się przejmować moimi nieszczęsnymi sutkami, które szorowały boleśnie o koszulę.

– Czy to tu? – W głosie Carole brzmiało powątpiewanie. – Nic wygląda mi to na miejsce, gdzie można by znaleźć autentycznego da Vinci.

– Mnie też nie, ale możesz mi wierzyć, że jakieś kilkaset lat temu działy się tu wielkie rzeczy. – Zatrzymałem samochód, który mało nie rozleciał się na kawałki. – Da Vinci znaczną część życia spędził w Mediolanie i mógł łatwo zjawiać się tu osobiście, kiedy tylko chciał.

– W tej ruderze? – powiedziała Carole z pogardą patrząc na chatę.

– Ta jest nie dość stara. Nie, tutaj w okolicy muszą być jakieś groty i Julio prawdopodobnie w jednej z nich znalazł ten twój obraz. – Moje serce zabiło żywiej, bo znów mignęła mi drewniana machina. Tym razem zauważyłem coś więcej: całą serię malowideł ułożonych w koło. – Czuję, że tam mogło być znacznie więcej obrazów.

Carole dotknęła mojego ramienia dłonią w rękawiczce.

– Uważasz, że tu jest jakiś podziemny magazyn?

– Nie sądzę, żeby był... – urwałem, bo z chaty wyszedł niemłody mężczyzna i zaczął się do nas zbliżać. Był ubrany w drogi na oko garnitur z szarego tenisu, ale cały efekt psuła wystrzępiona koszula bez kołnierzyka i brudne tenisówki. Dubeltówka an jego ramieniu potwierdziła moją opinię, że odznacza się kiepskim gustem, jeśli chodzi o dodatki.

**Opuściłem okno i emanując przyjazne uczucia wykrzyknąłem:**

– Cześć, Julio! Jak się masz! Co słychać?

– Czego chcesz? – zapytał. – Wynoś się.

– Chciałbym z tobą porozmawiać. Julio uniósł dubeltówkę.

– Ja nie chcę z tobą rozmawiać.

– Tylko kilka minut, Julio.

– Pan posłucha, dla mnie strzelić to tyle co splunąć. – Popa-

trzył na mnie groźnie przez okienko. – Jeśli chodzi o ciebie, to nawet łatwiej.

Urażony, postanowiłem zacząć bardziej stanowczo.

– Chodzi mi o Monę Lisę, którą sprzedałeś signorowi Colvinowi, Julio. Interesuje mnie, skąd ją wziąłeś, i radzę ci dobrze, żebyś mi powiedział.

– Nic nie powiem.

– No, Julio – wysiadłem z samochodu i stanąłem nad nim – gdzie jest ta grota? Juliowi opadła szczęka.

– A skąd pan wie o grocie?

– Mam swoje sposoby. – Specjalnie mówiłem z głuchym pogłosem wiedząc o tym, że wieśniacy odczuwają lęk przed ludźmi obdarzonymi szóstym zmysłem.

Julio spojrzał na mnie spłoszony.

– Rozumiem – powiedział ściszym głosem. – Pan jest psychopata.

– Telepata – warknąłem. – Spróbuj to zapamiętać, dobrze? No, gdzie jest grota?

– Będzie dla mnie z tego kłopot?

– Nie będzie żadnego kłopotu, jak długo będziesz grzeczny, a może nawet dostaniesz jeszcze jakieś pieniądze. Grota jest gdzieś tam, prawda? – Wiedziony potężnym impulsem ruszyłem pod górę w kierunku kępy ciemnozielonych drzew. Julio truchtał koło mnie, a Carole, która po raz pierwszy nie miała nic do powiedzenia, wysiadła z samochodu i poszła **za** nami.

– Znalazłem ją jakieś trzy, cztery lata temu, ale już długo nic nie ruszałem – powiedział Julio lekko zdyszany, próbując dotrzymać mi kroku. – Nikomu nic nie mówiłem, żeby nie było szumu, ale potem myślę tak: dlaczego mam sobie nie kupić ładnego miejskiego ubrania? Dlaczego tylko Chytry Mario ma mieć ładne miejskie ciuchy? Ale ja wziąłem tylko jeden obraz na sprzedaż, tylko jeden.

– A ile ich jest w grocie?

– Pięćdziesiąt. Może sześćdziesiąt. Parsknąłem śmiechem.

– To głupio, że wybrałeś właśnie tak znany obraz jak Mona Lisa.

Julio zatrzymał się.

– Ale, signor – powiedział rozkładając ręce. – Każda jedna jest Mona Lisa. Tym razem ja się zatrzymałem.

– Co takiego?

– Każdy jeden obraz to Mona Lisa.

– Chcesz powiedzieć, że jest tam pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt płócien i wszystkie są jednakowe? Julio niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– One nie są jednakowe.

– To się kupy nie trzyma. – Spojrzałem na Carole i stwierdziłem, że jest tak samo zdezorientowana. – Chodź, musimy to zobaczyć na własne oczy.

Tymczasem zdążyliśmy już wejść między drzewa. Julio położył dubeltówkę, wyprzedził nas i usunął z drogi jakieś kawałki pogiętego, zardzewiałego żelastwa. Pod nami ukazał się nieregularny otwór i kamienne schody, które wiodły w ciemność. Julio zszedł pierwszy, zwinnie, w swoich tenisówkach, a za nim Carole i ja, dość niepewnie. Poczułem, jak dziewczyna wkłada rękę w moją dłoń, więc uściśnąłem ją dla dodania jej otuchy, kiedy osiągnęliśmy najniższy stopień i zaczęliśmy się posuwać czymś w rodzaju podziemnego korytarza. Światło padające od wejścia nagle zgasło.

Dotknąłem ramienia Julia.

– Nic nie widać. Masz latarkę?

– Latarka na nic. Kupiłem taką jedną za pieniądze od signora Colvina, ale oszukańcy nie powiedzieli mi, że trzeba kupować ciągle baterie. To jest lepsze. – Zapalił zapałkę i zaśwycił latarnię sztormową, która stała na kamiennej podłodze. Kiedy naftowy płomień strzelił w górę, zobaczyłem, że korytarz kończy się masywnymi drewnianymi drzwiami. Julio pomajstrował chwilę przy zamku i pchnął drzwi. Mimo ciężaru i starości otworzyły się łatwo, w niesamowitej ciszy; za drzwiami ziała przepastna ciemność. Carole przysunęła się do mnie bliżej. Objąłem ją ramieniem, ale byłem zbyt zaabsorbowany tym, co się działo, żeby mieć z tego jakąś przyjemność – tajemnicze pomieszczenie, w którego progu staliśmy, miało dostarczyć odpowiedzi na wszystkie nurtujące mnie pytania. Czuję, jak ocierają się o mnie nieznanne postacie sprzed pięciuset lat, słyszałem niemal samego mistrza, jak w tajemnicy krąży wokół

swego dzieła, niemal widziałem dziwną machinę. Największy geniusz wszystkich czasów wycisnął na tym miejscu swoje piętno, a jego niewidzialna obecność tak była przytłaczająca, że zwykli śmiertelnicy czuli się pełnymi pokory intruzami.

– Na co czekacie? – warknął Julio wchodząc do groty z wysoko uniesioną latarnią.

Wszedłem za nim i w migotliwym świetle dostrzegłem zarysy jak gdyby leżącego koła. Było ono duże, średnicy mniej więcej dwudziestu kroków, umieszczone na wysokości człowieka. Poprzez



szprychy widać było niewyraźnie system trybów, z długą korbą, która znajdowała się akurat koło nas. Całe urządzenie przypominało starego typu karuzelę z wesołego miasteczka, z tą różnicą, że drewniane konie zastąpiono tu malowidłami, kiepsko zresztą widocznymi z powodu przesłaniających je ram. Wszystkie obrazy były przymocowane do wewnętrznej strony obręczy i skierowane frontem do środka. W samym środku okręgu maszyny dostrzegłem coś w rodzaju kunsztownie zdobionej budki strażnika, w której tylnej ścianie, na poziomie oczu, widniały dwa małe otwory.

Dziwna myśl zaczęła kiełkować w mojej głowie, gdy tak sterczałem gapiąc się na koło. Urządzenie rzeczywiście przypominało karuzelę, ale bardziej jeszcze wiktoriańską maszynę do ożywiania rysunków. To odkrycie eksplodowało w moim umyśle jak granat.

Leonardo da Vinci, jeden z najpłodniejszych umysłów w historii ludzkości, twórca wynalazków, które znacznie wyprzedzały swoje czasy, wynalazł również kino!

Ta machina, od wieluset lat ukryta w grocie na skrawku ziemi biednego chłopca, musi być z pewnością największym skarbem, jaki dała współczesnym przeszłość. Przy niej grób Tutenchamona wydawał się drobnostką, a marmury katedry w Elgin czymś bez znaczenia, sam bowiem mechanizm stanowił jedynie część niewiarygodnego znaleziska. Tam gdzie ktoś pomniejszy eksperymentując z ożywianiem obrazów posłużyłby się zwykłymi rysunkami sylwetek, wspaniałe wizjonerstwo i ambicje Leonarda kazały mu zmierzać do doskonałości i użyć najwspanialszego z własnych dzieł.

O ile moje domniemania były słuszne, słynna Mona Lisa stanowiła zaledwie jedno ujęcie w pierwszym filmie na świecie!

Z zapartym tchem wszedłem do budki i spojrzałem przez otwory. Nie myliłem się. Soczewki w drewnianej obudowie skierowały mój

wzrok na jeszcze jeden portret pięknej damy z Florencji. W niepewnym świetle wyglądała zaskakująco realnie, ale na tym obrazie trzymała ręce znacznie wyżej, jak gdyby je unosiła do szyi. Słynny uśmiech też wydawał się wyraźniejszy. Musiałem się cofnąć, żeby oswoić się jakoś z tym, co zobaczyłem. Tymczasem Julio powiesił latarnię na wystającym ze ściany haku. Miotał się zapalając inne latarnie, a następnie złapał za długą korbę, żeby nią zakręcić.

– Czy ten mechanizm działa? – spytałem. Skinął głową.

– Smaruję go, więc działa. – Zakręcił żelazną korbą i koło zaczęło się obracać. Początkowo poruszało się bardzo wolno, ale później nabrało szybkości, chodząc gładko i cicho, co wskazywało na idealne wyważenie. Julio machnął wolną ręką zapraszając, żebym popatrzył przez przyrząd optyczny. Uśmiechał się z zadowoleniem płynącym z poczucia własności.

Przełknąłem z trudem i wszedłem do ozdobnej -budki. Moje zdumienie wzrastało z minuty na minutę, ledwie mogłem nad sobą zapanować. Prócz tego wszystkiego, co już mi się objawiło, miałem jeszcze dostąpić oglądania ożywionego w magiczny sposób wspaniałego arcydzieła, obcować z myślą mistrza w sposób, o jakim nie mógłby marzyć, zobaczyć najwyższą sztukę wyrażoną w ruchu. A może nawet osiąść tajemnicę uśmiechu Giocondy.

Z nabożną czcią przyłożyłem oczy do otworów i stwierdziłem, że w cudowny sposób Mona Lisa zaczyna się poruszać, że ożywa.

Uniosła ręce do dekolту sukni i obciągnęła go odsłaniając krągłą lewą pierś. Poruszyła ramieniem i pierś zatoczyła klasyczny łuk. Czegoś podobnego nie widziałem od czasu, kiedy byłem świadkiem, jak Bajeczna Fifi Lafleur z burleski Schwartza kręciła cyckami. Następnie Mona Lisa podciągnęła dekolt do poprzedniej skromnej pozycji i z przesadną wstydlivością skrzyżowała przed sobą ręce uśmiechając się delikatnie.

– O Boże – szepnąłem. – Boże, Boże, Boże!

Julio kręcił maszyną, a ja patrzyłem bez przerwy nie mogąc oczu oderwać. Było to cudowne

naśladownictwo rzeczywistości z jednym tylko zakłóceniem płynności ruchu – nieznacznym szarpnięciem na samym początku, najwyraźniej w miejscu, z którego Julio wykradł malowidło.

– Pokaż mi to – Carole zaczęła mnie szarpać za rękaw. – Ja też chcę zobaczyć.

Odsunąłem się i puściłem ją do okularów. Julio skwapliwie zakręcił korbą podskakując w swoich tenisówkach jak zidiociały karzeł. Carole patrzyła w milczeniu przez pełną minutę, a następnie odwróciła się do mnie z szeroko rozwartymi oczyma.

– To chyba "niemożliwe – powiedziała słabym głosem.

– Oczywiście, że możliwe – odparłem, – Przy odrobinie wprawy niektóre dziewczyny potrafią robić cuda ze swoimi przyległo-ściami. Ja przecież sam doskonale pamiętam, jak Bajeczna Fifi Lafleur...

– Ja mówię o da Vincim – warknęła Carole. – Nie znam się na sztuce, ale nie przypuszczałabym, że on będzie parał się takimi rzeczami.

– Wszyscy artyści są tacy sami, robią to, za co im klienci płacą. – Mówiłem ze świeżo zrodzonym cynizmem. – Jest rzeczą wiadomą, że da Vinci brał pieniądze za wymyślanie rozrywek dla możnych tego świata, a niektórzy z wysoko urodzonych odznaczają się bardzo przyziemnymi upodobaniami.

– Ale tyle pracy...

– Prawdopodobnie korzystał z pomocy całej szkoły artystów. A poza tym tak wielkie przedsięwzięcie tłumaczy długie okresy nieproduktywne w karierze Leonarda. Kiedy powinien był trudzić się nad statuą Sforzy, siedział tutaj i pracował nad lewym...

– Nie bądź wulgarny – przerwała mi Carole. Odwróciła się do obracającej się w dalszym ciągu maszyny. – Jak myślisz, ile to może być warte?

– Kto wie? Powiedzmy, że w grę wchodzi sześćdziesiąt obrazów. Gdyby zostały nielegalnie wywiezione z Włoch, mogłyby przynieść milion dolarów od sztuki. Może dziesięć milionów. Może miliard, zwłaszcza ten, na którym...

– Wiedziałem, że to będzie szczęśliwy dzień – odezwał się spoza moich pleców znajomy głos.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że w drzwiach stoi Chytry Mario, trzymając dubeltówkę, którą Julio porzucił na zewnątrz, wycelowaną w mój brzuch.

– Czego chcesz? – zapytałem, a następnie uświadamiając sobie retoryczność tego pytania, dodałem: – Dlaczego we mnie celujesz?

– A dlaczego pan ukradł samochód mojej matki? – Mario wydał jeden ze swoich najmniej przyjemnych chichotów. – I dlaczego groził mi pan policją?

– Nie powinieneś przywiązywać zbytnej wagi do tego, co mówię.

– Nie mogę, signor, zwłaszcza kiedy słyszę rzeczy w rodzaju „sześćdziesiąt milionów dolarów”.

– Ale popatrz! – Ruszyłem do przodu, Mario jednak zatrzymał mnie unosząc strzelbę.

– Co?

– Głupio się zachowujemy, przecież tego łupu starczy dla wszystkich. To znaczy z sześćdziesięciu milionów możesz mieć piętnaście.

– Ja wolę całe sześćdziesiąt.

– Ale chyba za czterdzieści pięć nie zabijesz człowieka, co? – Spojrzałem w polerowane kamyki, które Mariowi zastępowały oczy, i zdrętwiałem.

– Wy troje pod ścianę – zakomenderował.

Kiedy ruszyliśmy w stronę ściany, Carole przytuliła się do mnie. Głupi Julio też usiłował się do mnie przykleić, ale go odsunąłem – została mi być może ostatnia minuta życia, miałem więc prawo

być wybredny.

– Teraz jest dużo lepiej – powiedział Mario. – Teraz sam sobie obejrzę towar.

Ruszył w kierunku maszyny, która w dalszym ciągu obracała się na dobrze nasmarowanym łożysku. Trzymając nas cały czas na muszce, wszedł do budki i popatrzył przez otwory. Widziałem, jak zeszywniał pod wpływem szoku. Co chwila spoglądając do tyłu, na nas, raz jeszcze zafascynowany popatrzył przez otwory. Kiedy wreszcie wyszedł z budki, był blady jak papier. Podeszedł do nas bezgłośnie poruszając ustami, a ja w oczekiwaniu na eksplozję bólu przytuliłem do siebie mocno Carole.

Mario jak gdyby nas nie widział. Zdjął z haka latarnię i sztywnym ruchem cisnął ją w sam środek maszyny. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a zaraz potem suchą drewnianą konstrukcją zaczęły lizać płomienie.

– Ty durniu! – wrzasnąłem. – Co robisz?

– Zaraz zobaczysz, co robię. – Trzymając mnie cały czas na muszce pozbierał pozostałe lampy i cisnął je w ślad za pierwszą.

Krawędź koła zaczęła się gwałtownie palić, a ja widziałem, jak malowidła, moje sześćdziesiąt Mona Lis, zajmują się powoli, marszczą i obracają w bezwartościowy popiół.

– Jesteś szalony! – usiłowałem przekrzyknąć trzask płomieni. – Nie zdajesz sobie sprawy, co zrobiłeś.

– Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłem, signor – odpowiedział spokojnie Mario. – Zniszczyłem pornograficzne świństwo.

– Ty?! – zaskrzeczałem jak wariat. – Najgorszy łobuz, jakiego znam. Ograbiłeś mnie z pieniędzy, jak tylko się spotkaliśmy, okradasz swoją biedną starą matkę, usiłowałeś sprzedać mi kobietę, chciałeś kupić ode mnie Carole jako handlarz żywym towarem, jesteś handlarzem narkotyków i jeszcze przed chwilą zamierzałeś nas wszystkich zamordować. Nie potrafisz się ruszyć samochodem, żeby nie przejechać kota czy psa.

– To może i prawda, signor, co pan mówi – rzekł Mario z dziwną godnością – ale to nie znaczy, że nie jestem patriotą. Ze nie kocham mojej wspaniałej Italii.

– A co ma z tym wszystkim wspólnego patriotyzm?

– Wielki Leonardo jest najwspanialszym ze wszystkich artystów świata. To chluba mojego kraju – niech pan mi powie, signor, co by sobie świat pomyślał o Italii, gdyby się dowiedział, że nieśmiertelny Leonardo tak się prostytuował? Co by powiedział o narodzie, którego najszlachetniejszy artysta marnował swoje boskie talenty na... – głos odmówił Mariowi posłuszeństwa – ...na jakieś średniowieczne filmy porno.

Potrząsnąłem głową. Mruganiem usiłowałem powstrzymać łzy, kiedy urządzenie załamało się do środka w kaskadach topazowych iskier. W miarę jak płomień pochłaniał resztki olejnych malowideł, pomieszczenie wypełniało się dymem.

Mario wskazał drzwi.

– W porządku. Możemy iść.

– A już nie zamierzasz nas zastrzelić?

– Nie potrzeba. Nawet gdybyście byli na tyle stuknięci, żeby o tym opowiadać, i tak nikt wam nie uwierzy.

– Chyba masz rację. – Spojrzałem na Mario ze zdziwieniem. – Ale powiedz mi, czy ci nie żal, że właśnie straciłeś sześćdziesiąt milionów dolarów?

Mario wzruszył ramionami.

– Raz się zyskuje, raz się traci. Nawiasem mówiąc, jeżeli chcecie wrócić do Mediolanu

samochodem mojej matki, to w związku z tymi wszystkimi kłopotami, na jakie mnie naraziliście, będziecie musieli coś niecoś dopłacić...

Carole patrzyła na mnie w zadumie, kiedy sączyliśmy po kolacji drinka.

– **Z**e dwa razy okazałeś dzisiaj wielką odwagę, zwłaszcza z tą dubeltówką wycelowaną w ciebie.

– To nic wielkiego. Z tego, co wiem, Głupi Julio nie miał w niej naboju. – Uśmiechnąłem się do Carole poprzez płomienie świec. – Bał się nawet kupić baterijki do latarki.

– Nie. Byłeś naprawdę dzielny. Podziwiałam cię. – Carole znów zamilkła.

Zachowywała się tak przez cały czas trwania posiłku, nawet i wtedy, kiedy jej uświadomiłem, że dzięki obrazowi, który ma w Los Angeles, będzie bardzo bogata. Domyślałem się, że wypadki dnia wyczerpały ją nerwowo i że to była reakcja.

– To jest chyba zupełnie niemożliwe – powiedziała cicho. Ścisnąłem ją za rękę.

– Spróbuj o tym wszystkim zapomnieć. Najważniejsze, że wyszliśmy z tej groty cali...

– Ale ja mówię o Mona Lisie – przerwała mi. – O tej sztuczce z ... hmm... z jej przyległościami.

Czy myślisz, że ja bym coś takiego potrafiła?

Łyknąłem cały koniak na raz.

– Oczywiście.

– Jesteś specjalistą w tych sprawach?

– Cóż, widziałem kilka razy Bajeczną Fifi Lafleur, a jeżeli ona mogła to zrobić, to i ty najprawdopodobniej możesz.

– To chodźmy do mojego pokoju i spróbujmy – powiedziała Carole zmysłowym szeptem.

Podniosłem do ust pusty już kieliszek i mało nie rozbiłem go o zęby.

– Żartujesz – powiedziałem niezbyt błyskotliwie.

– Tak myślisz?

Spojrzałem na Carole i coś, co dostrzegłem w jej oczach, powiedziało mi, że nie żartuje. Ponieważ jestem dżentelmenem, nie będę mówił nic o tym, jak upłynęła nam noc, powiem tylko jedno: za każdym razem, kiedy patrzę na Monę Lisę, a szczególnie na jej słynny uśmiech, nie mogę nie odpowiedzieć jej uśmiechem.

# Niekomiksowa opowieść grozy

## Obrazki 1 do 6

Ahdnah wygramolił się ze zniszczonej kapsuły ratunkowej i po raz pierwszy objął spojrzeniem świat, na którym wylądował. Ogarnęło go uczucie silnego rozczarowania. Aż po horyzont rozpościerała się tafla lodu, na której jedynym ruchomym elementem były tumany śniegu, jakie wzniewał mroźny, porywisty wiatr.

Ponieważ nie było tu życia, nie mogło być też jedzenia.

Dla istoty gorzej przystosowanej taka perspektywa oznaczałaby niechybną śmierć, ale Ahdnah należał do gatunku inteligentnego i zachłannego na życie. Zaledwie przez kilka sekund ubolewał nad tym, że już nigdy nie zobaczy matki gniazda, i zaraz potem zaczął kopać.

Powierzchnia była twarda i nie ustępowała, ale Ahdnah zmienił się, przebudował swoje ciało tak, by sprostało nowym zadaniom. Przeniósł elementy metaliczne, w dolne partie ślimaczej postaci, wykształcając ostre jak nóż płetwy, którymi zaczął żłobić czarny lód. Szybko zapadł się w wydrążoną przez siebie studnię i gdy nastąpiła noc, dosięgnął właściwej gleby planety. Tu znalazł sprasowane pod lodem szczątki jakiejś rośliny. Uspokojony – wkręcał się więc dalej w głąb aż do warstwy skalistej, gdzie pozostały jeszcze resztki ciepła.

Kiedy instynkt odpowiedział mu, że osiągnął bezpieczną głębokość, zrobił przerwę i ponownie zmienił formę i naturę swojego ciała, tym razem maksymalnie zmniejszając powierzchnię i przybierając postać zwaną przez jego towarzyszy Kulą Spoczynkową. Uporawszy się z tym zadaniem zredukował swoją przemianę materii do absolutnego minimum i pogрузił się w bezmyślną, pozbawioną

śniegu drzemce. Starty na proszek lód w studni nad nim zamarł znów na kamień i został przysypany niesionym przez wiatr śniegiem.

Przez tysiąc lat lodowiec maszerował na południe; potem klimat stał się łagodniejszy i tafle lodu zaczęły się kurczyć. Rezygnowały ze swojej bezpłodnej obecności powoli, niechętnie i zanim cały obszar równiny, pod którą spoczywał Ahdnah, został odsłonięty, minęło jeszcze trzy tysiące lat. W miarę jak wzrastała temperatura, poziom morza się podnosił, a ukształtowanie lądu ulegało zmianie. Wszędzie rozprzestrzeniły się lasy, systematycznie później niszczone przez dwunogie inteligentne istoty, które przybywały z bardziej na południe położonych regionów, by tu budować swoją cywilizację.

Do tego czasu nawet najtwardsze metale kapsuły ratunkowej zostały zniszczone przez korozję, ale Ahdnah w dalszym ciągu spoczywał bezpieczny, pod ziemią, czekając w uśpieniu.

## Obrazki 7 do 17

Niemal każdej pogodnej, a w szczególności księżycowej nocy, na najwyższym piętrze najwyższego budynku Ridgeway Street można było zobaczyć otwarte okno. Ci, którzy późno przechodzili ulicą, widywali czasem bledy cień poruszający się w ciemnym prostokącie: to Willy Lucas ich podpatrywał. A wtedy na przyszczatej, pokrytej młodzieńczym puchem twarzy Willy'ego pojawiał się wyraz paniki i chłopak cofał się od okna przestraszony, że ktoś go spostrzegł.

Kobiety z przeciwka często posądzały Willy'ego, że je podgląda, i skarżyły na niego starszemu bratu, w wyniku czego Willy dostawał wały.

Ale Willy'ego nie interesowały kobiety o zaciętych ustach i bezbarwnych oczach, które znał z

Ridgeway Street, ani w ogóle żadne inne, poza tymi, które zaludniały jego wyobraźnię. Po prostu lubił patrzeć na pogrążone w ciszy miasto, kiedy inni spali. Było to tak, jak gdyby wszyscy wymarli pozostawiając go samego, i nie było nikogo, kto by na niego krzyczał czy patrzył złym okiem.

Z tego powodu właśnie w tych rzadkich chwilach, kiedy odczuwał potrzebę ruchu, szedł sobie na spacer po ciemku czując się do

brze i swobodnie na wyludnionych ulicach. Nocą, przytulone do siebie wzdłuż opadającej w dół ulicy domy wydawały się wychudłe i wypełnione atramentem, a okna, jak w komiksach, płonęły jednakowym żółtym blaskiem, który robił na Willym miłe wrażenie.

Pewnej zimnej październikowej nocy, kiedy światło księżycy kładło się na dachach szerokimi oszronionymi snopami, Willy wyglądając przez okno zobaczył, jak w miejscu, gdzie wbijano ostatnie pale pod budowę nowego domu towarowego, coś wychodzi z wody. Osobliwy stwór, wielkości człowieka, poruszał się z ociężałą powolnością, która wydawała się dziwna jak na kogoś, kto wpadł do lodowatej wody. Drżąc z podniecenia chłopak złapał starą teatralną lornetkę z masy perłowej, którą ukradł kiedyś w narożnym sklepie ze starzyzną Conneya, i wycelował ją w wąski pasek wody widoczny pomiędzy domami w miejscu, gdzie Ridgeway Street schodziła do rzeki. Ale człowiek – czy też może to było zwierzę – zdążył już zniknąć. Willy nie zobaczył nic poza pomarszczoną powierzchnią wody; a każdą zmarszczkę kreślił inny kolor z rozszczepionej wiązki światła w zdezelowanej lornetce Willy'ego. Stopniowo powierzchnia rzeki powróciła do swojego poprzedniego stanu wrażliwej gładkości, jak gdyby nic niezwykłego się nie stało.

Willy patrzył niemal do świtu przycupnięty w mroźnej ciemności swego małego poddasza; wreszcie zamknął okno i poszedł spać.

Kiedy się obudził i zszedł na lunch, ich sklep spożywczy, mieszczący się w tym samym domu od ulicy, był pełen ludzi. Siostry Willy'ego, Emily i Ada, były zbyt zajęte na to, żeby przejść na zaplecze i przygotować mu posiłek, więc zrobił sobie kanapki z rozartym bananem grubo posmarowanym marmoladą. Jadł, pogrążony w milczącej zadumie, prawie nie widząc komiksu, który przy tym kartkował, ani nie słysząc dudnienia nasypywanych na wagę kartofli.

Zastanawiał się, czy ma komukolwiek powiedzieć o dziwnym nocnym wydarzeniu. Gdyby to był drobny skandalik tego rodzaju na przykład, że pijany sąsiad wracając do domu wpadł do rzeki, to mógłby liczyć na żywe zainteresowanie obu sióstr. Ale po dokładnym rozważeniu sprawy zdecydował się nic nie mówić. Kiedyś widział, jak wielce szanowna starsza pani z sąsiedniej ulicy ukradła ze sklepu pęczek marchewki. W przypiływie rodzinnej lojalności po-

wiedział o tym Adzie, ale dostał tylko reprimendę za kłamstwo. Inne podobne przypadki nauczyły go ostrożności, gdy chodziło o przekazywanie wiadomości rodzinie.

Cały dzień snuł się po domu; wyszedł tylko raz, nad rzekę, gdzie włóczył się wśród kolczastych krzaków i wysokiej trawy, jak gdyby się spodziewał, że znajdzie ciało topielca. Nie znalazłszy jednak nic poczuł się nieswojo i wrócił do domu, gdzie starszy brat Jack zbeształ go za to, że wchodzi do mieszkania w zabłoconych butach.

## **Obrazki 18 do 26**

Tej nocy, wkrótce po dwunastej, dziwny stwór znów wyszedł z wody. Trudno było dostrzec cokolwiek – nie pomagała nawet lornetka teatralna – ale ze swojego punktu obserwacyjnego Willy odróżnił na ciemnym tle poruszającą się wolno plamę całkowitej czerni. Przez chwilę to coś trwało w bezruchu, po czym schowało się za zabudowania gospodarcze. Wysoko, na swoim maleńkim poddaszu, Willy dygotał z podniecenia.

Czekał długo wyęzając słuch, aż wreszcie doszło go słabe rytmiczne łomotanie, w którym było coś niepokojąco znajomego i które po kilku sekundach ucichło. Wkrótce potem czarny kształt, i tym razem poruszający się z męczącą powolnością, zjawił się ponownie i wśliznął do wody.

Kiedy znikł, Willy rozmyślał czas jakiś nad tym, co zobaczył i usłyszał, a następnie położył się w dalszym ciągu nie mogąc skojarzyć z niczym znajomego dźwięku. Zapadł w głęboki sen.

Nazajutrz rano zwykła biegająca na Ridgeway Street została spotęgowana przez fakt zniknięcia Desa Martina. Martin był taksówkarzem, człowiekiem spokojnym i pracowitym, nie z tych, co to porzucają rodziny. Kiedy wiadomość dotarła do Willy'ego, chłopak uprzytomnił sobie, że Martin wracał zwykle do domu właśnie nad rzeką. Uświadomił sobie, także poniewczasie, że hałas, który słyszał, to łomot zamykanych przez Martina naderwanych drzwi jego wynajmowanego garażu. Pamiętając, ile razy wyrzucano go z taksówki, kiedy sobie tam zasiadał w czasie posiłku Martina, Willy zachował milczenie. I tak nikt by nie zwrócił uwagi na to, co mówi, chociaż

Willy – obdarzony silniejszą intuicją, jak wszyscy ludzie nietuzinkowi – wiedział, że Des Martin musiał spotkać wodnego stwora.

Główne lektury Willy'ego od czasów udręk szkolnej ławy stanowiły opowieści grozy w komiksach. I naprawdę, często marzył, żeby żyć w świecie obrazków, gdzie każdy jego problem mógłby być rozwiązany przez jedno pociągnięcie pędzla artysty, gdzie wszystko jest jednowymiarowe, proste i barwne, i gdzie wszelkie źródła zagrożenia są jasno określone i zrozumiałe. Zawsze żywił wewnętrzne przekonanie, że w świecie nocy kryje się wiele potworów, i wobec tego nie był ani zaskoczony, ani przerażony swoim odkryciem, że w zanieczyszczonych wodach rzeki żyje jakaś obca niebezpieczna istota.

Było jednakże coś, co go w tym wszystkim niepokoiło: jak mianowicie – rozmyślał – tak wolno poruszające się stworzenie mogło się zbliżyć do człowieka tak żywego jak Des Martin na tyle, by z nim zrobić to... co zrobiło? Prawda, że nad rzeką panuje mrok, ale trudno sobie wyobrazić, żeby Des podszedł do krwiożerczej bestii bezwolnie jak jagnię prowadzone na rzeź, i dał się pożreć. W dzikim, ale skromnym rezerwacie swojej wyobraźni Willy nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. Spędził więc wiele godzin na rozpatrywaniu przeróżnych wariantów śmierci Desa Martina chichocząc od czasu do czasu, kiedy stanęła mu przed oczyma jakaś szczególnie spektakularna wizja.

## **Obrazki 27 do 38**

Minęły dwa dni i wszystko zaczęło wracać do normy, kiedy – późną nocą – Willy znów zobaczył czarny kształt. Jak poprzednio, wyłonił się on z wody ruchem ślimaka, na chwilę jak gdyby zastygł, a następnie zniknął mu z oczu.

Godzinę, potem dwie, wytykał zegar w chłodnej ciszy poddasza i Willy stracił nadzieję, że ktoś nadejdzie. Nagle, na sąsiedniej ulicy usłyszał ostry rozlegający się echem wśród nocy stukot wysokich obcasów. W skupieniu zmarszczył czoło i po chwili jego odrętwiały umysł, który rejestrował obyczaje wszystkich osób z sąsiedztwa, podsunął mu odpowiedź.

Właścicielką hałaśliwych obcasów musi być Jane Dubois, która pracuje w barze kawowym na głównej ulicy. Była tam tylko kelnerką, co nie przeszkadzało, że regularnie dawała Willy'emu kosza, nawet wtedy, kiedy miał pieniądze. Stukot obcasów najpierw się nasilał, a następnie zaczął słabnąć, kiedy Jane schodziła w dół ku rzece.

Nagle kroki ucichły.

Willy pilnie nastawił uszu, ale nie usłyszał odgłosu zamykania drzwi wejściowych. Wiedział, że stwór rzeczny żeruje.

Przez jakiś czas jeszcze prowadził swoją obserwację, aż do momentu, kiedy plama pełzającej czerni powróciła do wody. Zamknął wtedy okno i poszedł spać uśmiechając się w ciemności – najmniejsze poczucie winy, że jakoś w tym wszystkim uczestniczy, nie psuło smaku zemsty. Jedyne, co mąciło jego zadowolenie, to dręcząca ciekawość, jak też potwór dopada swojej ofiary. Jane Dubois była młoda i zwinna, a mimo to zginęła natychmiast, jak się wydawało, na jasno oświetlonej ulicy. Czy to możliwe, by stwór stawał się niewidzialny?

Willy obracał ten problem w mrocznych zakamarkach swego umysłu, aż wreszcie zapadł w sen.

## **Obrazki 39 do 56**

Drugi wypadek zniknięcia wywołał większe poruszenie niż pierwszy i ludzie przestali wychodzić późno z domu. Willy nie tęsknił za nimi specjalnie, ale gdyby nawet, to zawsze miał jeszcze policyjne wozy patrolowe, które od czasu do czasu przejeżdżały koło domu dostarczając mu okazji do obserwacji. Byłby zupełnie szczęśliwy, gdyby na ulicach nie było w ogóle ludzi, nigdy.

Trzeciej nocy po zniknięciu Jane przyjaciel Willy'ego – bo w ten sposób nazywał teraz w myślach rzeczną istotę – wyraźnie zgłodniał. Wyszedł z wody, jak zwykle koło północy, i zniknął Willy'emu z oczu. Na ulicach panowała grobowa cisza i Willy wyczuł od razu, że nie ma co tam szukać. Zaczął w nim wzbierać dziwny niepokój. Stwór powrócił do wody przed samym świtem i wylazł wcześniej następnej nocy – znów ku swemu rozczarowaniu. Willy zaczął się denerwować.

Kiedy Willy był roztargniony, zachowywał się dosłownie jak debil. Kiedyś kręcąc się po sklepie przewrócił kosz pomidorów, innym znów razem upuścił na kamienną posadzkę skrzynkę pustych butelek po coca-coli. Jack przyszedł z pracy właśnie w momencie, kiedy Willy zmiatał potłuczone szkło, i darł się na niego przez pełne pięć minut. Willy patrzył na rozzłoszczoną, umazaną smarem twarz brata i odzianą w drelichy krępą postać. Nie powiedział nic, ale pomyślał sobie, że byłoby dobrze, gdyby tak Jack poszedł późną nocą na spacer nad rzekę. Zaczął się nawet zastanawiać, co tu zrobić, żeby się wybrał we właściwym czasie i kierunku.

Tej nocy stwór ukazał się wcześniej niż kiedykolwiek poprzednio i było jasne, że musi być już bardzo głodny. Willy patrzył i czekał całą noc, ale nikt się nie zjawił i w mroku przedświt zobaczył, jak wraca na swoje leże. Osobliwa rzecz – Willy czuł złość, rozczarowanie i głód, jakby potwór był częścią jego samego. Wychylił się przez okno wyteżając wzrok i żałując, że nie może pomóc swojemu przyjacielowi. Nagle zamarł.

Czarny kształt zatrzymał się na brzegu rzeki i chociaż Willy widział w ciemności jedynie plamę, wiedział, że tamten go zobaczył. W dziwny sposób, nieznany człowiekowi, stwór stał się świadom obecności Willy'ego, do którego zaczęło docierać, że tamten w żadnym razie nie jest jego przyjacielem.

Stwór zaczął pełznąć w górę Ridgeway Street.

Willy przerażony cofnął się od okna. Sądził, że jest bezpieczny znajdując się tak wysoko, ale nie miał pojęcia, jakimi właściwościami jest obdarzona dziwna istota. A może potrafi się wspinać po pionowym murze? Przed oczyma Willy'ego pojawiła się wizja czarnego potwora, który z rozdziawioną ohydłą paszczą wpada do niego przez okno. Albo, jak niektóre potwory z komiksów, może za sprawą kontaktu telepatycznego kazać mu zejść na dół i wyjść na ulicę.

Nagle przed domem wybuchł hałas i zabłysło światło. Willy jęknął ze strachu, po czym zorientował się, że to przejechał wóz policyjny. Wrócił do okna i wyjrzał. Wóz skręcił w jedną z mniejszych uliczek odchodzących od Ridgeway Street w stronę rzeki i tylko kilka zmarszczek na wodzie, które odbiły pierwszy blask świtu, świadczyło o tym, że tu kiedykolwiek coś było.



## **Obrazki 57 do 63**

Nawet w pełnym świetle dnia przerażenie nie opuściło Willy'ego. Ten krótki moment duchowego kontaktu z nieziemskim potworem odcisnął głębokie piętno w świadomości chłopca i całkowicie zmienił jego pogląd na sprawę. Musi komuś o tym wszystkim powiedzieć.

Tu jednak zaczynały się problemy.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył stwora – przed tajemniczym zniknięciem dwóch pierwszych osób – uznał, że i tak nikt mu nie uwierzy. To, co miał do opowiedzenia teraz, było tak fantastyczne, że mógł się spodziewać jeszcze gorszych drwin albo surowszej kary.

Rozważał właśnie przy śniadaniu całą sytuację, kiedy wkroczyły do kuchni Ada i Emily z poleceniem od Jacka, że ma przez cały dzień malować ściany składziku na tyłach sklepu. Willy wylazł z domu, położył się w pełnej kurzu szopie, gdzie przechowywano worki z kartoflami, i gorączkowo myślał, co by tu zrobić. Wreszcie zdecydował, że napisze do policji anonimowy list – w ten sposób informacja będzie bardziej wiarygodna, a on uniknie kłopotów.

Przemknął po schodach do swojego pokoju, gdzie udało mu się znaleźć jakieś w miarę czyste kartki papieru. Pisanie listu zajęło mu kilka godzin. Zrelacjonował w nim wypadki ubiegłych dni tak jasno i prosto, jak tylko potrafił, pokrywając cztery strony swoimi nieporadnymi bazgrołami. Po długim namyśle podpisał się „Życzliwy”.

Było już późne popołudnie, kiedy list został zaklejony, i wtedy Willy przypomniał sobie, że potrzebny mu jest znaczek. Kręcił się po sklepie, czekając, aż ustanie ruch, a Emily i Ada pójdą do kuchni przygotować posiłek dla Jacka, który o tej porze wracał z pracy. Wziął sobie znaczek z szuflady pod ladą i poszedł na górę po marynarkę. Kiedy zbiegł na dół, czekał już na niego Jack z wyrazem wściekłości na kwadratowej twarzy i oczyma zwężonymi jak szparki.

### **Sześć „dymków” z kwestiami**

– Zdejmij marynarkę – warknął Jack. – Wracaj na zaplecze. i skończ robotę, bo nie dostaniesz nic do jedzenia.

Willy gapił się na niego bezmyślnie; zupełnie zapomniał o bieleniu.

– Nie jestem głodny. Nie będę nic jadł.

– Twoja sprawa. Tak czy siak, masz pomalować ściany.

– Ale ja muszę...

– Musisz co?

– Nic – odparł Willy ponuro.

### **Obrazki 64 do 81**

Willy odwrócił się i przeszedł przez mieszkanie zdejmując po drodze marynarkę. Zaatakował zewnętrzne ściany składu z zaciekłością, która zadziwiła całą rodzinę; bryzgał wapnem po nierównej cegle długimi, łukowatymi pociągnięciami nie zważając na ubranie. W dwie godziny później robota była skończona i Willy, obolały, cały w pęcherzach, złapał marynarkę. Kiedy wychodził przez kuchnię, Jack usiłował go namówić, żeby usiadł i coś zjadł, ale Willy z puciołowatą twarzą mokrą od potu, usunął go z drogi.

Znalazłszy się na zewnątrz, na Ridgeway Street, zatrzymał się gwałtownie. Było ciemno!

Było ciemno i pusto na ulicy, a w dole, nad rzeką, mrok wydawał się nabrzmiały straszną groźbą.

Willy zastanawiał się, czy nie wrócić w bezpieczne zacisze domu. Ale w tej sytuacji list

zostanie wysłany dopiero nazajutrz; tym samym na policję dotrze pojutrze, a wtedy może być już za późno. Zaczerpnął nerwowo tchu i pobiegł w górę oddalając się od rzeki, potem zaś skręcił w prawo, w główną ulicę, i pognał ile sił w nogach usiłując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje najbliższa poczta.

Nagle w ciemności pierwszej przecznicy na prawo, równoległej do Ridgeway, zobaczył skrzynkę pocztową. Z piskiem radości wyciągnął z kieszeni zmiętą kopertę, dopadł jednym susem skrzynki i wepchnął list do otworu.

Poniewczasie jednak przypomniał sobie, że nigdy w tym miejscu nie widział skrzynki pocztowej.

- Poniewczasie uświadomił sobie, że prawdziwy potwór z komiksowej opowieści grozy może przybrać dowolną postać, zamieniając się w co chce.

A już zupełnie poniewczasie poczuł gorący oddech wydobywający się z podługowatej paszczy, która łąpczywie zamknęła się na jego nadgarstku.

# Deflacja 2001

Perspektywa zapłacenia dziesięciu dolarów za filiżankę kawy wstrząsnęła Lesterem Perrym.

Mniej więcej od miesiąca utrzymywała się cena ośmiu dolarów i Perry zaczął żywić zupełnie irracjonalną nadzieję, że na tym poziomie pozostanie. Ze smutkiem patrzył, jak z automatu leci z bulgotem do plastikowego kubka ciemny płyn. Mina Lestera stała się jeszcze bardziej ponura, kiedy uniósł kubek do ust.

– Dziesięć dolarów – powiedział. – I w dodatku zimna! Pilot Perry'ego, Boyd Dunhill, wzruszył ramionami, a następnie pomacał złoty sznur, jakby się bał, że tym niezwykłym u niego gestem pleców skaził godność munduru.

– A czegoś ty się spodziewał? – spytał obojętnie. – Władze lotniska nie zastosowały się w ubiegłym tygodniu do żądań płacowych Związku Pracowników Obsługi Automatów Kawowych, wobec tego związek polecił swoim członkom pracować ściśle według przepisów, co oczywiście podniosło koszty.

– Ale przecież cztery tygodnie temu dostali sto procent podwyżki i właśnie wtedy cena kawy skoczyła na osiem dolarów.

– Ale związek domagał się dwustu procent.

– Jakżeż, na miłość boską, lotnisko może im dać dwieście procent.

– Pracownicy Obsługi Automatów Czekoladowych dostali – skomentował Dunhill.

– Rzeczywiście dostali? – Perry w zdumieniu potrząsnął głową. – Było w telewizji?

– Od trzech miesięcy nie ma żadnej telewizji – uświadomił mu

pilot. – W dalszym ciągu trwają przetargi na temat minimalnych płac w wysokości dwóch milionów rocznie, których domagają się pracownicy techniczni.

Perry wysączył kawę i wyrzucił kubek do kosza.

– Czy moja maszyna jest gotowa? Możemy rószać?

– Jest gotowa od czterech godzin.

– No to dlaczego tu marudzimy?

– Umowa o wydajności pracy Związku Mechaników Samolotów Lekkich; statutowe minimum ośmiu godzin przeznaczonych na wszelkiego typu prace konserwacyjne.

– Osiem godzin, żeby wymienić zepsutą wycieraczkę! – Perry zaśmiał się niepewnie. – I to ma być umowa o wydajności?

– To podwoiło liczbę roboczogodzin przewidzianych na tutejsze lotnisko.

– Oczywiście, skoro wpisują osiem godzin tam, gdzie jest roboty na pół. Ale to z gruntu fałszywe... – Perry urwał widząc, jak twarz pilota staje się coraz to chłodniejsza. W porę przypomniał sobie, że właśnie obecnie toczy się dyskusja na tematy płacowe pomiędzy Stowarzyszeniem Pracodawców Lotnictwa a Związkiem Pilotów Dwusilnikowych Prywatnych Dolnopłatowców. Pracodawcy oferowali podwyżkę siedemdziesięcioprocentową, podczas gdy piloci domagali się stu pięćdziesięciu procent plus dodatkowa opłata od mili. – Czy możesz zawołać numerowego, żeby wziął mój bagaż?

Dunhill potrząsnął głową.

– Musisz sobie zanieść sam. Od piątku strajkują.

– Dlaczego?

– Za dużo pasażerów nosiło swoje bagaże.

– Och! – Perry uniósł walizkę i poszedł przez płytę lotniska do czekającego samolotu. Usiadł na

jednym z pięciu foteli przeznaczonych dla pasażerów, przypiął się pasami i sięgnął do pisma, żeby się czymś zająć w czasie lotu do Denver, ale uprzytomnił sobie, że od dwóch tygodni z górą nie ma żadnych gazet ani czasopism. Przygotowania do startu trwały niezwykle długo – co świadczyło o tym, że pracownicy kontroli ruchu są zajęci jakimiś zbiorowymi przetargami – aż wreszcie Perry zapadł w niespokojny sen.

Poderwał go odgłos wdzierającego się do kabiny powietrza, z czego wywnioskował, że drzwi maszyny musiały się podczas lotu otworzyć. Przerażony w sensie fizycznym i psychicznym, spojrzął i stwierdził, że Dunhill rzeczywiście stoi w otwartych drzwiach. Jego drogi mundur był zmaltretowany w przedziwny sposób przez sznury spadochronu.

– Co... co to ma znaczyć? – zapytał Perry. – Palimy się czy co?

– Nie. – Ton Dunhilla był oficjalny. – Strajkuję.

– Chyba żartujesz?

– Tak uważasz? Właśnie dowiedziałem się z radia, że pracodawcy nie uwzględnili głęboko uzasadnionych żądań Związku Pilotów Dwusilnikowych Prywatnych Dolnopłatowców i związkowcy wyszli z sali zerwawszy obrady. Mieliśmy poparcie kolegów z Dolnopłatowców Jednosilnikowych i z Górnopłatowców Dwusilnikowych, wszyscy nasi członkowie konsekwentnie zaczynają strajkować o północy, czyli za trzydzieści sekund licząc od tej chwili.

– Ale, Boyd, ja nie mam spadochronu! Co ze mną będzie? Na twarzy pilota pojawił się wyraz ponurej determinacji.

– A co mnie to obchodzi? Ciebie też głowa nie bolała, kiedy ledwie wiązałem koniec z końcem usiłując żyć z gołych trzech milionów rocznie.

– Byłem egoistą. Widzę to teraz, przepraszam cię bardzo. – Perry odpiął pasy i wstał. – Nie skacz, Boyd. Podwoję ci zarobki.

– To jest mniej – powiedział Dunhill ze zniecierpliwieniem -- niż się domaga nasz związek.

– Dobra, to dam ci trzy razy tyle. Trzykrotne obecne pobory, Boyd.

– Przykro mi, ale żadnych jednostkowych układów. To rozbija solidarność związku. – I rzucił się w ziejącą ciemność.

Perry patrzył za nim przez chwilę, po czym zamknął drzwi i poszedł do kabiny pilota. Samolot leciał wyrównanym kursem prowadzony przez pilota automatycznego. Perry usiadł na lewym fotelu i ujął drążek sterowniczy wracając pamięcią do czasów sprzed kilkudziesięciu lat, kiedy był pilotem bojowym w Wietnamie. Jeśli sam doprowadzi maszynę, to wplącze się w poważne kłopoty ze związkiem jako łamistrajk, ale Perry nie był jeszcze przygotowany na śmierć. Wyłączył pilota automatycznego i zaczął wykonywać dawno zapomniany manewr.

Kilka tysięcy stóp poniżej samolotu Boyd Dunhill pociągnął za linkę i czekał na otwarcie spadochronu. Szarpnięcie nie było tak gwałtowne, jak oczekiwał, i w kilka sekund później leciał z tą samą szybkością co poprzednio./ Spojrzął w górę i zamiast napiętego baldachimu zobaczył powiewający na wietrze pęk nie połączonych ze sobą kawałków nylonu.

Poniewczasie przypomniał sobie pogróżki Związku Zszywaczy i Pakowaczy Spadochronów, że zastrajkują dla poparcia swoich żądań dotyczących przedłużenia urlopu.

– Komuniści! – wrzasnął. – Anarchiści! Cholerne czerwone sk...

*LUP!*

# Porywacze ciał

– Myślę, że mógłbym się panu przydać – powiedział bladej nieznajomy. – 'Zamierzam popełnić samobójstwo.

Lorimer spojrział zdziwiony znad drinka. Nawet w mrocznym barze widać było, że osobnik o monotonnym głosie, który podszedł do jego stolika, jest chory, obdarty i zmęczony. Wątle ramiona miał przygarbione pod płaszczem, co sprawiało, że wydawał się drobny jak kobieta, a jego zadumane oczy w bladej trójkątnej twarzy pło- -nęły rozpaczą. Co za wrak ludzki! – pomyślał z pogardą Lorimer. – Co za żałosna kreatura!

– Powiedziałem, że zamierzam popełnić samobójstwo – powtórzył nieznajomy, głośniejszym razem, w dalszym ciągu jednak bezbarwnym, pozbawionym życia tonem.

– Ale po co pan krzyczy o tym na cały lokal – Lorimer rozejrzał się dokoła po przypominającym spelunkę barze i z ulgą stwierdził, że nie ma w pobliżu nikogo. – Niech pan siada.

– Dobrze. – Mężczyzna osunął się na krzesło i siedział ze zwieszoną głową.

Patrząc na niego Lorimer odczuwał tajemne pulsujące podniecenie.

– Napije się pan?

– Jeśli pan mi postawi, to się napiję, jeśli nie, to nie. To naprawdę nie ma znaczenia.

– Zamówię panu piwo. – Lorimer nacisnął właściwy guzik na tablicy zamówień i w kilka sekund później z automatycznego kelnera wmontowanego w stół wyskoczył kufel ciemnego piwa. Nieznajomy wydawał się go nie dostrzegać i Lorimer popchnął w jego

stronę chłodne kamionkowe naczynie. Mężczyzna wypił piwo, jak gdyby nie znajdował w tym żadnej przyjemności, automatycznie, tak samo jak działała obsługująca go maszyna.

– Jak pan się nazywa? – zapytał Lorimer.

– A czy to ważne?

– Dla mnie osobiście ni cholery, ale wygodniej, jak każdy ma jakąś etykietkę. Poza tym będę musiał o panu wszystko wiedzieć.

– Raymond Settle.

– Kto cię przysłał, Raymond?

– Nie znam jego nazwiska. Kelner od Fidelia, ten z włosami kolorze drzewa różanego.

– Drzewa różanego?

– Brązowe, z czarnymi pasemkami.

– Aha. – Lorimer poznał po charakterystyce jednego ze swoich najbardziej zaufanych ludzi i jego podniecenie wzrosło. Patrząc na Settle'a zastanawiał się, jak człowiek może się doprowadzić do takiego stanu. Coś w jego sposobie mówienia wskazywało na to, że jest inteligentny i wykształcony, ale – Lorimer odczuł satysfakcję na tę myśl – intelektualiści zwykle się załamują, kiedy życie okaże się naprawdę twarde. Mimo że, jak to się mówi, zjedli wszystkierozumy, nie mogą pojąć, że w zdrowym ciele zdrowy duch.

– Powiedz no mi, Raymond – rzekł – coś o swojej rodzinie.

– Rodzinie? – Settle zapatrzył się w kufel. – Mam na świecie tylko jedną bliską osobę. Małą córeczkę.

– I to ona ma dostać po tobie pieniądze?

– Tak. Moja żona umarła w zeszłym roku, a mała jest w przytułku Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. – Wargi Settle'a rozciągnęły się w czymś, co miało być uśmiechem. – Musieli uznać, że nie nadają się do tego, żeby wychowywać dziecko. Biuro Prymasa machnęłoby najprawdopodobniej ręką na różne mankamenty mojego charakteru, gdybym miał pieniądze, ale ja nie mam nawet

warunków, żeby zarabiać. W każdym razie nie w sposób ogólnie przyjęty.

– Czy chciałbyś, żebym otworzył dla dziecka konto bankowe?

– To najlepsze, co dałoby się dla niej zrobić. Lorimer poczuł jakiś dziwny dreszcz niepokoju, który usiłował zignorować.

– Mamy szczęście, żeśmy się urodzili na Oregonii, co?

– Nie wiem zbyt wiele na temat szczęścia.

– To *znaczy* mam na myśli, że życie jest o wiele łatwiejsze na takich planetach jak Avalon, Morgania czy nawet Ziemia.

– I śmierć też jest o wiele łatwiejsza.

– No cóż... – Lorimer postanowił sprowadzić rozmowę do interesów. – Potrzebuję więcej szczegółów. Płacę dwadzieścia tysięcy monetów, ale muszę mieć pewność, że nie będzie żadnych niespodzianek.

– Niepotrzebnie się pan tłumaczy, panie Lorimer. Powiem panu wszystko, co tylko pan chce wiedzieć. – Settie mówił ze spokojną obojętnością człowieka, którego życie już się właściwie skończyło.

Lorimer zamówił jeszcze jednego drinka dla siebie, postanawiając zdecydowanie nie dopuścić do tego, żeby rozpacz mężczyzny mu się udzieliła. Sprawą ważną i pozytywną w tym wszystkim, na której należało się skupić, był fakt, że Settie przez swoją śmierć miał zapoczątkować nowe wspaniałe życie dla dwóch innych istot ludzkich.

Nazajutrz rano podwójne słońca znajdowały się tuż obok siebie nad wschodnim horyzontem, zlewając się w jedną podłużną świetlistą plamę, której obraz pozostawał na siatkówce oka. Lorimer wyleciał z miasta i poszybował poprzez wspaniałe lasy, w tonacji złota przechodzącego w brąz. Na szczycie wzgórza, skąd roztaczał się widok na krętą linię brzegową obsypaną drobnymi wysepkami, sprowadził swego slummera z drogi i pozwolił mu opaść w ogrodzie Willenów. Wysiadł z pojazdu, podziwiając przez chwilę przepych otoczenia, a następnie udał się do patio na tyłach domu.

Fay Willen siedziała na ławce tyłem do niego, zajęta rozpinaniem płótna na drewnianej ramie. Miała na sobie prostą białą sukienkę, która podkreślała lśniąca czerń jej włosów. Lorimer znów przystanął napawając się widokiem tego, co należało do niego w sposób naturalny, a' co wkrótce miało stać się jego własnością na mocy prawa. Zaszurał nogami i Fay odwróciła się przestraszona.

– Mike! – powiedziała wstając – co ty tu robisz tak wcześnie?

– Musiałem cię zobaczyć. Zmarszczyła lekko czoło.

– Czy nie uważasz, że to ryzykowne? Nie zadzwoniłeś nawet, żeby sprawdzić, czy przypadkiem Gerard nie wrócił.

– To nie ma znaczenia.

– Ale przecież on się stanie podejrzliwy, jeżeli...

– Fay, powiedziałem ci przecież, że to nie ma znaczenia. – Lorimer nie był w stanie ukryć nuty tryumfu w głosie. – Znalazłem coś.

– Co takiego? – Fay w dalszym ciągu była niezadowolona, nie chciała się odprężyć ani stać się dla niego miłsza,

– Coś, czego powiedziałaś, że nie znajdę i za sto lat, człowieka, który chce popełnić samobójstwo.

– Och! – Mały młotek, który trzymała w ręce, stuknął o podłogę patio z dziwnym dźwięcznym półgłosem. – Mike, ja nigdy nie myślałam...

– Wszystko jest w najlepszym porządku, kochanie. – Lorimer ujął Fay w ramiona i ze

zdziwieniem stwierdził, że drży. Przytulił ją mocno pamiętając, że we wszelkich nieporozumieniach brał górę, gdy uświadamiał jej drżącą w swoim ciele siłę fizyczną.

– Nawet nie musisz tu być, kiedy to się będzie działo – wyszeptał. – Już ja się wszystkim zajmę.

– Ale mnie nigdy nie przyszło do głowy, że mogłabym być zamieszana w sprawę morderstwa.

Lorimer poczuł lekkie zniecierpliwienie, ale był na tyle ostrożny, że go nie okazał.

– Kochanie, posłuchaj, przecież jużesmy to wszystko omówili. Przecież my nie zamordujemy Gerarda, my go tylko po prostu wydziedziczymy.

– Nie, mnie się to nie podoba, – Fay spojrzała na niego zatroskanym wzrokiem.

– Po prostu wydziedziczymy, nic więcej – przymilnie powtórzył Lorimer. – To nie twoja wina, że Kościół i prawo zlały się w jedno na tej planecie. Na każdym innym świecie na podstawie tego, co robi – czy też czego nie robi – Gerard, dostałabyś rozwód, ale tutejszy system zmusza do podjęcia innych kroków. Nie istnieje nawet możliwość emigracji. To wina systemu, nie twoja.

Fay uwolniła się z jego uścisku i usiadła. Jej pociągła twarz straciła rumieńce.

– Wiem, że Gerard jest stary. Wiem, że jest chłodny... ale niezależnie od tego, co mówisz, trzeba by go było zabić.

– Nawet go nie zaboli, na miłość boską, zaopatrzę się w tym celu w pistolet gazowy. – Spotkanie z Fay nie przebiegało tak, jak to sobie Lorimer zaplanował, i czuł, że traci cierpliwość. – Chodzi ci o to, jak długo on będzie w stanie śmierci klinicznej? Zaledwie parę dni, tak wszystko jest pomyślane.

– To nie jest w porządku, Mike.

– Gerard po prostu zamknie oczy i obudzi się w innym ciele. – Lorimer zastanawiał się, co by tu przytoczyć na poparcie swoich racji. – No i młodszym. Ten facet, którego wynalazłem, nie robi wrażenia starego. Wyświadczymy nawet Gerardowi przysługę.

Fay zawahała się, a następnie wolno, z oczyma nieruchomymi, jakby powtarzała ruchy potężnego wahadła, potrząsnęła głową.

– Zmieniłam zdanie. Jeżeli zgodziłam się poprzednio, to tylko dlatego, że myślałam, że nigdy do tego nie dojdzie.

– Stawiasz mnie w trudnej sytuacji – powiedział Lorimer. – Nie wierzę, że się naprawdę rozmyśliłaś. Ale jeśli tak jest rzeczywiście, to zastanawiam się, czy nie zmusić cię do tego szantażem, dla twojego własnego dobra.

Parsknęła śmiechem.

– Jak możesz mnie szantażować?

– Mogę, wierz mi Fay. Prymas nie akceptuje cudzołóstwa u nikogo, ale jeśli już, to ja jestem w lepszej sytuacji: mam wbudowaną w psychikę skłonność do grzechu, poza tym nie jestem żonaty. Prawdopodobnie dostałbym miesiąc z zawieszeniem. A ty jesteś kobietą, która zdradziła wiernego męża...

– Bo Gerard musi być wierny! Nie ma po prostu innej możliwości.

– Dla Prymasa to nie ma znaczenia. Nie, kochanie, żadne pieniądze ani nawet najlepsi adwokaci świata nie wybronią cię przed rokiem ciupy. Co najmniej rokiem. – Lorimer z ulgą stwierdził, że Fay jest odpowiednio przerażona. Górowała nad nim bogactwem i urodą, ale kiedy dochodziło między nimi do jakichś starć typu emocjonalnego czy intelektualnego, za każdym razem pewna bierność jej usposobienia gwarantowała mu zwycięstwo. Przerwał na chwilę, czekając, aż groźba więzienia wywrze maksymalny efekt, a następnie usiadł okrakiem obok na ławce.

– Wiesz co, to jest najgłupsza rozmowa, jaką można sobie wyobrazić – powiedział uspokajająco. – Dlaczego rozmawiamy o szantażu i więzieniu, skoro moglibyśmy mówić o naszej

wspólnej przyszłości? Chyba w tej sprawie nie zmieniłaś zdania, prawda?

Fay popatrzyła na niego ze smutną zadumą.

– Nie, Mike, w zasadzie nie.

– To cudownie, bo ten typ, którego wczoraj znalazłem, jest za dobry na to, żeby go zmarnować.

– Lorimer ścisnął Fay za rękę. – Wygląda, że to jakiś artysta, któremu się nie powiodło. Myślałem, że dziś można sprzedać każde dzieło sztuki, ale gdyby istniały na Oregonie jakieś mansardy, to ten facet głodowałby na jednej z nich. Aha, przy okazji: czy mogłabyś dać mi teraz tę forszę?

– To było dwadzieścia tysięcy, tak?

– Tak.

– Tam w sejfie na dole jest chyba więcej. Zaraz ci przyniosę. – Fay odwróciła się, żeby odejść, ale zatrzymała się po chwili. – A jak ten człowiek się nazywa?

– Raymond Settie. Słyszałaś o nim? Potrząsnęła głową.

– I co on takiego maluje?

– Nie wiem. – Lorimera z lekka zaskoczyło jej pytanie. – A co to ma właściwie za znaczenie? Jedyna rzecz, która się w tym wszystkim liczy, to to, że facet chce się zabić.

W powrotnej drodze wyłożonym zboczem w dół, do miasta, Lorimer jeszcze raz przeanalizował swój plan. Był on w założeniu prosty. Gerard Willen był zaradnym, niezłe prosperującym biznesmenem, więc nie było podstaw sądzić, że ożenił się z Fay dla pieniędzy. Zobaczył ją raz, zakochał się i zaczął adorować -z desperacką żarliwością, czemu Fay – zawsze podatna na wpływy każdego, kto miał dostatecznie silną motywację – z łatwością się poddawała. Kłopoty z ich małżeństwem polegały na tym, że Gerard jak gdyby w procesie starania się o nią wyczerpał całe rezerwy żywotności i niemal natychmiast po ślubie stał się dla niej bardziej ojcem niż namiętym kochankiem. Nie wymagał od Fay niczego poza tym, żeby w czasie uroczystości kościelnych czy na oficjalnych przyjęciach występowała u jego boku.

Przez rok z górą w Fay wzbierały naturalne instynkty i Lorimer – trener szermierki w ekskluzywnym ośrodku sportowym –

uważał się za szczęściarza, któremu dane było pojawić się na scenie w najbardziej odpowiednim czasie, żeby odegrać rolę mechanizmu

wyzwalającego.

Na początku, mniej więcej przez miesiąc, zadowalał się posiadaniem jej ciała; potem nabrał przekonania, że należy mu się i wszystko inne. Zapragnął pieniędzy, wspaniałych domów, pozycji, ale nade wszystko marzyła mu się ucieczka od dręczącej codzienności – obowiązku wyrabiania gracji ruchów w tłustych matronach, które posługiwały się floretem jak packą na muchy. W tym wszystkim stał mu na przeszkodzie Gerard Willen.

Na Ziemi czy na jakiegokolwiek innej spośród pięćdziesięciu planet byłaby zawsze alternatywa: rozwód albo po prostu morderstwo. Na Oregonii nie istniała żadna z tych możliwości. Panowanie Kościoła Macierzystego wykluczało rozwód, poza sytuacjami zupełnie wyjątkowymi, do których w żadnym razie nie zaliczano spraw tak błahych jak niedobór seksualny. Co zaś do morderstwa, to kara refundacji osobowości, jaką przewidywało w takich wypadkach prawo Oregonii, czyniła je zbyt ryzykownym.

Było już ciemno, kiedy Lorimer zaparkował swojego skimmera w umówionym 'miejsce na przedmieściu od strony północnej. Przez jeden nieprzyjemny moment pomyślał, że jednak Settie nawalił, ale zaraz dostrzegł szczupłą postać na tle ciemnej kępy drzew. Settie zbliżał się wolno, zataczając się z lekka z trudem wsiadł do pojazdu. i

– Piłeś? – zapytał Lorimer wpatrując się w ledwie widoczną



trójkątną twarz.

– Czy piłem? – Settie potrząsnął głową. – Nie, przyjacielu, jestem głodny. Po prostu głodny,

– Może najpierw przyniosę ci coś do jedzenia.

– To bardzo miło z twojej strony, ale...

– Wcale nie jestem miły – przerwał mu Lorimer, nie potrafiąc ukryć niesmaku. –

Zaprzepaściłbyś całą sprawę, gdybyś nam teraz umarł. To znaczy gdyby umarło twoje ciało.

– Nie umrze – uspokoił go Settie. – Trzyma się życia z uporem, który jest dla mnie nieco

kłopotliwy, i na tym właśnie polega cały problem.

– Mniejsza z tym – Lorimer poderwał skimmera z ziemi i poszybował prosto przed siebie. – Nie

możemy sobie pozwolić na to,

żeby nas zobaczono razem, więc schyl głowę. Zabieram cię do Willenów.

– Czy zrobimy to dziś wieczór? – W głosie Settie'a odezwała się rzadka nuta ożywienia.

– Nie. Gerard Willen jeszcze nie wrócił, ale musisz zorientować się wcześniej w rozkładzie domu, żebyśmy byli pewni, że wszystko pójdzie gładko.

– Aha. – Settie robił wrażenie rozczarowanego. Otulił się szczelniej płaszczem, skulił w kącie i nie odezwał słowem do końca podróży. Lorimerowi nie przeszkadzało jego milczenie. Rozmowa z tym człowiekiem mroziła go chłodem i – z niezrozumiałych powodów – budziła uczucie zagrożenia. Leciał wysoko wybierając drogi, co do których wiedział, że będą bezludne, i zaparkował pod wielkim domem. Kiedy wysiadał ze skimmera, owiało go nocne rześkie powietrze, światło gwiazd kładło się na trawnikach i żywopłotach jak przedwczesny o tej porze roku szron. Podeszli do patio z tyłu domu, gdzie żółty blask bijący od okien dostatecznie oświetlał im drogę. Lorimer wyjął z kieszeni pistolet gazowy i wręczył go Settie'owi, który niechętnie ujął broń chudą ręką.

– Zdaje się, mówiłeś, że mamy nie robić tego dzisiaj – wyszeptał.

– Masz się oswoić z bronią, nie możemy sobie pozwolić na to, żebyś chybił. – Lorimer ponaglił swego towarzysza. – Plan jest taki: wślizniesz się do domu pod pozorem, że chcesz coś ukraść, a fakt, że jesteś całkowicie splukany, nada całej sprawie większe prawdopodobieństwo. Wejdiesz przez te drzwi tarasowe, które nigdy nie są zamknięte, i zaczniesz się rozglądać za kosztownościami. – Lorimer przekręcił gałkę i pchnął oszklone drzwi. Ogarnęła ich fala ciepła, kiedy znaleźli się w drugim, nie oświetlonym pomieszczeniu. – Musisz wiedzieć jeszcze jedno: do tego pokoju przylega gabinet Gerarda Willena, który zamiast być ze swoją żoną w łóżku, pracuje tam do późnej nocy. Przez chwilę się tu pokręcisz, a potem coś zrzucisz. To wystarczy. – Lorimer wskazał wysoki wazon stojący na półce. – Willen słyszy hałas i wchodzi, tamtymi drzwiami. Ty wpadasz w panikę i wygarniasz do niego kilkakrotnie ze swojej spluwy. Możesz to zrobić tyle razy, ile uważasz za stosowne, bylebyś miał pewność, że nie żyje.

– Ja jeszcze nikogo nie zabiłem – powiedział Settie niepewnie.

Lorimer westchnął.

– Przecież ty nie zabijasz jego, ty zabijasz siebie. Będziesz pamiętał?

– Chyba tak.

– Nie zapomnij. Kiedy Willen upadnie, ty stój nad nim, osłupiały, dopóki nie pojawi się w drzwiach Fay. Pozwól jej dobrze się sobie przyjrzeć, a potem upuść broń na ziemię i rzuć się do ucieczki tą samą drogą, którą przyszliśmy. Policja cię złapie przed upływem godziny. Fay cię rozpozna. Ty się przyznasz. To wszystko!

– Nie przypuszczałem, że to będzie takie skomplikowane.

– Kiedy to bardzo proste, mówię ci. – Beznadziejna monotonność głosu Settie'a tak zezłościła Lorimera, że miał ochotę go uderzyć. – Nic łatwiejszego.

– Nie wiem...

Lorimer złapał Settle'a za ramię i zdziwił się, tak bardzo wydało mu się wątle pod płaszczem.

– Posłuchaj, Raymond, chcesz przecież, żeby twoja mała dostała te pieniądze, prawda? No więc nie ma na to innego sposobu.

– A co się ze mną stanie... potem? Czy to będzie bolało?

– Specjaliści twierdzą, że to 'jest zupełnie bezbolesne. – Lorimer z odcieniem ciepłej otuchy w głosie przypieczętował swoje zwycięstwo. – Odbędzie się bardzo krótki proces, być może nawet tego samego dnia, i zostaniesz uznany winnym. A potem tylko podłączą was do wymiennika mózgowego – pstryk – i po wszystkim.

– I ze mną będzie koniec na zawsze, tak?

– Tak, Raymond. Proces transferu trwa około jednej milionowej sekundy, więc nie zdążysz poczuć bólu. Trudno sobie wyobrazić lepszą metodę odejścia. – Lorimer mówił w sposób przekonywający, ale w głębi serca żywił wątpliwości. Wysoko rozwinięta neuro-elektronika umożliwiała karanie zbrodni – przy równoczesnym rekompensowaniu ofierze doznanej krzywdy – przez przenoszenie umysłu zmarłego w ciało mordercy. System wydawał się uczciwy i logiczny, ale jeżeli był on zarazem tak humanitarny, jak głosili jego rzecznicy, to dlaczego nie stosowano go powszechnie? Dlaczego na wielu światach cywilizowanych kompensacja osobowości była

niedozwolona?

Lorimer postanowił nie zwracać sobie głowy jałowymi spekulacjami. Dla niego ważne było tylko to, że zmiana tożsamości stano

wiła jedną z nielicznych podstaw, na jakich Kościół Macierzysty Oregonii udzielał rozwodów. Gerard Willen będzie żył dalej w ciele Settle'a, ale ponieważ nie jest to ciało, które wypowiadało słowa świętej przysięgi i dzieliło łożę małżeńskie z Fay, tym samym automatycznie uznawano związek za nieważny. Lorimerowi wydawało się to dość zabawne, że Kościół, który widział w małżeństwie dozgonną unię dusz, tak skwapliwie udzielał rozwodów przy pierwszych objawach rozdźwięku fizycznego. Jeśli to odpowiada Jego Świątobliwości, pomyślał, to tym bardziej odpowiada mnie. Jeszcze dwa razy przeciwiczył wszystko z Settle'em, instruując go starannie co do jego roli i robiąc uniki, kiedy broń w niewprawnej ręce tamtego zbaczała w jego kierunku.

– Uważaj, gdzie celujesz – warknął. – Nie zapominaj, że to urządzenie jest śmiertelne.

– Ale przecież dla ciebie to by nie oznaczało śmierci, tylko transfer – powiedział Settle. – Przenieśliby twój umysł w moje ciało.

– To już raczej wolałbym nie żyć. – Lorimer wpatrywał się w Settle'a poprzez mrok zastanawiając się, czy w jego ostatniej uwadze była nuta rozbawienia, czy też złośliwości. – Lepiej oddaj mi tę broń, zanim spowodujesz wypadek.

Settle posłusznie wręczył mu pistolet i Lorimer właśnie chował go do kieszeni, kiedy drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie. Obrócił się instynktownie z bronią wycelowaną w postać, która ukazała się w jasnym prostokącie. Intruzem była Fay. Czoło pokrył mu perlisty pot, kiedy uświadomił sobie, że mało brakowało, by w zdenerwowaniu pociągnął za spust.

– Mike? To ty? – Fay zapaliła światło i stała mrugając w nagłym blasku.

– Ty idiotko! – warknął Lorimer. – Przecież ci mówiłem, żebyś nie ruszała się z pokoju, jak usłyszysz, że tu ktoś jest.

– Chciałam się z tobą zobaczyć.

– Mało brakowało, a zostałabyś zdmuchnięta! O mało... – Głos zawiódł Lorimera na myśl o tym, co mogło się stać.

– Przecież ja też jestem w to zamieszana – powiedziała beztrasko. – A poza tym chciałam

poznać pana Settle'a. Lorimer potrząsnął głową.

– Lepiej, żebyś nie poznawała. Im mniej zbędnych kontaktów, tym większa szansa, że zmowa nie zostanie wykryta.

– W domu nie ma nikogo poza nami trojgiem. – Fay popatrzyła mimo Lorimera na Settle'a. – Dzień dobry panu.

– Pani Willen. – Settie złożył przed nią absurdalnie uroczysty ukłon, z oczyma cały czas utkwionymi w jej twarzy.

Lorimer zdał sobie sprawę, że Fay ma na sobie dość zwiewną czarną nocną szatkę, i poczuł dziwny niepokój.

– Wracaj na górę – powiedział. – Raymond i ja mieliśmy właśnie wychodzić. Prawda, że tak było, Raymond?

– Tak jest. – Settie uśmiechnął się, ale jego twarz była bledsza i bardziej zrozpaczona niż zwykle. Zatoczył się z lekka i uchwycił oparcia krzesła, żeby nie stracić równowagi.

Fay ruszyła w jego stronę.

– Czy pan jest chory?

– Nie ma się czym przejmować – odparł. – Po prostu przez parę dni zapomniałem o jedzeniu. To z mojej strony lekkomyślność,

**ja** wiem...

– Musi pan coś zjeść przed wyjściem.

– Chciałem mu coś postawić, ale odmówił – wtrącił Lorimer. –

On nie lubi jeść. Fay spojrzała na niego z niechęcią.

– Zaprowadź pana Settle'a do kuchni. Napije się mleka i zje parę kanapek z gorącym stekiem. – Wyprzedziła ich, włączyła piekarnik dźwiękowy i w minutę podała Settle'owi litr zimnego mleka i półmisek pachnących grzanek. Settie skinął głową na znak wdzięczności, rozpiął płaszcz i zaczął jeść. Patrząc, jak pożera to wszystko na oczach zachwyconej Fay, Lorimer miał uczucie, że w jakiś niejasny sposób został oszukany. Żywił wewnętrzne przekonanie, że gdyby nie obecność Fay, Settie w dalszym ciągu odmawiałby jedzenia, a to by wskazywało, że teraz zabiega o jej współczucie.

Kiedy uświadomił sobie, że zaczyna traktować Settle'a jak rywala, zachichotał z cicha. Jedno wiedział o Fay z całą pewnością: że po Gerardzie Willenie nie ma w jej życiu miejsca na następnego zmęczonego, wymizerowanego chudzielca. Podszedł do niej, objął ją ramieniem i przygarnął napawając poczuciem bezpieczeństwa, jakie emanowało z jego fizycznej tężyzny. Spoglądał przy tym na Settle'a

z lekkim rozbawieniem posiadacza. – Patrz, jak on je – szepnął. – Mówiłem ci, że to głodujący

artysta.

Fay skinęła głową.

– Zastanawiam się, dlaczego on chce umrzeć.

– Niektórzy ludzie doprowadzają się do takiego stanu. – Lorimer postanowił nie wspominać o córeczce Settle'a w obawie, że Fay się wzruszy. – Ja tam uważam, że to jest dla niego najlepsze wyjście.

W chwilę później Settie podniósł wzrok znad pustego półmiska.

– Chciałbym pani podziękować za... – Słowa zamarły mu na ustach i siedział wpatrzony w coś po przeciwnej stronie pokoju. Lorimer poszedł za jego wzrokiem, ale nie zobaczył nic, poza jednym z bezsensownych malowideł Fay, nie skończonym jeszcze i rozpiętym na sztalugach, które widocznie

przywlokła z patio i zapomniała schować. \

Settie spojrzał na nią i spytał:

– Czy to pani praca?

– Tak, ale nie sądzę, żeby mogła pana zainteresować.

– To wygląda dla mnie tak, jakby pani malowała samo światło. Wyzwolone. Nie ograniczone żadnymi bryłami.

Lorimer zaczął się śmiać, ale po chwili zauważył, że Fay wykonała mimowolny ruch.

– Tak – powiedziała szybko. – Ale jak pan to poznał? Czy pan też czegoś takiego próbował?

Settie uśmiechnął się smutno, beznadziejnie.

– Nie miałbym odwagi.

– Ale przecież... ..^

– No, dosyć tego – przerwał im zniecierpliwiony Lorimer. – Raymond i tak już tu za długo przebywa; jak go ktoś zobaczy, cały plan weźmie w łeb.

– Ale kto go może zobaczyć? – spytała Fay.

– Może wpaść jakiś nie zapowiedziany gość.

– O tej porze, w nocy?

– Albo ktoś może chcieć z tobą porozmawiać przez wideofon.

– To niemożliwe, Mike. Nie rozumiem, dlaczego ktoś... – Fay mówiła ze stanowczością, która była dla Lorimera lekko deprymująca, ale zawiesiła głos niepewnie, kiedy w kuchni rozległ się delikatny dźwięk gongu. Był to sygnał stojącego w rogu wideofonu.

– Pójdę lepiej zobaczyć, kto to – powiedziała ściszym głosem, podchodząc do ekranu.

– Poczekaj, aż my stąd wyjdziemy – rzekł Lorimer gwałtownie; czuł, jak jego nerwy wibrują w takt natarczywego sygnału.

– W porządku, odbieram tylko na fonii. – Fay dotknęła guzika na przystawce aparatu i na ekranie pojawiła się podobizna Gerarda Willena. Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, wątej budowy, z pociągłą, poważną twarzą, o zesnurowanych ustach, ubrany w ponure oficjalne ubranie.

– Jak się masz, Gerard – powitała go Fay. – Nie spodziewałam się, że zadzwonisz.

– Fay? – Oczy Willena zwęziły się, kiedy wpatrywał się w swój ekran. – Dlaczego ja cię nie widzę, Fay?

– Kładłam się właśnie i jestem rozebrana. Skinął głową ze zrozumieniem.

– Masz rację, że jesteś ostrożna, słyszałem o jakichś zakazanych typach, którzy przechwytyją prywatne rozmowy dla swoich niecznych praktyk podglądackich.

Fay westchnęła głośno.

– Diabeł bez przerwy wymyśla nowe figle. Dlaczego dzwoniisz, Gerard?

– Mam dobre wiadomości. Zakończyłem sprawy w Hoły Cross City i wylatuję jutro rano. Czyli że w domu będę przed południem.

– To wspaniale – Fay posłała Lorimerowi znaczące spojrzenie. – Już tak długo cię nie ma.

– I ja się cieszę na powrót – powiedział Willen swoim bezosobowym, pedantycznym głosem. – Mam do napisania trudne sprawozdanie i będzie mi się łatwiej skoncentrować w ciszy mego gabinetu.

Tak ci się wydaje – zaśpiewał sobie w myśli Lorimer czując przyływ radosnej pewności siebie. Wysłuchał pilnie całej rozmowy do końca, pogardzając Willenem, a jednocześnie czując dla niego wdzięczność za to, że nawet w najmniejszy sposób nie okazał ciepła, że nie powiedział ani jednego słowa, które by upoważniło Fay do nadziei, że ich związek da się jakoś naprawić. Settie

siedząc wyprostowany przy stole też obserwował Fay i podobiznę jej męża z ożywieniem, które kontrastowało z jego poprzednią apatią. Zapadnięte oczy artysty płonęły gorączkowym blaskiem i znów Lorimer pomyślał, że wolałby, aby Fay miała na sobie coś mniej przezroczyściego. Jak tylko rozmowa się skończyła i ekran zgasł, podszedł do Fay i ujął jej dłonie w swoje ręce.

– Bardzo dobrze, kochanie – powiedział. – Wszystko się dla nas idealnie układa.

– Obawiam się, że niezupełnie – nieoczekiwanie wtrącił Settie. Lorimer odwrócił się do niego.

– Co masz na myśli?

Twarz Settle'a była wymizerowana, głos zabrzmiał dziwnie zdecydowanie.

– Przez cały czas, kiedy obserwowałem pana Willena na ekranie, zastanawiałem się nad tą sprawą i doszedłem do wniosku, że nie będę w stanie tego zrobić. Mimo wszystko, co mówiłeś o przeniesieniu jedynie osobowości, nigdy nie byłbym w stanie zabić drugiego człowieka. I nie wyobrażam sobie, żebyś mnie zdołał do tego skłonić.

Czekając w mroku za patio Lorimer kilkakrotnie wyjmował pistolet gazowy i sprawdzał go. Było to jedno z najwspanialej pomyślanych narzędzi zbrodni, jakie człowiek wynalazł, ale tak wiele od niego w tej chwili zależało, że nie mógł się powstrzymać od ciągłego sprawdzania jego mechanizmu. Settie stał obok niego biernie, nieruchomo, a jego czarna postać w płaszczu przypominała rzeźbę z obsydianu. Ponad ich głowami delikatny zielonkawy księżyc torował sobie drogę w gąszczu gwiazd.

Godziny mijały wolno i była już prawie północ, kiedy światło w oknie na górze nagle zgasło. Serce Lorimera zaczęło bić żywiej, a jego ręce w rękawiczkach powilgotniały.

– Fay położyła się do łóżka – szepnął. – Zaraz będziemy mogli wejść.

– Jestem gotów w każdej chwili.

– Cieszę się. – W miarę jak upływały ostatnie minuty, Lorimer odczuwał coraz większą ulgę na myśl o tym, że okres jego uzależnienia od niezrównoważonego i nieobliczalnego Settle'a ma się ku końcowi. Oświadczenie Settle'a, że nie będzie w stanie strzelić do Willena, grzebało wszelkie nadzieje. Lorimer przeżył kilka niemiłych momentów, zanim ustalili, że Settie jednak podejmuje się w znacznej mierze wypełnić swoje zobowiązanie. Zgadzał się mianowicie wziąć na siebie winę za zabicie Willena składając ofiarę życia pod warunkiem, że ktoś inny pociągnie za spust. Trudno oczywiście

powiedzieć, że Lorimer był zadowolony z tak zmodyfikowanego planu. Oznaczało to bowiem, że zamiast zapewnić sobie dobre alibi, musi być obecny na miejscu zbrodni, zrozumiał jednak, że wymuszenie samobójstwa na zimno nie jest sprawą łatwą. Po prostu nie miał wyjścia. Gdyby było więcej czasu, mógłby jeszcze coś wymyślić, ale instynkt podpowiadał mu, że stworzenie Fay i Settle'owi okazji do zadzierzgnięcia bliższej znajomości, byłoby błędem. Należało przeć do przodu nie zważając na drobne niedoskonałości planu.

– Chodźmy, już odczekaliśmy dostatecznie długo – powiedział Lorimer. Wszedł do patio tak cicho, jak tylko to było możliwe, żeby nie spłoszyć ofiary przedwcześnie. Było sprawą zasadniczej wagi, żeby strzał padł w ciemności i w obrębie domu, tak żeby Willen nie poznał swojego zabójcy i aby po przywróceniu go do życia w ciele malarza zeznał przed policją, co trzeba. Z Settle'em depczącym mu po piętach Lorimer kluczył tak, by nie znaleźć się w kręgu światła padającego z okna gabinetu Willena. Dotarłszy do oszklonych drzwi sąsiedniego pokoju wszedł do środka i wciągnął Settle'a za rękę.

– Ty stój, o tu, przy oknie – powiedział. – Jeżeli Gerard po otwarciu drzwi miałby kogoś

zobaczyć, to ciebie.

Zdjął z półki duży gliniany wazon i przykucnął za krzesłem trzymając w lewej ręce wazon, a w prawej pistolet gazowy. Uświadomił sobie, że powinien odczekać kilka minut, aż oczy przyzwyczają mu się do niemal całkowitej ciemności, ale teraz, kiedy nadeszła zasadnicza chwila, był napięty i niecierpliwy. Niezdarnie wyrzucił w górę wazon, który rozbił się o przeciwległą ścianę.

Nagły dźwięk przypominał eksplozję. Zapadła chwila głuchej ciszy, a następnie z przyległego pokoju dotarł do nich stłumiony

okrzyk.

Lorimer wycelował pistolet w drzwi trzymając palec na spuście. W korytarzu rozległy się kroki. Drzwi otworzyły się gwałtownie i – w tym samym momencie – Lorimer wypalił. Raz, drugi, trzeci.

Trzy chmury trującego gazu – każda zdolna spowodować natychmiastową śmierć – przeniknęły błyskawicznie ubranie i skórę widocznej w drzwiach niewyraźnej postaci i w ułamku sekundy zapłonęły wszystkie światła. Lorimer, porażony blaskiem, cofnął się w osłupieniu.

W drzwiach stał nieruchomo z ręką na wyłączniku światła Gerard Willen wpatrzony w Lorimera z wyrazem czystego zdumienia na pociągłej twarzy.

Lorimer zerwał się, przerażony, instynktownie mierząc z pistoletu. Gerard nachylił się ku niemu, ale jego nogi pozostały nieruchome. Poleciał do przodu, uderzając twarzą o róg niskiego stołu, czemu towarzyszyło ciasto watę kłapanięcie, i bokiem osunął się na ziemię. Umarł tak szybko, że śmierć wzięła niejako jego ciało przez zaskoczenie.

– O Chryste – wyjąkał drżącym głosem Lorimer – to było straszne!

Stwierdził, że gapi się na trzymaną w ręku broń, zdjęty grozą z powodu jej potęgi, ale zaraz powróciło zdecydowanie i poczucie zagrożenia. Jak każdy obywatel Oregonii, Willen musiał mieć wszczepiony pod skórą lewego ramienia biometr. Za chwilę zareaguje on na przerwanie funkcji życiowych Gerarda nadawaniem sygnałów alarmowych. Fakt, że śmierci nie poprzedziły żadne objawy chorobowe, zostanie uznany przez komputer w Centralnym Ośrodku Biometrycznym za wart zbadania. Lorimer przewidywał, że po upływie pięciu minut ambulans i statek policyjny siądą na trawniku przed domem Willenów. Podał więc broń Settle'owi, który gapił się na leżące na podłodze ciało. Settle ujął pistolet drżącymi rękami.

– Tylko weź się w garść – powiedział Lorimer.

– Kiedy ja nic n& to nie poradzę. Spójrz na jego twarz.

– Jemu już jest wszystko jedno. Skup się na tym, co masz teraz do zrobienia. Jak tylko wejdzie tu Fay i zacnie krzyczeć, rzucasz broń i uciekasz do diabła. Pobiegniesz drogą od frontu i do Ocean Drive. Tam są silne latarnie, więc ktoś cię na pewno zobaczy. Przy odrobinie szczęścia policja zauważy cię z góry. Okay?

– Okay.

– I potem już wszystko masz z głowy. Settle przytaknął skinieniem.

– Wiem.

– Posłuchaj, Raymond... – Coś w sposobie mówienia tamtego, w gotowości, z jaką przyjmował śmierć, wzbudziło współczucie Lorimera. Niezręcznym gestem dotknął jego ramienia. – Przykro mi, że tak ci się ułożyło.

– Nie przejmuj się mną, Mike. – Settle przywołał na twarz smutny przelotny uśmiech.

Lorimer skinął głową i uświadamiając sobie, że i tak już za długo marudzi, pobiegł do swojego skimmera. Kiedy opuszczał patio i spieszył przez trawnik, rozległ się za nim krzyk kobiecy – znak, że wszystko szło dokładnie według planu. Wskoczył do skimmera i zaciągnął osłonę. Pojazd uniósł się

uległe i Lorimer, nie zapalając światła, przyspieszył. Leciał w głąb lądu na pełnym gazie, klucząc pomiędzy drzewami, jak nocny ptak, niewidzialny w ciemności, aż dostał się na jedną z pomniejszych dróg w odległości kilku kilometrów od wybrzeża.

Tak jak się spodziewał, nie było tu żadnego ruchu. Zredukował prędkość i obniżył pojazd do przepisowej wysokości jednego metra, po czym włączył światła i z umiarkowaną, nie rzucającą się w oczy szybkością skierował się ku miastu. W miarę jak słupki kilometrowe umykały w uspokajającym ciągu, nieprzyjemne ssanie w żołądku wywołane napięciem nerwowym zaczęło ustępować.

Sprawa oczywiście zawierała pewien element ryzyka, ale warto je było podjąć. Pozostawało mu teraz jedynie trzymać się dyskretnie z daleka, dopóki Settie nie zostanie skazany, a osobowość Willena przeniesiona w jego ciało. W takich przypadkach Urząd Prymasa udzielał rozvodu błyskawicznie, dosłownie w ciągu kilku dni, a wtedy Lorimer może wyjść z ukrycia i zgłosić się po nagrodę czy też raczej nagrody. Bo przecież jest nie tylko sama Fay, ale trzy domy, pieniądze, no i pozycja...

Kiedy Lorimer dotarł do budynku, w którym mieszkał, był niemal pijany szczęściem. Wjechał rampą na górę, zaparkował skimmera z fasonem i wsiadł do windy pneumatycznej. W zaciszu własnego mieszkania stał przez chwilę napawając się rozkoszą wynikającą z samego faktu, że żyje, po czym szcudrą ręką nalał sobie drinka. Unosił go właśnie do ust, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Poszedł ze szklaneczką w ręce, popijając po drodze. Kiedy otworzył, zobaczył w progu dwóch ponurych mężczyzn i sztylet niepokoju przebił jego euforię.

– Michael T. Lorimer? – zapytał jeden z nich. Ostrożnie skinął głową. – A o co chodzi?

– Policja. Jest pan aresztowany. Proszę z nami do Komendy Głównej.

– To wam się tylko wydaje – odparł Lorimer odruchowo wyzywającym tonem i zaczął się cofać.

Mężczyzna, który z nim rozmawiał, spojrzał na swojego towarzysza, skinął głową i powiedział:

– Z nim nie należy ryzykować.

– W porządku. – Policjant uniósł rękę i Lorimerowi mignęła lufa pistoletu bolas. Strzał padł natychmiast i wokół łydek Lori-mera owinęła się metalowa taśma tworząc w ułamku sekundy nierozzerwalne okowy. Następny pocisk trafił go w pierś przygważdżając mu ramiona do boków. Pozbawiony jakiegokolwiek możliwości ruchu, stracił równowagę i byłby upadł, gdyby go w porę tamci nie złapali. Wywlekli go do windy pneumatycznej i wsadzili do dużego skimmera. Jeden z policjantów usiadł na miejscu kierowcy i Lorimer widząc, jak pojazd śmiga w kierunku rampy wyjazdowej, z całych sił starał się opanować panikę.

– Panowie musieliście się cholernie pomylić – powiedział usiłując nadać swojemu głosowi ton wściekłości, a jednocześnie pewności siebie. – Co ja niby takiego zrobiłem?

Żaden z mężczyzn nie odpowiedział i Lorimer zorientował się, że niezależnie od tego, co powie, nie mają zamiaru z nim dyskutować. Obserwował drogę, dopóki się nie upewnił, że rzeczywiście zmierzają do Komendy Głównej, a następnie całą jego uwagę pochłonął problem, co robić dalej. Coś musiało nawalić, to było aż nazbyt jasne. Ale co? Nie przychodziło mu nic innego do głowy, jak tylko to, że Settle'a złapali bardzo szybko i że w ostatniej chwili wycofał się i nie przyznał do winy. W tej sytuacji oczywiście oskarżył o zabójstwo Lorimera.

Zmusił się, żeby na chłodno rozważyć sytuację, ale coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że znalazł właściwą odpowiedź. Słabość i niezrównoważenie Settle'a od początku stanowiły przeszkodę i cofnięcie się w ostatniej chwili przed podjęciem decydującego kroku prowadzącego w śmierć byłoby w jego stylu. Tego można się było zresztą spodziewać po osobniku słabym z manią

samobójczą, ale – Lorimer poczuł przyływ optymizmu –• Settie stawiał na niewłaściwego konia. To przecież jego odciski palców, a nie Lorimera, znajdowały się na broni; poza tym sposób, w jaki dostał się

do domu, sam w sobie był dostatecznie obciążający. Już te dwie okoliczności wystarczyły, żeby go skazać, ale najbardziej obciążający dla niego będzie fakt, że Fay nie potwierdzi jego wersji. Zeznanie nędznego obdartusa zostanie obalone przez świadectwo bogatej i poważanej kobiety oraz obywatela, który nigdy przedtem nie popadł

w żaden konflikt z prawem.

Po kilku minutach przemykania się nad uśpionymi ulicami skim-mer policyjny dotarł do Komendy Głównej i usiadł na frontowym parkingu. Jeden z funkcjonariuszy uwolnił z więzów nogi Lorime-rowi, tak żeby mógł z zachowaniem jakiejś takiej godności wysiąść z pojazdu, ale ramiona miał w dalszym ciągu unieruchomione. Wewnątrz jasno oświetlonego budynku ludzie gapili się na niego z zaciekawieniem. W czasie jazdy windą pneumatyczną Lorimer zaczął ćwiczyć swoją rolę. Mina obrażonej niewinności będzie, stwierdził, znacznie lepsza niż głośnie wybuchy oburzenia. Może ton lekkiego wyrzutu i delikatna aluzja, że wzdraga się przed podaniem ich do sądu za bezpodstawne aresztowanie...

Kiedy go wprowadzono do biura, gdzie miał stanąć przed trzema urzędnikami w niebieskich kołnierzykach inspektorów, był już całkowicie opanowany i niemal cieszył się na czekający go sprawdzian

bystrości.

– Może któryś z panów zechce mi wyjaśnić, co tu się dzieje – zaczął wytrzymując ich wzrok. – Nie jestem przyzwyczajony do tego rodzaju rzeczy.

– Michael Thomas Lorimer – powiedział najstarszy z trzech inspektorów spokojnym głosem zaglądając do karty komputerowej, którą trzymał w ręce, – Oskarżam pana o zamordowanie Gerarda Avona Willena.

– Gerard Willen? Nie żyje? – Lorimer robił wrażenie wstrząśniętego. – Nie wierzę. To niemożliwe.

– Czy ma pan coś do powiedzenia w związku z tym zarzutem?

– A kto by chciał... – Lorimer przerwał na chwilę, jak gdyby dopiero teraz dotarł do niego sens oświadczenia inspektora. – Chwileczkę. Nie możecie mnie oskarżać o mord. Nic o nim nie wiedziałem. Od tygodni nie byłem nawet w pobliżu domu Willenów.

– Mamy świadka.

Lorimer parsknął śmiechem.

– Chciałbym zobaczyć tego faceta.

– Świadek koronny nie jest mężczyzną. Pani Willen zeznała, że widziała, jak pan strzelał do jej męża, a następnie uciekł. Podłoga zakołysała się pod nogami Lorimera.

– Nie wierzę – oświadczył.

Jeden z inspektorów uniósł w górę magnetowid. Na małym ekranie pojawiła się Fay z twarzą lśniąca od łez i Lorimer usłyszał z jej ust wyrok skazujący. Zostałem wykorzystany – pomyślał dotknięty do żywego, gdy ciemna fala zrozumienia wezbrała w jego umyśle. – Ta suka postanowiła mnie załatwić! Świadomość niebezpieczeństwa pobudziła go do desperackiej aktywności.

– Jestem wstrząśnięty – powiedział gwałtownie – ale wydaje mi się, że będę w stanie wyjaśnić, dlaczego pani Willen uciekła się do takiego kłamstwa.

– Proszę bardzo. – W oczach starszego inspektora pojawił się błysk zainteresowania.

– Otóż poznałem panią Willen jako trener fechtunku. Rozmawialiśmy często, a od czasu do



czasu zapraszała mnie do domu. Początkowo myślałem, że jest po prostu uprzejma, możecie więc sobie panowie wyobrazić, jak się czułem, kiedy do mnie dotarło, że jej chodzi o romans.

– Jak pan się czuł, panie Lorimer?

– Napełniło mnie to niesmakiem oczywiście – odparł Lorimer z maksymalną szczerością. – To kobieta atrakcyjna, a ja jestem tylko człowiekiem, ale co do cudzołóstwa, to nie. Kiedy jej odmówiłem, przez kilka minut dosłownie szalała, w życiu nie widziałem, żeby ktoś był tak wściekły. Mówiła wtedy rzeczy, których nie chciałbym powtarzać.

– W tej sytuacji wydaje mi się, że wszelkie skrupuły powinien pan odłożyć na bok. Lorimer zawahał się.

– Powiedziała, że jakoś wypłacie się z małżeństwa z Willenem, obojętne w jaki sposób. I dodała, że już jej w tym głowa, żebym pożałował swojej decyzji. Nigdy nie przypuszczałem, że to się może tak skończyć... – Lorimer zaśmiał się niepewnie. – Ale teraz zaczynam rozumieć stare powiedzenie o wzgardzonej kobiecie.

– To bardzo ciekawe, co pan mówi, panie Lorimer. – Starszy inspektor przez chwilę oglądał swoje paznokcie. – Czy pan kiedykolwiek spotkał niejakiego Raymonda Settle'a?

– Nie przypominam sobie.

– Dziwne. Bo on też był dziś w nocy u państwa Willenów i mówił, że widział, jak pan strzelał do pana Willena.

– Co takiego? Ale dlaczego na miłość boską miałbym zabijać

Gerarda?

– Z sejfu ściennego w pokoju, w którym Willen został zabity, zginęło dwadzieścia tysięcy monetów w gotówce. Te pieniądze znaleźliśmy dziś wieczorem w pańskim mieszkaniu. Settie twierdzi, że był z Willenem w jego gabinecie, kiedy usłyszeli w sąsiednim pokoju jakiś hałas. Mówi, że Willen poszedł sprawdzić, co się stało, i...

– To śmieszne! – wykrzyknął Lorimer. – Ale przede wszystkim kto to jest ten Settie? On musi być w znowie z Fay, musieli to wspólnie ukartować. Tak jest, inspektorze! To na pewno jej ostatni kochanek. Wśliznął się jakoś do domu... – Lorimer zamilkł widząc, że inspektor potrząsa głową.

– Nic z tego, panie Lorimer. – Głos inspektora był niemal uprzejmy. – Raymond Settie to zaufany wspólnik w interesach pana Willena i przyjaciel domu od wielu lat. Miał wszelkie prawo po temu, żeby dziś wieczorem odwiedzić Gerarda Willena.

Lorimer otworzył już usta, żeby zaprotestować, ale zamknął je nie wydawszy dźwięku. Ośłupiał i bezradny – zaczął zdawać sobie sprawę, jak został załatwiony.

Dokładnie w rok później w lustrzanej jadalni dużego domu wychodzącego na morze troje ludzi celebrowało małą uroczystość.

Gerard Willen, wcielony w postać, która kiedyś należała do młodego, ambitnego trenera fechtunku, nalał trzy kieliszki zagranicznego szampana. Podczas tej czynności rozkoszował się niewymuszoną siłą i pewnością ręki, w której trzymał zroszoną butelkę. Czerpał z tego nieustającą radość.

– Powiem wam, że wspaniałe ciało... odziedziczyłem. Szkoda, że umysł naszego przyjaciela Lorimera mu nie dorównywał.

Raymond Settie potrząsnął głową. Był mizerny jak zwykle, ale świeżo ostrzyżony i dobrze ubrany wydawał się przy swoim wzroście raczej chudy niż wąty. Lewą ręką obejmował wpół Fay, która tuliła się do niego czule.

– To całe szczęście dla nas, że Lorimer nie był zbyt bystry – powiedział. – Myślałem, że nie

wytrzymam i że się sypnę wciskając mu ten kit o małej córeczce w sierocińcu.

Fay uśmiechnęła się do niego.

– Byłeś bardzo dobry, Raymond. Bardzo przekonywający.

– Ale muszę przyznać, że mam czasem w stosunku do niego lekkie wyrzuty sumienia, bądź co bądź zrobiliśmy go w konia.

– Nie myśl o tym. Ten człowiek był w końcu mordercą. Willen wręczył wszystkim pokryte rosą kieliszki i uniósł swój do góry.

– Moje zdrowie!

– Dlaczego nie nas wszystkich? – spytała Fay. Willen uśmiechnął się.

– Bo ja wyciągnąłem z tego najwięcej korzyści. Ty uwolniłaś się od małżeństwa, którego już miałaś dość, ale i ja chciałem rozwodu. W rozliczeniu dostało mi się nowe ciało, które mi pozwala pracować i dwadzieścia godzin na dobę, jeśli mam ochotę.

– Zawsze dużo pracowałeś – odparła Fay. Willen zamyślił się.

– Dochodzę do wniosku, że w starej wersji musiałem być dość męczący.

– Nie dość, bardzo męczący.

– Uważam, że mi się to należało. Bo przecież... – Willen spojrzał taksująco na Fay – w nowej wersji mogę być zupełnie inny. Teraz, kiedy w sensie hormonalnym jestem jak młody ogier, widzę, że są rzeczy przyjemniejsze niż praca.

– Ciekawe! – Fay odsunęła się od Settle'a ze śmiechem i kołysząc się mocno w biodrach zbliżyła do Willena. – Może czasem wpadniesz zobaczyć się ze mną, oczywiście jak nie będzie Raymonda.

– No, no, dosyć tego dobrego – zaprotestował Settle z dobrodusznym uśmiechem. – Zaczyna mi się to wszystko nie podobać.

– Nie bądź głuptasem, kochanie. – Fay uśmiechnęła się do niego znad kieliszka. – Za świętość związku małżeńskiego.

– Chętnie spełnię ten toast. – Settle opróżnił kieliszek i w tym momencie, widząc, że Fay i Willen patrzą na niego z pełnym rozbawienia oczekiwaniem, zaczął się zastanawiać, czy ten napój rzeczywiście smakował tak, jak powinien smakować szampan.

# Ostatni lot

Na wysokości mniej więcej trzech tysięcy metrów martwy policjant dryfował w kierunku strefy kontroli Birmingham. Była zimowa noc i minusowa temperatura, która panowała zawsze na tej wysokości, usztywniła jego członki skuwając mrozem całe ciało. Krew, wyciekająca przez pogruchotany pancerz na zewnątrz, zastygała we wzór podobny do kraba obejmującego kleszczami klatkę piersiową zmarłego. Zwłoki, zawieszona w pozycji pionowej, kołysały się łagodnie niesione prądami powietrznymi wykonując dziwny posuwisty taniec. Na wysokości pasa purpurowe światło wielkości ziarnka grochu zapalało się i gasło, zapalało się i gasło, przyćmiewane stopniowo przez coraz grubszą warstwę lodu.

Sierżant Policji Powietrznej Robert Hasson czuł się bardziej zmęczony i rozdrażniony, niż po normalnym ośmiogodzinnym patrolu lotnym. Od obiadu tkwił w budynku centrali dyktując i podpisując raporty, wypełniając formularze i usiłując wyszarpać z kasy pieniądze, które mu byli winni od dwóch miesięcy. I właśnie w momencie, kiedy rozgoryczony tym wszystkim miał już iść do domu, wezwali go do gabinetu kapitana Nunna na jeszcze jedną konfrontację w związku ze sprawą Aniołków z Welwyn. Czwórka aresztantów, Joe Sullivan, Flick Bugatti, Denny Johnston i Toddy Thomas, siedziała razem po jednej stronie gabinetu w dalszym ciągu w sprzeczce do latania.

– Powiem wam, co mnie najbardziej w tym wszystkim niepokoi – odezwał się Bunny Ormerod, ich obrońca, z wystudiowaną troską. –

Całkowita obojętność policji. Znieczulica, z jaką inspektorzy ruchu przyjmują śmierć dziecka. – Ormerod protekcyjnym gestem przysunął się do Aniołków identyfikując się z nimi. – Jakby to **była** rzecz codzienna. Hasson wzruszył ramionami.

– Bo praktycznie jest.

Ormerodowi opadła szczeka; obrócił się tak, że miniaturowa kamera przypięta do jedwabnej bluzy była skierowana na Hassona.

– Czy zechciałby pan to może powtórzyć?

Hasson patrzył wprost w czujną źrenicę kamery.

– Praktycznie co dzień czy co noc jakiś kretyn przypina sobie sprzęt antygravitacyjny i leci z szybkością pięciuset albo sześciuset kilometrów na godzinę przekonany, że jest jakimś supermenem, a potem wpada na słup czy na filar. I rzeczywiście, ma pan całkowitą rację, gównu mnie to obchodzi, jak oni się rozsmarowują o budynki. – Hasson poprzez szerokość biurka widział, że Nunn jest coraz bardziej niespokojny, ale brnął uparcie dalej. – Interweniuję tylko, kiedy wpadają na innych ludzi. I wtedy ich ścigam.

– Można by to raczej nazwać nagonką.

– Tak właśnie można by to nazwać.

– Tak jak było z tymi dzieciakami.

Hasson zmierzył Aniołków zimnym wzrokiem.

– Nie widzę tu żadnych dzieci. Najmłodszy z tego gangu ma szesnaście Jrft.

Ormerod posłał pełen współczucia uśmiech pod adresem czterech czarno ubranych chłopaków.

– Żyjemy w skomplikowanym i trudnym świecie, sierżancie. Szesnaście lat to dla takiego chłopca zbyt krótki okres, żeby sobie znalazł w nim miejsce.

– Bzdura – skomentował Hasson. Ponownie spojrzął na Aniołków i wskazał na krępego, brodatego wyrostka, który siedział z tyłu **za** resztą. – Chodź no tutaj, Toddy.

Oczy Toddy'ego wykonały szybki wahadłowy ruch W bok – tam i z powrotem.

– Po co?

– Chcę pokazać panu Ormerodowi twoje odznaki.

– Ale ja nie chcę – odparł Toddy zadowolony z siebie. – A poza tym tu mi lepiej.

Hasson westchnął, podszedł do grupy, złapał Toddy'ego za kłapę i wrócił do Ormeroda, jakby nie trzymał nic poza kawałkiem sztucznej skóry. Za sobą usłyszał wściekłe przekleństwa i łomot walących się krzesel, kiedy przeciągał Toddy'ego przez ochronny kordon przyjaciół. Okazja do wyrażenia w czynach własnych uczuć, obojętne, na jak skromną skalę, sprawiała, zawsze Hassonowi satysfakcję o charakterze terapeutycznym.

Nunn uniósł się z lekka.

– Co wy najlepszego wyrabiacie, sierżancie? Hasson zignorował go i zwrócił się do Ormeroda.

– Widzi pan tę odznakę? Duże F ze skrzydłami? Czy pan wie, co to znaczy?

– O wiele bardziej interesuje mnie, co znaczy pańskie dziwne zachowanie. – Jedną ręką pozornie przypadkowo Ormerod zasłaniał pole widzenia swojej kamery. Hasson wiedział, że to z powodu świeżej ustawy, na mocy której sądy odmawiały rozpatrywania jakichkolwiek dowodów zarejestrowanych na taśmie, dopóki nie zostanie przedstawiona cała szpula – a Ormerod nie życzył sobie,

żeby wyszła odznaka.

– Niech pan na to spojrzysz. – Hasson powtórzył, opis odznaki na użytek ścieżki dźwiękowej. – To znaczy, że ten, cytując: „dzieciak”, koniec cytatu, miał stosunki seksualne w stanie nieważkości. I on jest z tego dumny. Prawda, Toddy?

– Panie Ormerod. – **Oczy** Toddy'ego były błagalnie utkwione w twarzy adwokata.

– Sierżancie, dla własnego dobra sędzę, że powinien pan zostawić mojego klienta w spokoju – powiedział Ormerod. Szczupłą ręką w dalszym ciągu wymachiwał przed kamerą.

– Naturalnie. – Hasson szarpnął za kamerę, wyrywając przy tym dziurę w bluzie Ormeroda, i przytrzymał mały aparacik przed kolekcją odznak Aniołka. Po chwili odepchnął od siebie Toddy'ego i z ironicznym, pełnym przesadnej rewerencji gestem zwrócił Ormerodowi aparat.

– To był błąd z pana strony, Hasson. – Na arystokratycznym obliczu Ormeroda odmalowała się autentyczna wściekłość. – Każdy widzi, że to akt osobistej zemsty na moim kliencie.

Hasson roześmiał się.

– Toddy nie jest pańskim klientem. Został pan wynajęty przez ojca Joego Sulliyana, żeby go wyciągnąć ze sprawy o zabójstwo, a duży, głupi Toddy przypadkowo też jest w to wplątany.

Joe Sullivan, który siedział pomiędzy trzema pozostałymi Aniołkami, otworzył już usta, żeby zareplikować, ale się rozmyślił. Najwyraźniej był lepiej przygotowany niż jego kumple.

– Masz rację, Joe – powiedział Hasson. – Przypomniałeś sobie, co ci mówili: że gadać ma ten, któremu za to płacisz. – Sullivan poruszył się urażony, spoglądając na swoje ręce o sinych kłykciach, i nie odezwał się słowem.

– W ten sposób nic nie załatwimy – Ormerod zwrócił się do Nunna. – Muszę się naradzić z moimi klientami na osobności.

– Słusznie – wtrącił Hasson. – I niech pan im powie, żeby pozdejmowali te odznaki, zgoda? Bo następnym razem mogę doszukać się czegoś lepszego. – Czekał biernie, aż Ormerod i dwóch policjantów wyprowadzi chłopaków z pokoju.

– Nie rozumiem cię zupełnie – powiedział Nunn, kiedy zostali sami. – Mógłbyś mi-powiedzieć, o co ci właściwie teraz chodziło? Wystarczy, żeby ten chłopiec zeznał, że użyłeś w stosunku do niego siły fizycznej...

– „Ten chłopiec”, jak go nazwałeś, wie, gdzie szukać Człowie-ka-Ognia, słynnego Firemana. Wszyscy oni wiedzą.

– Jesteś dla nich za surowy.

– Za to ty nie jesteś. – Hasson zorientował się natychmiast, że przeholował, ale był zbyt uparty, żeby odwołać te słowa.

– Co masz na myśli? – Nunn ściągnął usta, co mu nadało nieco babski, ale niemniej groźny wygląd.

– Dlaczego ja muszę rozmawiać z tymi gnojkami tu w twoim gabinecie? Od czego są pokoje przesłuchań na dole? A może one mają służyć tylko dla oprychów, za którymi nie stoją pieniądze Sulliyana?

– Czy chcesz powiedzieć, że te pieniądze Sulliyana ja wziąłem? Hasson zastanowił się.

– Nie wyobrażam sobie, żebyś to zrobił, ale to ty dopuściłeś do tego nieporozumienia. Mówię ci, że ci czterej latali z Firema-nem. Gdybyście zostawili mnie samego z którymkolwiek z nich na pół godziny, to już ja bym..

– Dopiero byś się urządził. Ty chyba nic nie rozumiesz z tego, co się dzieje, Hasson. Jesteś funkcjonariuszem Policji Powietrznej,

a to oznacza, że twoja obecność ludziom przeszkadza. Sto lat temu samochodziarze nie znosili policji drogowej za to, że ich zmuszała do przestrzegania kilku sensownych przepisów; dziś, kiedy każdy lata nie gorzej niż ptak, znów gliniarze brużdżą, są więc znienawidzeni.

– O to mnie głowa nie boli.

– Jeśli chodzi o twoje obowiązki policjanta, też cię chyba głowa nie boli, Hasson. Przynajmniej nie widać. Jesteś tak napalony na latanie jak sam mityczny Człowiek-Ogień, tylko że po drugiej stronie. Hasson stał się niespokojny, widział, że Nunn prowadzi do czegoś ważnego.

– Fireman istnieje naprawdę, widziałem go.

– Istnieje czy nie istnieje, przenoszę cię do służby naziemnej.

– Nie możesz tego zrobić – wybuchnął Hasson impulsywnie. Nunn wydawał się zdziwiony.

– A to niby dlaczego?

– Bo... – gdy Hasson szukał właściwych słów, szukał jakichkolwiek słów, kula komunikatora na biurku Nunna zapłonęła czerwonym światłem sygnalizując sprawę pierwszorzędnej wagi.

– Proszę mówić – Nunn zwrócił się do kuli.

– Odebraliśmy automatyczny sygnał zagrożenia – odpowiedziało urządzenie męskim głosem.– Ktoś dryfuje w sposób nie kontrolowany na wysokości trzech tysięcy metrów. Przypuszczamy, że to musi być Inglis.

– Zmarły?

– Zapytywaliśmy jego komunikatora, sir. Żadnej odpowiedzi.

– Aha. Poczekajcie, aż się skończą godziny szczytu, i wyślijcie kogoś po niego. I poproszę o pełny meldunek.

– Tak jest, sir.

– Lecę po niego – powiedział Hasson ruszając w kierunku drzwi.

– Nie masz się co wybierać o tej porze, za duży ruch. – Nunn podniósł się i obszedł biurko dookoła. – A zresztą przeniosłem cię do służby naziemnej. Serio, Hasson.

Hasson zatrzymał się, zdając sobie sprawę, że nadużył pobłażliwości, na którą mogli liczyć członkowie Patrolu Lotnego.

– Jeśli to jest Lloyd Inglis, to lecę po niego zaraz. I jeśli on nie żyje, schodzę na ziemię. Na stałe. Okay? Nunn niepewnie potrząsnął głową.

– Chcesz się rozwalić?

– Może. – Hasson zamknął drzwi i pobiegł do magazynu sprzętu.

Wzbił się z dachu budynku centrali w niebo, które płonęło zlewającymi się strumieniami ognia. Większość uczestników ruchu stanowili nadlatujący z południa zmęczeni ludzie pracy, którzy wraz z pomniejszych dopływami ludzkiej rzeki z różnych stron świata tworzyli jedną wielką trąbę powietrzną strefy kontroli Birmingham. Światła umieszczone na ramionach i kostkach tysięcy lecących warstwami przesuwwały się i migotały, a zmiany paralaks wywoływały pozorne fale, które to płynęły, to się cofały wzdłuż świetlistych strumieni. Pionowe kolumny jasności rozdzielały sprzeczne elementy, stwarzając pozory idealnego porządku. Hasson wiedział jednak, że są one zwodnicze. Ci, którzy się spieszyli, wygaszali często światła i, niewidoczni, lecieli prosto do celu przeznaczenia lekceważąc korytarze powietrzne. Tłumaczyli sobie, że niebezpieczeństwo zderzenia się z innymi „piratami” powietrznymi jest znikome, ale przecież nie tylko różnym komiwojażerom spóźnionym na spotkania zdarzało się latać na dziko. Byli jeszcze pijacy i narkomani, wy rzutki społeczne, ryzykanci i samobójcy, amatorzy silnych wrażeń i kryminaliści – słowem całe spektrum typów, którzy nie dorośli do lotów indywidualnych i w których rękach sprzęt antygravitacyjny mógł się łatwo stać narzędziem śmierci.

Hasson nastawił swoje policyjne reflektory na maksymalną moc. Wznosił się ostrożnie, z pistoletem na farbę w pogotowiu, dopóki światła miasta nie rozpostarły się pod nim tworząc bezkres płonących wzorów geometrycznych. Kiedy monitor informacyjny wewnątrz hełmu wskazał wysokość dwustu metrów, zaczął szczególnie pilnie obserwować radar. Na tej wysokości trafiało się najwięcej chuliganów. Wznosił się dalej systematycznie, usiłując opanować niepokój zrozumiwały u człowieka zawieszonoego w ciemności, z której w każdym momencie mógł ktoś na niego wyskoczyć z niebezpieczną szybkością. Widać teraz było poszczególne warstwy mro-

wiąjących się ludzi, z których najwyższe poruszały się najprędzej, zachodząc na siebie jak płachty świetlistej gazy.

Jeszcze osiemdziesiąt metrów w górę i Hasson zaczął się po trochu odprężyć. Skupił się właśnie na problemie odnalezienia Inglisa, kiedy odezwał się jego sygnał alarmowy i rozbłysł radar na hełmie. Wykręcił się twarzą do wskazanego kierunku. W blasku reflektorów dostrzegł postać mężczyzny lecącego bez światła, w postawie sprzyjającej rozwinięciu najwyższej szybkości. Mając na koncie tysiące takich spotkań ocenił bezpieczną odległość mijania na dziesięć metrów. W ułamku sekundy, jaki mu pozostał, wycelował pistolet i wystrzelił chmurę niezmywalnej farby. Tamten przeszedł przez nią na wylot – jasny błysk, uduchowiona twarz i czarne niewidzące oczy – i zniknął w hałaśliwym wirze. Hasson połączył się z centralą i podał szczegóły incydentu, dodając od siebie, że jego zdaniem napotkany osobnik jest narkomanem. Mając w tym sektorze ruchu blisko milion ludzi w powietrzu, nie byłby oczywiście w stanie ująć pirata, naznaczył więc jego odzież i sprzęt antygravitacyjny w sposób trwały, a sprawienie nowych wiązało się z ogromnymi kosztami.

Na poziomie trzech tysięcy metrów Hasson przełączył się na stałą wysokość, wziął namiar na sygnał Inglisa i rozpoczął powolną wędrówkę w płaszczyźnie poziomej, sondując czujnie oczyma ciemność przed sobą. Jego reflektory oświetlały gęstniejącą mgłę czyniąc go środkiem kuli mglistego promieniowania, poza obrębem której nie było nic widać. Zbliżył się do granicy strefy dopuszczalnej

dla lotów indywidualnych bez użycia specjalnych urządzeń podgrzewających i poczuł przenikliwy chłód, wciskający się w każdą szczelinę jego stroju ochronnego.

Hen, w dole, pod nim, płynący strumieniami ludzie wydawali się otoczeni aurą ciepła i bezpieczeństwa.

W kilka minut później radar Hassona uchwycił jakiś obiekt na wprost przed nim. Kiedy się zbliżył, dostrzegł w świetle reflektorów postać Lloyda Inglisa wykonującego swój groteskowy posuwisty taniec. Hasson zrozumiał od razu, że jego przyjaciel nie żyje, zaczął jednak okrążyć ciało w odległości wykluczającej nakładanie się pól antygravitacyjnych, aż dostrzegł ziejący otwór w pancerzu na jego piersi. Rana wyglądała tak, jakby została zadana włócznią.

Tydzień wcześniej Hasson i Inglis w czasie swego zwykłego patrolu nad Bedford wpadli na bandę ośmiu facetów lecących bez świateł. Inglis rzucił małą petardę, która wybuchła tuż za grupą, oświetlając ją na moment. Obaj dostrzegli wtedy ostry zarys włóczni. Transportowanie jakichkolwiek ciężkich przedmiotów przez osoby korzystające z urządzeń antygravitacyjnych było niedozwolone ze względu na bezpieczeństwo ludzi poruszających się zarówno w powietrzu, jak i po ziemi, a posiadanie broni stanowiło rzadkość nawet wśród chuliganów. Istniało więc duże prawdopodobieństwo, że natknęli się na Firemana. Rozpościerając sieci i sznury Hasson i Inglis udali się w pogoń. Podczas pościgu zginęły na niższych poziomach dwie osoby, w tym młoda kobieta lecąca również bez świateł, która zderzyła się czołowo z jednym z członków gangu. Drugą ofiarą był przywódca gangu, którego maszt radiowy nieomal przeciął na pół. W efekcie całą nagrodą za trudy dwóch policjantów było ujęcie czterech drugorzędnych spośród Aniołków z Welwyn. Fireman, ten, u którego widzieli włócznię, umknął mając możliwość ocenić cały incydent – sam bezpieczny w swej anonimowości.

Teraz, przyglądając się zamrożonemu ciału swojego kolegi, Hasson zrozumiał, że wypadek ten popchnął Firemana do zemsty. Jej obiekt mógł zidentyfikować na podstawie reportażu telewizyjnego poświęconego aresztowaniu Joego Sullivana. Klnąc ze złości i żalu, Hasson przechylił się tak, by do siły nośnej aparatu antygravitacyjnego dodać składową poziomą. Rzucił się na sztywne zwłoki, oplótł je ramionami i natychmiast oba ciała, których pola antygravitacyjne zniosły się nawzajem, zaczęły spadać. Oswojony ze stanem nieważkości Hasson zręcznie przyczepił koniec liny do paska Inglisa i odepchnął go od siebie. W miarę jak się oddalali, aż poza granicę nakładania się pól, ciąg powietrza do góry stopniowo zanikał. Hasson sprawdził dane na tablicy kontrolnej i stwierdził, że stracił niewiele ponad sto metrów wysokości. Popuścił linę u pasa, tak że ciało Inglisa znalazło się w odległości dogodnej do holowania, a następnie poleciał na zachód kierując się ku miejscu, gdzie mógłby zejść bezpiecznie przez poziom ciągów komunikacyjnych. Daleko pod nim strefa kontroli Birmingham przypominała złocistą rojącą się galaktykę, ale Hasson – centrum białej mglistej kuli własnego wszechświata – był od niej odizolowany, zamknięty w kokonie swoich myśli.

Lloyd Inglis, zakochany w piwie i książkach utracjusz – nie żyje.

A przed nim byli jeszcze Singleton, Larmor i McMeekin. Połowa brygady Hassona sprzed siedmiu lat zginęła pełniąc obowiązki służbowe – i w imię czego? Nie sposób ująć w karby ludzkość, którą wynalazek sprzętu antygravitacyjnego obdarzył swobodą poruszania się w trzech wymiarach. Zastosowanie judo do grawitacji i skierowanie siły przyciągania ziemi przeciwko niej samej okazało się jedyną metodą na latanie. Sposób łatwy, niedrogi, przyjemny i – niemożliwy do ujęcia w jakiegokolwiek ryzy. W samej Anglii było osiemdziesiąt milionów osób uprawiających loty indywidualne, a każda z nich miała się za nadczołowieka, wolnego od wszelkich ograniczeń w prawie ścigania się ze słońcem w obiegu ziemi. Niemal z dnia na dzień zniknęły z nieba samoloty, nie dlatego jednak, żeby ich usługi transportowe przestały być przydatne; po prostu obecność maszyn

pośród rojącego się żywiołu niepoprawnych ludzi byłaby zbyt niebezpieczna. Ludowym bohaterem tych czasów stał się nocny pirat, czarny Ikar. Jaki ma sens, zapytywał sam siebie Hasson, służba w policji powietrznej. Może cała idea pilnowania porządku czy odpowiedzialności za innych była nieuzasadniona. Może nieuniknioną ceną za wolność jest powolny deszcz porozbijanych ciał spadający na Ziemię w miarę, jak aparaty antygravitacyjne się wyczerpują i...

Atak stanowił dla Hassona całkowite zaskoczenie. Nastąpił tak szybko, że sygnał alarmowy i wycie napierającego powietrza były dosłownie jednoczesne. Hasson odwrócił się, dostrzegł czarną włócznie i zgiał się jak scyzoryk, żeby jej uniknąć. Broń ześliznęła się po nim, ale silny mimo to cios wprowił go w młynek – wszystko dosłownie w ciągu sekundy. Utrata wysokości wywołana chwilowym nałożeniem się pól nie miała właściwie żadnego znaczenia. Hasson odruchowo zgasił reflektory policyjne i zwykłe światła latania usiłując oswobodzić ręce spętane linką holowniczą, która omotała go na skutek ruchu wirowego. Kiedy udało mu się jakoś ustabilizować, przez pewien czas tkwił w całkowitym bezwładzie usiłując ocenić sytuację. W prawym biodrze odczuwał pulsujący ból od uderzenia, ale o ile mógł ocenić, kości miał całe. Zastanawiał się, czy napastnik zadowolony jest tym jednym niszczycielskim atakiem, czy będzie to początek pojedynku.

– Byłeś szybki, Hasson – odezwał się głos z ciemności." – Szybszy niż twój kumpel. Ale nic ci z tego nie przyjdzie.

– Kto ty jesteś?! – wrzasnął Hasson patrząc jednocześnie na ekran radaru.

– Wiesz, kim jestem, każdy mnie zna. Człowiek-Ogień to ja!

– To w piosence. – Hasson starał się mówić spokojnie, jednocześnie rozpościerając sieci i liny.

– A jak brzmi twoje prawdziwe nazwisko? To, pod którym jesteś zarejestrowany u rejonowego psychiatry.

Ciemność rozbrzmiała śmiechem.

– Brawo, sierzancie. Usiłuje pan jednocześnie grać na zwłokę, zdenerwować mnie i dowiedzieć się mojego nazwiska.

– Nie potrzebuję grać na zwłokę, zdążyłem nadać sygnał SOS.

– Zanim ktokolwiek tu przyleci, nie będziesz już żył, Hasson.

– Dlaczego?

– A dlaczego ścigasz moich przyjaciół i ściągasz ich na ziemię?

– Są niebezpieczni dla siebie samych i dla wszystkich innych.

– Tylko wtedy, kiedy ich zmuszasz, żeby latali na dziko. Sam się oszukujesz, Hasson. Jesteś gliną i sprawia ci przyjemność zaszczuwanie ludzi. Tym razem ja cię ściągnę z góry, i to na dobre, nic ci nie pomogą te twoje sieci.

Hasson na próżno wyteżał wzrok w kierunku, z którego dobiegał głos.

– Sieci?

Znów rozległ się śmiech i Fireman zaczął śpiewać:

– Widzę cię w ciemności, lecąc przy tobie, Człowiek-Ogień we własnej osobie, lecz ty nie widzisz mnie, choć koło ciebie mknę".

Znajome słowa rozbrzmiewały coraz głośniejsz w miarę, jak zbliżało się ich źródło i nagle Hasson dostrzegł sylwetkę ogromnego mężczyzny, oświetloną przez strumienie światła z dołu i - gwiazdy z góry. Wyglądał przerażająco i nieludzko w swoim aparacie antygravitacyjnym.

Hasson zatęsknił do broni palnej, której wzbraniała tradycja brytyjskiej policji, kiedy nagle uderzyło go coś osobliwego.

– A gdzie twoja włócznia?

– Po co mi włócznia. Wyrzuciłem ją. – Fireman rozłożył ręce i – nawet w ciemności, nawet



nimio braku jakichkolwiek punktów odniesienia w przestrzeni – stało się dla Hassona jasne, że ma do czynienia z olbrzymem, z człowiekiem, który nie potrzebuje żadnej innej broni, poza tą, w którą wyposażała go natura.

Wyobraził sobie ciężką włócznię spadającą z wysokości trzech tysięcy metrów na zatłoczone przedmieście i wezbrała w nim chłodna wściekłość – gotów był przyjąć czekającą go walkę obojętny na jej wynik. Podczas gdy Fireman się zbliżał, Hasson zataczał siecią powolne koła, jednocześnie tak przechylając swój aparat antygra-witacyjny, żeby samemu nie wpaść przy tym w ruch wirowy. Uniósł nogi, gotów do wymierzenia kopniaka, a zarazem wyprostował linę, która czyniła trupa Inglisa upiornym obserwatorem incydentu. Był zdenerwowany, ale podniesiony na duchu i podniecony – teraz, kiedy Fireman odrzucił włócznię, nie odczuwał szczególnego lęku. Walka w powietrzu nie jest jedynie sprawą zdolności; to sztuka, której trzeba się nauczyć, zdobyć doświadczenie, dlatego zawodowcy z reguły mają przewagę nad amatorami, bez względu na talenty i motywację tych ostatnich. Pozwalając Hassonowi unieść nogi do pozycji, w której siła jego ud mogła być w każdej chwili wykorzystana w potężnym kopnięciu, Fireman popełnił poważny błąd. Nieświadom jednak niczego zbliżał się powoli rozkładając działanie aparatu anty grawitacyjnego ledwie dostrzegalnymi ruchami ramion.

Ten umie latać – pomyślał Hasson – nawet jeśli jego przygotowanie teoretyczne do walki nie jest tak dobre jak...

Człowiek-Ogień zaatakował szybko, nie tak szybko jednak, jak powinien. Hasson doznał niemal uczucia rozkoszy stwierdziwszy, że ma czas wymierzyć kopniaka dokładnie w to miejsce, które sobie zaplanował. Wybrał czuły punkt poniżej szybki hełmu, biorąc poprawkę na nagłą utratę wysokości wskutek wzajemnego zniesienia się pól antygravitacyjnych, i zadziałał z energią wystarczającą, by przetrącić kark. Fireman jednak zdołał uchylić głowę i złapać Hassona za wyciągniętą nogę. Obaj mężczyźni spadali teraz, ale w nierównym tempie, ponieważ Hasson był przytroczony do Inglisa, którego pole antygravitacyjne znajdowało się zbyt daleko, żeby mogło zostać skasowane. Na sekundę przedtem, zanim się rozdzielili, Fireman użył swoich potężnych ramion jak dźwigni i wyłamał Hassonowi nogę w kolanie.

Ból i szok zaćmiły Hassonowi umysł pozbawiając go wszelkiej siły i energii. Unosił się w mrocznej przestrzeni nie wiadomo jak długo, niepewnie poruszając rękami, z twarzą wykrzywioną bezgłośnym krzykiem. Wielka spiralna mgławica daleko w dole wirowała w dalszym ciągu, ale na jej tle stale poruszał się ciemny kształt.

Hasson resztką świadomości odczuł, że nie może dłużej folgować naturalnej reakcji na cierpienie. Jego przeciwnik przewyższał go pod względem fizycznym tak znacznie, że tylko pełna mobilizacja inteligencji mogła go uratować. Ale jak miał myśleć, skoro ból wdarł się w jego ciało jak armia nieprzyjacielska przesywając mózg artyleryjskimi pociskami cierpienia.

Przede wszystkim – pomyślał Hasson – musisz się pozbyć Lioy-da Inglisa. Zaczął zwijać linę z zamiarem odzepienia ciała przyjaciela, ale niemal natychmiast tuż zza niego odezwał się głos Firemana.

– No, jak ci się to podobało, Hasson? – Jego ton był pełen tryumfu. – Chciałem ci po prostu pokazać, że mogę cię pobić twoją własną bronią. – Hasson usiłował szybciej przyciągnąć linę. Ciało Inglisa tańczyło coraz bliżej, aż znalazło się w promieniu znoszenia się pól. Hasson i Inglis zaczęli spadać. Fireman rzucił się na nich błyskawicznie, otoczył Hassona ramieniem i wszyscy trzej polecili w dół. Pod nimi rozszalało się istne piekło.

– A to jest moja gra – wykrzyknął Fireman poprzez strumień napierającego powietrza. – Sprowadzić cię na ziemię, bo jestem Człowiek-Ogień.

Hasson, który poznał taktykę powietrznych piratów, odciął się psychicznie od bólu dyndającej nogi i sięgnął do głównego wyłącznika, zawahał się jednak, zanim go nacisnął. W zwarcu dwóch przeciwników wygaszenie jednego pola antygravitacyjnego oznaczało automatycznie przywrócenie temu drugiemu pełnej mocy, co powodowało powstanie potężnego dyferencjału, a w konsekwencji oddalenie walczących w płaszczyźnie pionowej. Zwykłą odpowiedzią na ten manewr jest wyłączenie w tym samym momencie własnego pola, tak aby oba ciała spadały razem, dopóki jeden z przeciwników nie wytrzyma nerwowo i nie włączy swojego aparatu. Obecną walkę na śmierć i życie komplikowała dodatkowo obecność Inglisa, milczącego partnera, który już przegrał. Jego pole będzie cały czas przeciwdziało polom tamtych dwóch, niezależnie od tego, co zrobią, dopóki...

Hasson wyswobodził ramię z quasi-seksualnego uścisku i przyciągnął bliżej ciało Inglisa. Usiłował wymacać główny wyłącznik zmarłego, ale jego dłoń natrafiła jedynie na gładką płaszczyznę zamrożonej krwi. Rozmigotany horyzont wznosił się teraz gwałtownie

nie ze wszystkich stron, a okrężny strumień ruchu otwierał się jak drapieżny kwiat. Powietrze przelatywało mimo nich z zawrotną szybkością, z ogłuszającym hukiem. Hasson dokładał wszelkich starań, żeby skruszyć lodowy pancerz na piersi Inglisa i odsłonić główny wyłącznik jego aparatu, ale w tym samym momencie Człowiek--Ogień otoczył ramieniem szyję Hassona i odciągnął mu głowę do tyłu.

– Nie próbuj ode mnie uciekać – wrzasnął mu do ucha. – Nie próbuj stchórzyć, chciałbym zobaczyć, jak będziesz podskakiwał przy lądowaniu.

Spadali dalej.

Hasson, skrępowany swoimi sieciami, próbował wymacać klamerkę paska, gdzie poza innymi urządzeniami miał zaczep liny. Zdołał go otworzyć zdrętwiałymi palcami i miał się już pozbyć ciała Inglisa, kiedy uświadomił sobie, jak niewiele przez to zyska. Doświadczony uczestnik gry zwanej „pikowaniem” zawsze odwleka moment wyłączenia się spod działania zjawiska znoszenia się pól aż do ostatniej chwili, tak żeby z aparatem nastawionym na pełną moc zejść na ziemię z najwyższą możliwą do wytrzymania prędkością. Człowiek-Ogień najprawdopodobniej i tym razem wyczeka aż do granic możliwości licząc na to, że Hasson, okaleczony, nie będzie zdolny uchronić się przed zgubnymi skutkami uderzenia. Pozbycie się ciała Inglisa nic by więc w tej sprawie nie zmieniło.

Opadli o prawie dwa tysiące metrów; w ciągu kilku sekund osiągną zatłoczone poziomy ciągi komunikacyjnych. Fireman zaczął wrzeszczeć w podnieceniu i ocierać się o Hassona jak pies w okresie rui. Hasson trzymając Inglisa lewą ręką, jednocześnie zakładał na uniesione udo przeciwnika pętlę z liny plastycznej zaciągając ją w mocny węzeł. Ciągle jeszcze zacieśniał linę, kiedy wpadli w sam środek ludzkiej rzeki. Światła przelatywały mimo nich z zawrotną szybkością i nagle powoli obracająca się galaktyka znalazła się nad nimi. Pod nimi wykwitły wzory światel ulicznych z wyraźnie widocznymi samochodami. Zbliżał się, jak wiedział Hasson, moment, w którym Fireman musi go opuścić, jeśli chce przed lądowaniem rozwinąć odpowiednią szybkość.

– Dzięki za przejażdżkę – krzyknął Człowiek-Ogień, a jego głos przebił się z trudem przez strumień napierającego powietrza.

Hasson zapalił swoje reflektory, a następnie energicznie szarpnął

liną, żeby zwrócić uwagę Piromana, który spojrzał na 'zaciśniętą na swoim udzie pętlę. Doznał szoku, kiedy dokonał odkrycia, że to on, a nie jego przeciwnik, jest połączony z oznaczającym w tej chwili dla niego śmierć trupem policjanta. Odepchnął Hassona i zaczął szarpać linę. Hasson odpłynął swobodnie unoszony prądem powietrza, spokojny, że lina oprze się nawet gigantycznej sile Człowieka-Ognia. Czując, jak jego pole antygravitacyjne rozpościera swoje niewidzialne skrzydła, odwrócił się i spojrzał za siebie. Zobaczył, jak dwa ciała wśród rozpaczliwej szamotaniny giną mu z

oczu w swojej drodze do śmiertelnego zderzenia z ziemią.

Hasson nie miał czasu na rozmyślania – sam był bliski rozbicia się o ziemię. Musi zmobilizować całe swoje umiejętności i doświadczenie, żeby wyjść z tego z życiem, z ulgą jednak stwierdził, że fakt śmierci Firemana nie napawa go satysfakcją. Nunn i inni mylili się co do niego.

Ale i tak – pomyślał w ostatnich sekundach, już spadając – o wiele za długo polowałem jak jastrząb. To mój ostatni lot.

Nieustraszony, przygotował się na ślepy uścisk ziemi.

# Spis treści

<a href="#">Strona tytułowa.</a>	1
<a href="#">Potyczka w letni poranek.</a>	2
<a href="#">Niedorzeczne facsimile.</a>	35
<a href="#">Członek rzeczywisty.</a>	46
<a href="#">Cisi wspólnicy.</a>	64
<a href="#">Element ryzyka.</a>	72
<a href="#">Frywolna Mona Lisa.</a>	77
<a href="#">Niekomiksowa opowieść grozy.</a>	93
<a href="#">Deflacja 2001.</a>	100
<a href="#">Porywacze ciał</a>	103
<a href="#">Ostatni lot</a>	119